

*Mary Brendan*

*Skandaliczna*

*propozycja*



## Prolog

- Zmienił pan zdanie.

Nuta złośliwości w głosie młodego mężczyzny ubodła Edgara Mereditha. Zmusił się jednak do uśmiechu.

To Rachel zmieniła zdanie, pomyślał. Miał wrażenie, że się dusi; nie był w stanie wymówić ani słowa. Uśmiech zniknął z jego twarzy równie szybko, jak się pojawił.

Po dziewiętnastu latach i sześciu miesiącach oglądania łez i napadów złości najstarszej córki w pełni zdawał sobie sprawę, że Rachel jest uparta i porywcza, jednak nigdy nie podejrzewałby jej o przebiegłość i bezdusność. Tego dnia przeżył szok. Kiedy kilka godzin wcześniej żona powiadomiła go o wszystkim, zaniemówił z przerażenia. Teraz jednak musi podjąć rozmowę...

Młody mężczyzna odszedł od grupy przyjaciół; Edgar mógł podziwiać jego kształtną, muskularną sylwetkę i sprężysty krok. Kurczowo zacisnął dłoń na wyciągniętej na powitanie silnej, cieplej ręce gospodarza, wdzięczny za ten gest.

- Czego się pan napije? Koniaku? Szampana? - Aksamitny, melodyjny głos potęgował ból Edgara. - Widzę, że udało się panu wymknąć na godzinkę... - Connor Flinte zachichotał porozumiewawczo, wybierając kieliszek dla mężczyzny, którego od jutra mógłby nazywać ojcem.

Edgar pokiwał głową i z trudem przywołał uśmiech na twarz. Szampan musował w kieliszku ozdobionym misternym grawerunkiem. Edgar pomyślał, że nie musi już niczego robić ukradkiem. Chociaż żonie zazwyczaj nie podobały się jego plany i nalegała, by został na wypadek, gdyby miało się okazać, że jest pilnie potrzebny, nie zamierzał się dłużej tym przejmować. Nie musiał już szukać wykrętów. Teraz do woli będzie mógł spędzać czas ze swoimi przyjaciółmi. Przez pół roku z dumą mógł zaliczać Connora Flinte'a do ich grona. Prawdę mówiąc, ten młody człowiek stał mu się bliski jak syn. Ale czy teraz major Connor Flinte będzie jeszcze chciał poświęcać mu czas?

Edgar Meredith miał cztery córki i próbował namówić żonę na syna, jednak pani Meredith stwierdziła, że we wszystkim należy zachować umiar. Connor miał stać się niezwykle oczekiwanym przez przyszłego teścia członkiem rodziny. Teraz Edgar niemal rozpaczał nad stratą „syna”. Wydawało mu się, że w pokoju jest nieznośnie gorąco.

- Nie przypuszczałem, że przyjdzie tak wielu przyjaciół, by okazać mi współczucie w ostatnim dniu mojej wolności. - Connor uśmiechnął się szeroko, wskazując od niechcenia hałaśliwie zachowujących się gości, wśród których znajdował się jego pijany przyrodni brat. Wyborne wino stępiło cięty język majora, jednak niebieskie oczy przenikliwie spoglądały na Edgara, który desperacko uciekał wzrokiem.

Meredith pokiwał głową, potarł podbródek i odruchowo uniósł srebrny kielich do warg. Nagle zdał sobie sprawę, że wypicie szampana byłoby w najwyższym stopniu niestosowne. Natychmiast odstawił naczynie na stolik z taką gwałtownością, że mebel drgnął.

Na chwilę spojrzenia obu mężczyzn jednak się spotkały. Edgar poczuł ogromną ulgę. Zatem Connor już o wszystkim wie, a w dodatku jest gotów ułatwić mu zadanie. Edgar nie będzie musiał szukać okoliczności łagodzących dla niegodziwego postępu córki.

- Przepraszam... Najmocniej przepraszam... - Słowa zawisły w powietrzu wśród głośnego śmiechu gości.

Connor szybko poprowadził Edgara w róg pokoju, z dala od kominka i kolejnych toastów wznoszonych za pomyślność jego małżeństwa.

- Dlaczego?

Edgar pokręcił głową, przejęty tym słowem tak, jakby usłyszał stek wyzwisk.

- Nie wiem... Jest krnąbrna, uparta... - tłumaczył się słabym głosem, po czym szybko dodał: - Nie miałem okazji z nią porozmawiać i przemówić jej do rozumu. Kiedy wróciłem z Windrush, wyjechała już do Yorku.

Odpowiedzią był nerwowy śmiech, po którym nastąpiło przekleństwo. Connor przecesał palcami czarne jak heban włosy.

- Do Yorku? To uciekła aż tak daleko? Boże! - wycedził.

- Ciotka... mieszka tam siostra mojej żony... - płątał się Edgar Meredith. - Przysięgam, że nie mieliśmy o tym pojęcia. Żona szaleje ze zdenerwowania. Ledwie żyje... Gdybym podejrzewał, że moja córka może zrobić coś podobnego... Przez całe dziewiętnaście lat nawet w gniewie nie tknąłem jej palcem, a Bóg mi świadkiem, że nieraz świerbiła mnie ręka. Gdybym wiedział, do czego jest zdolna, regularnie bym ją karał!

Poczuł na sobie świdrujące spojrzenie niebieskich oczu.

- Tak nie wolno... - Słowa Connora zostały wypowiedziane łagodnie, lecz kryło się w nich ostrzeżenie.

Edgar zamknął oczy i zwilżył językiem zaschnięte wargi. Usiłował opanować drżenie rąk i dorównać klasą gospodarzowi.

- Oczywiście zajmę się wszystkimi formalnościami, powiadomię gości, wielbnego Deana. Zrobię wszystko co trzeba. Jako ojciec panny młodej... zbuntowanej narzeczonej.. wezmę na siebie całą winę, wstyd i odpowiedzialność.

- Nic nikomu nie powiedziała? Uciekła z kochankiem?

Edgar wyczuł gniew w głosie Connora; aż skulił się ze strachu. Nie mógł przecież teraz zacząć wyliczać wszystkich żalonych wymówek Rachel. Nie śmiałby powiedzieć temu urodziwemu, czarującemu oficerowi kawalerii, wielokrotnie odznaczonemu za odwagę na polu bitwy, że Rachel odrzuciła go w przededniu ślubu, bo marzył jej się bardziej intrygujący małżonek. Nie chciał uwierzyć w to, że jego najstarsza córka, dziedziczka majątku, jest płocha i lekkomyślna, a w dodatku nie liczy się z uczuciami innych i nie ma ani krzty poczucia obowiązku. Nie potrafiła docenić porządnego człowieka, zafascynowana zblazowanymi dandysami, z którymi uwielbiała chichotać.

- Podróżuje sama?

- Z siostrą, Isabel. Moja żona i Isabel próbowały przemówić jej do rozsądku. Isabel była przerażona tym, czego dopuściła się siostra, i wcale nie chciała z nią jechać. Zawsze były sobie bardzo bliskie. Gdyby ktokolwiek mógł ją powstrzymać, to tylko Isabel. Na szczęście moja żona uparła się, by Isabel towarzyszyła Rachel. Brakowałoby już tylko tego, żeby podróżowała sama! Kiedy wróciłem do Beaulieu Gardens, były już od pięciu godzin w drodze do ciotki Florence. Uznałem, że moim zadaniem jest teraz tuszowanie skandalu i nie ruszyłem za nimi. Musiała się domyślić, że moje poczucie obowiązku i obrona honoru będą dla mnie ważniejsze niż udzielenie jej reprimendy. Rachel zawsze potrafiła wszystko doskonale przewidzieć. - Oddychał z trudem; wargi mu drżały. - Ale ten bezczelny spisek to już przesada. Nie zamierzam jej tego wybaczyć! Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak bezużyteczny... nie byłem taki wściekły... tak potwornie samotny...

- Rozumiem - powiedział Connor.



## Rozdział pierwszy

- Nie chciałabyś mieć męża i dzieci, Rachel?

- Już ci powiedziałam, że wystarczy mi to, że mogę czasem przebywać w towarzystwie twojego Paula...

- Nie żartuj sobie! Pytam poważnie. - Lucinda zachichotała. - Nigdy nie żałowałaś, że odrzuciłaś tego Featherstonea?

Przez chwilę Rachel sprawiała wrażenie zaskoczonej. Usiłowała się skupić.

- A, chodzi ci o tego! - wykrzyknęła w końcu i zanosła się śmiechem, przypominając sobie mężczyznę, który ostatnio się jej oświadczył co, jak się okazało, było jego jedynym atutem. Prezentował się nie najgorzej: miał kasztanowe włosy, własne zęby i nie był wdowcem, nie istniało więc niebezpieczeństwo, że jego miauczący potomek będzie pętał się jej u nóg. Jednak po miesiącu od dnia ogłoszenia zaręczyn Rachel zdała sobie sprawę, że wcale nie ma ochoty wychodzić za mąż.

Zorientowała się, że przyjaciółka oczekuje odpowiedzi, i lekceważąco machnęła ręką.

- Oczywiście, że nie. Brał udział w pojedynkach, uprawiał hazard, a w dodatku nie był najlepszy ani w jednym, ani w drugim. O mały włos nie odcięto mu ręki w pojedynku na szpady w obronie honoru jakiejś kobiety z Covent Garden. Uważam też, że był zbyt rozrzutny. Myślę, że dybał na mój majątek; chciał zdobyć Windrush, żeby kiedyś załatać dziurę w budżecie.

- A ten drugi adorator? Ten, który trochę utykał i podpierał się laską ze srebrną rączką, ale miał twarz Adonisa...

- To dziwne, że wspomniałaś akurat Philipa Moncura - zauważyła Rachel, marszcząc czoło. - Miesiąc temu przysłał mi wiersze, chociaż od trzech lat nie miałam od niego żadnych wiadomości... od czasu zerwania zaręczyn.

- To miłe, że pamięta o tym, iż lubisz Wordswortha i Keatsa.

- Jeśli pamięta, to znaczy, że postanowił to zignorować, gdyż przysłał mi wypociny własnej produkcji - czterowiersz, w którym śławi mój promienny uśmiech i pogodę ducha. Nie zareagowałam i zaraz potem dostałam odę, w której porównał mnie do pięknego, lecz zimnego marmurowego posągu i uznał, że tylko gorący płomień jego miłości może mnie rozpalić...

Lucinda zakryła usta dłonią, by stłumić śmiech.

- Czuję, że chciałby cię zobaczyć na ślubnym kobiercu.

- A robi wszystko, żeby mnie odstraszyć. Co za dziwak! Dlaczego po prostu nie złoży mi propozycji?

- Rachel! Chyba nie powiesz mi, że poważnie rozważyłabyś taką ofertę?

- A dlaczego by nie? Myślę, że małżeństwo jest mocno przereklamowane. Pozycja utrzymanki ma swoje zalety, zapewnia pieniądze i wolność.

- ... popłochu - dokończyła za nią Rachel, bynajmniej niezrażona tym, że przyjaciółka nietaktownie nawiązała do jej pierwszych zerwanych zaręczyn. Na szczęście nikt nigdy o tym nie wspominał. - June jest zupełnie inna niż ja - orzekła i zaczęła się gwałtownie wachlować, odchylając głowę do tyłu, gdyż jasne kosmyki przylgnęły do spoczonej szyi. - Nie mam żadnych złych przeczuć co do jej związku; musiałam poświęcić trzy miesiące, by doprowadzić do zaręczyn...

-Mniej więcej tyle samo czasu zajęło, ci skojarzenie mnie z Paulem - wtrąciła cicho Lucinda.

-Tak... - Rachel przechyliła głowę w zamyśleniu. - Mój kłopot polega na tym, że za mało myślę o sobie. Powinam była zostawić kogoś z tych wspaniałych dżentelmenów dla siebie. - Westchnęła afektownie. - A tymczasem poszłam w odstawkę i muszę zadowolić się rymowanymi od wierszokletów.

Lucinda zachichotała.

- Moncur przypomina mi Byrona! Jest przystojny, a przy tym mądry i wrażliwy.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, patrząc na damy w modnych sukniach z muślinu, przechadzające się leniwie pod parasolkami w bezlitośnie palącym popołudniowym słońcu.

- Na miłość boską! A już mi się wydawało, że nie jesteś w stanie niczym mnie zaskoczyć. - Lucinda zachichotała nerwowo. - Tylko nie dziel się swoimi teoriami z June. Biedaczka bierze twoje rady poważnie, uważając cię za wielki autorytet. Nie chciałabym, żeby w ostatniej chwili uciekła w... - Lucinda urwała i wygięła wargi w przeproszającym uśmiechu.

- Ten pierwszy narzeczony, ten irlandzki major...

- Kto?! - fuknęła Rachel, poirytowana faktem, że przyjaciółka powraca do porzuconego tematu rozmowy. - Ach, ten... - Westchnęła już spokojniejsza. - To było tak dawno temu, Lucy, że prawie nie pamiętam, jak on wygląda...

- W takim razie popatrz w lewo, to odświeżysz sobie pamięć - poradziła z łobuzerskim uśmiechem Lucinda.

Rachel zwróciła wzrok za spojrzeniem przyjaciółki.

Często zastanawiała się, co będzie czuła, kiedy znowu go zobaczy. Po sześciu latach zaczynała myśleć, że prawdopodobnie już nigdy się nie spotkają, zwłaszcza że ostatnio przyjeżdżała do Londynu tylko raz w roku, podczas sezonu, na zakupy z matką i siostrami. Umawiała się też wtedy z przyjaciółką Lucinda. W tym tygodniu cała rodzina zjechała do Londynu w związku z przygotowaniami do ślubu June.

W ciągu minionych lat nieraz myślała o tym, jak wyglądałoby ewentualne spotkanie, czy rozpoznaliby się po tak długim czasie i czy major bardzo się zmienił. Szybko odrywała się od tych bezsensownych rozważań. Teraz jednak miała przed sobą majora Connera Flintea w całej krasie; sam widok jego wyrazistej twarzy potrafił czuć nutę w jej sercu. Odwróciła głowę.

- Och, Isabel... szkoda, że cię tu nie ma... - szepnęła.

Usłyszawszy cichy jęk przyjaciółki, Lucinda popatrzyła na nią z niepokojem.

- To chyba nie on. Przepraszam cię. Nie powinnam była robić ci nadziei. Ten mężczyzna jest zbyt młody, a major musi mieć ze trzydzieści parę lat. Zapewne przytył, posiwił i zamieszkał w Irlandii.

- To on - powiedziała głucho Rachel. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Poznała go od razu, chociaż wydawało jej się, że jego twarz już dawno zatarła się jej w pamięci. Mimo że znajdowali się w pewnej odległości od siebie, gotowa byłaby przysiąc, że widzi niebieskie oczy, słyszy miękki irlandzki akcent.

Zamrugła powiekami. Major powoził elegancką dwukółką, a obok niego siedziała ledwie sięgająca mu ramienia filigranowa kobieta, świeża i wytworna w muślinowej sukni cytrynowego koloru. Twarz kobiety była skryta za parasolką, lekko kołyszącą się na boki. Spod przybranego bratkami słomkowego kapelusza wysunął się kosmyk, czarny jak u towarzyszącego jej mężczyzny.

- Myślę, że to signora Laviola - powiedziała Lucinda. - Tak, to na pewno ona - potwierdziła z ożywieniem, kiedy kobieta wdzięcznie przechyliła głowę, jakby onieśmielona swobodnym zachowaniem towarzysza.

- Nie gap się tak, Lucindo - ofuknęła przyjaciółkę Rachel. - Może się odwrócić i nas zobaczyć.

- Wydaje się bardzo zajęty zabawianiem signory - stwierdziła Lucinda. - Ona ma licznych adoratorów. Jednym z nich jest lord Harley. Popatrz, siedzi w tym powozie, a obok widzę innych mężczyzn, którzy też wybałuszają oczy na jej widok. Ludzie mówią, że piękna Laviola była już gotowa zgodzić się na to, by Harley został jej protektorem, lecz nagle rzuciła go dla bogatszego kochanka... - Umilkła trochę za późno.

Rachel gwałtownie opadła na oparcie, nasunęła kapelusz na czoło i odgrodziła się parasolką od ciekawskich spojrzeń z lewej strony.

- Co blokuje drogę? - zapytała zniecierpliwiona, unosząc się nieznacznie. Ich lando i dwukółką stanęły w jednej linii, jako że ruch na wąskiej, zatłoczonej uliczce nagle zamarł.

Lucinda zaczęła się wiercić, chcąc lepiej przyjrzeć się włoskiej sopranistce, która kilka miesięcy temu przyjechała do Londynu, od razu budząc powszechne zainteresowanie. Signora stała się maskotką towarzystwa: obdarzona anielskim głosem i wspaniałym ciałem budziła pożądanie mężczyzn. Przynajmniej tak twierdziła Dorothy Draper. Lucinda zastanawiała się, czy jej mąż, Paul, również wielbi signorę. Postanowiła go o to zapytać w swoim czasie, kiedy przestanie się sobie wydawać gruba i nieatrakcyjna. Rozpaczliwie wyciągnęła szyję, jednak nie udało jej się wiele zobaczyć, gdyż dorożka szepiła się kołami z wozem piwowara i na ulicy powstał zator. Nieco wcześniej dorożkarz próbował zmieścić pojazd pomiędzy wozem piwowara a wozem z węglem i doszło do kolizji. Z pewnością biedak chciał jak najszybciej zawieźć wymagającego klienta we wskazane miejsce, licząc na suty napiwek. Gdyby manewr mu się powiódł, zasłużyłby na nagrodę. Niestety, doprowadził do tego, że ulica została zakorkowana powozami i tłumem ludzi, śpieszących do swoich zajęć.

Zaniepokojona, że major może odwrócić głowę w stronę, z której dobiegały głośne przekleństwa dorożkarza, Rachel uniosła się, by zobaczyć, co się dzieje. Natychmiast uderzył ją w nozdrza zapach jabłek, rozchodzący się w gorącym powietrzu. Straganiarz zawodził wniebogłosy, gwałtownymi gestami wskazując apatycznemu psu zniszczony wózek i rozsypane, zmiążdżone owoce.

Po chwili uwagę Rachel zwrócili dorożkarz i młody piwowar, obrzucający się siarczystymi przekleństwami. Pasażer dorożki, w pudrowanej peruce, wychylił się z okienka i wykonał obsceniczny gest w stronę węglarza, który właśnie włączył się do zażartej dyskusji na temat kultury użytkowania dróg publicznych, wskazując uszkodzoną szprychę.

Rachel pociągnęła stangreta za rękaw.

- Nie dasz rady tu zakręcić, Ralph? - zapytała, choć zdawała sobie sprawę, że taki manewr absolutnie nie wchodzi w rachubę w ścisiku.

- To nie takie proste, panno Rachel, gdyby było, już dawno bym to zrobił. Damy nie powinny słyszeć takich słów. - Mówiąc to, rzucił nienawistne spojrzenie piwowarowi, a potem z dezaprobatą pokręcił głową w stronę mężczyzny w peruce.

- O co ci chodzi?- spytał zaczepnie Ralpha spocony jak mysz właściciel peruki.

- Tu są damy - zauważył Ralph, skinieniem głowy wskazując pasażerki.

- A tu jest sędzia pokoju - odpowiedział mężczyzna, uśmiechając się z wyższością. - Zawsze potrafię wywęszyć łobuza...

- Jestem tego pewny - mruknął Ralph.

Sędzia pokoju kilka razy dotknął swego wydatnego nosa i potoczył dookoła chytrymi oczkami, po czym wycelował palec w piwowara.

- Czuję, że mam przed sobą oszusta. Nie znam nazwiska, które znajduje się na twoim wozie, ani ciebie z cechu piwowarów. Mam ochotę obejrzeć twoje zezwolenie na sprzedaż alkoholu.

Sędzia trafił w dziesiątkę. Młody mężczyzna z wściekłością popatrzył na Ralpa.

- No i popatrz, co zrobiłeś. Nie mogłeś siedzieć cicho?

- Jak śmiesz odzywać się do mnie takim tonem! - ryknął Ralph. Zeskoczył z kozła i ruszył po kocich łbach w stronę chłopaka, nie zważając na Rachel, która nakazywała mu natychmiastowy powrót. Zdarł z siebie elegancki uniform stangreta i kapelusz, po czym zaczął podwijać rękawy nakrochmalonej białej koszuli.

Młody piwowar błyskawicznie stanął przed nim. Splunąwszy w dłonie, rozpoczęli bokserski rytuał; podskakiwali i chwiali się na boki, ostrożnie trzymając się na odległość jednego jarda. Jednak kiedy w końcu Ralph przyjął odpowiednią postawę na ugiętych nogach i wyprowadził cios, jego pięść została powstrzymana przez czyjąś potężną dłoń.

- W czym problem?

Rachel nie zauważyła nadejścia mężczyzny. Była zajęta przygotowywaniem broni; w razie potrzeby zamierzała przyjść Ralphowi z pomocą, uderzając przeciwnika w głowę parasolką. Słyszając, że Lucinda bierze gwałtowny oddech, instynktownie otworzyła parasolkę drżącymi rękami i zasłoniła twarz. Ledwie usłyszała miękki irlandzki akcent, domyśliła się, kim jest nowo przybyły, a serce zaczęło bić jej w piersi jak oszalałe.

Ralph wojowniczo zginał i rozprostowywał palce.

- Dobrze, że pan się pojawił, bo ten smarkacz by oberwał, bez dwóch zdań.

Węglarz, który, siedząc na wozie, podekscytowany, oczekiwał widowiska, założył ramiona na piersi i wyraził rozczarowanie serią grymasów. Uważał optymizm Ralpa za nieuzasadniony, cmokał więc z powątpiewaniem i potrząsał głową.

Sędzia pokoju leniwie skinął dłonią na rozjemcę. Potrafił rozpoznać zamożnego, wpływowego człowieka i zamierzał skorzystać z okazji do zawarcia znajomości.

-Te dwa łobuzy - wskazał węglarza i piwowara - bawią się moim kosztem i chcą mi przeszkodzić w wypełnianiu służbowych obowiązków. Powiniennem - wyciągnął zegarek z kieszeni - już od dziesięciu minut być na posiedzeniu sądu. A ten człowiek - wskazał Ralpa tak gwałtownym ruchem głowy, że peruka zsunęła się na oczy - jest wyjątkowo zuchwały i ordynarny. Zamierzam doprowadzić do tego, by zostali wychłostani i ukarani grzywną za zakłócanie porządku publicznego i obrażanie sędziego pokoju. - Teatralnym gestem poprawił perukę.



-Tak nie można! To nieprawda! - Rachel nie była w stanie spokojnie słuchać, jak sędzia pokoju nagina rzeczywistość do własnych celów. Gwałtownie złożyła parasolkę.

Elegancki mężczyzna o włosach czarnych jak heban, niezwykle podobny do jej byłego narzeczonego, stał tuż obok landa. Odważnie popatrzyła na znajomą, surową twarz. To nie może być on, pomyślała, nie przypominam sobie, żeby był aż tak wysoki i miał tak ciemne włosy. Czowała, że kręci jej się w głowie.

Sędzia pokoju z niedowierzaniem popatrzył na urodziwą damę, która ośmieliła się rzucić mu tak poważne oskarżenie.

- Gdyby czekał pan spokojnie na swoją kolej, a nie starał się przepchnąć naprzód, nie doszłoby do kolizji i wszyscy teraz spokojnie jechaliby tam, gdzie zamierzali - kontynuowała z przejściem Rachel, kierując spojrzenie prosto na sędziego pokoju, tak by nikt nie miał wątpliwości, do kogo się zwraca.

Sędzia otworzył usta ze zdumienia i dopiero po dłuższej chwili odzyskał mowę.

- Moja droga młoda osóbkko - powiedział protekcyjnym tonem - nie wie pani, do kogo mówi. Kogo pani oskarża o fałszywe świadectwo. - Potrafił wyczuć sawantkę o mętnych, liberalnych poglądach, nie uznającą męskiego autorytetu.

- Ale ja wiem, kim pan jest - wtrącił aksamitny głos. - Wielmożny pan Arthur Goodwin, nieprawdaż? Wydaje mi się, że miałem przyjemność poznać pana na wieczorku u pani Crawford w zeszłym tygodniu. Chyba że się mylę...

Arthur Goodwin w jednej chwili stracił rezon i z niepokojem popatrzył na wytwornego mężczyznę.

- Tak - wychrypiał. - Rzeczywiście mogłem tam być, ale nie przypominam sobie pana.

- Nie czuję się tym urażony.

Goodwin wyczuł ironię zawartą w tych słowach. Tamtego wieczoru, na orgiastycznej imprezie u pani Crawford, nie potrafiłby wymienić własnego nazwiska, tak był pijany. Cud, że pamiętał o tym, by zabrać spodnie z łóżka dziewczyny, która użyczyła mu swych wdzięków.

- Proszę mi przypomnieć swoje nazwisko - zaproponował pogodnie.

- Devane... lord Devane. To dziwne, że tak szybko znów się spotykamy. Jak się czuje pani Goodwin? Przypominam sobie, że wspominał pan o jej chorobie.

- To prawda... mogłem to powiedzieć... - przyznał cicho Arthur, bojąc się tego, co go czeka ze strony żony, gdy dojdą ją słuchy o jego regularnych wizytach u pani Crawford w celu sprawdzenia, czy przyjęto tam jakieś nowe dziewczęta. Gdyby małżonka, zacna kobieta, dowiedziała się, że po kilku kieliszkach często nazywał ją zimną rybą i zdziurą... Przerażony, cofnął się w głąb powozu jak ślimak do skorupy.

Samuel Smith, młody piwowar, rozwożący alkohol w beczkach, z uznaniem mrugnął do swego wybawcy i z wdzięcznością kiwnął głową.

- Trzeba naprawić koło - mruknął Connor, wskazując uszkodzoną obręcz.

Sam natychmiast zabrał się do dzieła.

- Możesz pomóc? - zapytał węglarza.

Pochłonięty obserwowaniem niecodziennych wydarzeń, przygarbiony kupiec drgnął, jak wyrwany z transu, i ochoczo włączył się do akcji, ze zdumieniem popatrując na przystojnego, władczego arystokratę.

Sam Smith zastanawiał się, dlaczego jego lordowska mość zdecydował się zostać rozjemcą w sporze. W pewnej chwili dostrzegł urodziwą blondynkę w eleganckim powozie. Jasnie pan wydawał się nią niezwykle zainteresowany, mimo że kobieta robiła wszystko, by na niego nie patrzeć. Było to tym dziwniejsze, że jej przyjaciółka nie mogła od niego oderwać wzroku.

Jednak to właśnie ta jasnowłosa piękność się za nimi wstawiła. Zazwyczaj damy z towarzystwa nie zauważały obecności ludzi parających się handlem czy rzemiosłem, chyba że potrzebowały gdzieś szybko dojechać albo trzeba było rozpalić ogień w kominku czy zaopatrzyć spiżarnię. Tymczasem ta dama bronila trzech służących tylko dlatego, że nade ty sędzia nie miał racji. Samuel dobrze wiedział, że Arthur Goodwin nie po raz pierwszy był nieuczciwy.

Ralph pochylił się nad uszkodzonym kołem i fachowo ocenił jego stan, gotów pomóc mężczyznom, którzy zajęli się naprawą. Rachel starała się go przywołać dyskretnymi gestami. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. Niespodziewane pojawienie się czarnowłosego mężczyzny, który tak bardzo przypominał jej Connora Flintę a, sprawiło, że powróciły bolesne wspomnienia. Pragnęła przemyśleć wszystko w samotności.

Ulica znów stała się przejezdna. Straganiarz ruszył naprzód, ciągnąc swój wóz. Co pewien czas wygrażał pięścią pasażerom pojazdów, którzy, zdenerwowani z powodu spóźnienia, próbowali go popędzać. Na włączenie się do ruchu czekał jeszcze faeton lorda Devane'a i dwukołowy powóz lorda Harleya, który podjechał w stronę faetonu i jego pięknej pasażerki.

Rachel dyskretnie obserwowała Włoszkę, kokietującą dwóch dandysów. Mimo że sprawiała wrażenie pochłoniętej flirtem, czujnie obserwowała lorda Devane'a. Signora nie widziała Rachel.

Lord Devane? Rachel przeżyła zaskoczenie. Mężczyzna miał głos podobny do głosu majora Flintę a i przypominał go z urody, jednak nazwisko brzmiało dla niej zupełnie obco.

- Jedźmy już do domu Ralph - powiedziała -zastanawiając się, czy to możliwe, że istnieją dwaj niezwykle do siebie podobni Irlandczycy i że wzięła lorda Devane'a za kogoś innego. Wiedziała, że major ma przyrodniego brata mniej więcej w tym samym wieku, przypomniała sobie jednak, że Jason Davenport ma jasne włosy, a poza tym, jako brat przyrodni, musi się od niego różnić.

Nieposłuszny wcześniej Ralph, starając się zrehabilitować, natychmiast spełnił prośbę chlebodawcy. Wskoczył na swoje miejsce ze zdumiewającą sprężystością, zważywszy na jego wiek.

Wtedy podszedł do nich lord Devane. Chwycił najbliższą stojącą siwą klacz za uzdę, by podrapać ją za uszami. Zwierzę chętnie poddało się pieszczotom.

- Nie mieliśmy okazji zamienić słowa. - Ta uwaga, wypowiedziana beznamiętnym tonem, kontrastowała z badawczym spojrzeniem niebieskich oczu.

Nieco poirytowana Rachel zdała sobie sprawę, że jeśli nawet stoi przed nią major Flintę, to nie powinna się spodziewać, że ją pozna. Jeśli nawet tak się stało, nie zdradził się z tym. Z jego wzroku trudno było wyczytać coś poza wyrazem uznania dla jej atrakcyjności. Rachel uchodziła za urodziwą; tak mówili jej rodzice, Lucinda, a spojrzenia w lustro potwierdzały ich opinię.

Mężczyźni, którzy jej nie znali, szukali okazji do przedstawienia się. Ci, którzy słyszeli o zrywanych przez nią zaręczynach, starali się ją oczarować, naiwnie wierząc, że to im uda się złamać jej serce. Wydawało jej się to nawet zabawne. Doszły ją nawet plotki, że stawiano duże sumy w zakładach o to, komu uda się ją rozkocharać, a potem

bezceremonialnie porzucić.

Tak więc w czasie pobytów w Londynie pozwalała kilku naiwnym zabierać się na przejażdżkę po Hyde Parku; chodziła z nimi do opery i teatru, gdzie rodzice mieli łożę. Ledwie zaczynały rodzić się plotki o jej związku z którymś ze słynnych dandysów, natychmiast zrywała znajomość, potwierdzając swą reputację bezduszej uwodzicielki. Nie było jej z tego powodu przykro, nie odczuwała też wyrzutów sumienia. Czasami tylko ogarniała ją refleksja, że niczego na tym nie zyskuje.

Konie zarżały, przywołując ją do rzeczywistości. Uniosła powieki i napotkała uważne spojrzenie niebieskich oczu ocienionych długimi rzęsami. Natychmiast pozbyła się wątpliwości.

A więc to on... W dodatku mnie rozpoznaje i wydaje mu się, że wie, o czym teraz myślę. Nie ma pojęcia o moich prawdziwych uczuciach. A o czym on może myśleć? Czy jest na mnie wściekły? Czuje gorycz i niechęć po tym, jak został publicznie upokorzony? To musiało być dla niego okropne, lecz teraz jego twarz nie wyraża żadnych emocji. Dlaczego przedstawił się jako lord? Może chciał wyrzucić wrażenie na tym żalonym sędzim?

Jeśli tak, to sztuczka mu się udała. Dorożka wioząca Arthura Goodwina do sądu przetoczyła się obok nich na wykoślawionych kołach, a w okienku pojawiła się twarz sędziego, który obdarzył lorda Devanea ostrożnym, porozumiewawczym uśmiechem.

Wkrótce potem minęły ich wozy piwowara i węglarza. Jego lordowska mość skinął w odpowiedzi na podziękowania i pożegnania.

- Szlachectwo zobowiązuje - mruknęła pod nosem Rachel. Niezależnie od tego, czy jest prawdziwym arystokratą, czy tylko ma manię wielkości, dla niej jest po prostu majorem Flinte'em i nie musi martwić się o to, czy go przypadkiem nie obrazi. Niestety, po chwili to zrobiła.

- Proszę odsunąć rękę, żebyśmy mogli odjechać - powiedziała chłodno.

Lucinda, która jak dotąd spokojnie przyglądała się sytuacji, postanowiła interweniować.

- Jestem pani Saunders, Lucinda Saunders. Bardzo dziękuję za pańską pomoc, milordzie. Gdyby nie pan, to wszystko mogłoby się źle skończyć. - Posłała wymowne spojrzenie przyjaciółce, zachęcając ją do podjęcia tematu.

- A pani... ? - zachęcił zmysłowy głos.

Rachel beznamiętnie popatrzyła na majora.

- Jestem... bardzo wdzięczna za pańską pomoc. I bardzo proszę, żeby był pan łaskaw natychmiast się odsunąć, tak bym mogła udać się do domu. - Poklepała Ralpa po ramieniu i opadła na poduszki siedzenia.

Ralph sprawiał wrażenie zakłopotanego. Popatrzył na lorda Devane'a - Dobrego Samarytanina, a potem przeniósł wzrok na niewdzięczną panią i zapatrzył się w przestrzeń. Konie nie ruszyły.

- Mam pani powiedzieć, co o pani myślę?

Rachel poczuła, że się rumieni, a serce zaczyna jej bić coraz mocniej.

- Najwyraźniej ma pan za dużo czasu. Tymczasem ja go nie mam, jeśli więc uparł się pan mnie zaczepiać, proszę się pośpieszyć, bo zaczynam się niecierpliwić. - Potrząsnęła jasnymi włosami, patrząc na szerokie ramiona okryte brązowym surdudem, i dodała: - Podobnie jak pańska towarzyszka w powozie. Wydaje mi się, że za wszelką cenę stara się zwrócić na siebie pańską uwagę. - Popatrzyła na śniadą Włoszkę, która niemal podskakiwała na siedzeniu ze złości i co chwila rzucała gniewne spojrzenia w ich stronę. Diwa operowa najwyraźniej straciła już ochotę na flirtowanie; dwukółką lorda Harleya właśnie włączała się do ruchu ulicznego.

Connor Flintę nie interesował się swym faetonem i jego pasażerką. Leniwie popatrzył w ich stronę, nie śpiesząc się z powrotem. Czekał, aż Rachel znów na niego spojrzy.

- Chce pani, żebym się pośpieszył? Jest pani tego pewna? Tyle czasu... - Uśmiechnął się tak, że krew zaczęła żywiej pulsować Rachel pod skórą. - No dobrze. Myślę, że pani trochę się zmieniła, panno Meredith. To moja wstępna opinia. - Uśmiechnął się i przesunął palcami po błyszczących drzwiczkach landa. - To mnie cieszy, ale panią powinno smucić - dodał słodkim głosem, po czym ruszył w stronę swego faetonu. Zdołał już oblaskawić Włoszkę, kiedy Rachel w końcu odzyskała mowę i zawołała do Ralpha:

- Do domu! Szybko!



## Rozdział drugi

Rachel postanowiła, że Connorowi Flinteowi nie uda się zepsuć jej pozostałej części dnia. Idąc wraz z Sylvie korytarzem w poszukiwaniu June, usilnie starała się przestać myśleć o majorze.

Zaledwie przed chwilą ze smutnym uśmiechem poinformowała najmłodszą siostrę, że nie będzie żadnych koszyczków ani wianków. Wcześniej tego dnia kłóciły się na temat wiązanek ślubnych dla druhen, co bardzo zmartwiło June, która wkrótce miała wyjść za mąż. Teraz Rachel postanowiła pogodzić się z siostrą i ogłosić rozejm.

- Bukiecik gardenii przybrany liśćmi laurowymi i bluszczem. .. to chyba dobre wyjście, nie uważasz?

Sylvie popatrzyła na najstarszą siostrę ogromnymi, błyszczącymi oczami, których kolor przypominał burzowe chmury.

- Tak - odparła z rezygnacją, z wdzięcznością ściskając Rachel. - William przyjechał na obiad. Jest bardzo przystojny, nie uważasz? Chętnie wyszłabym za niego za mąż, gdyby trochę zaczekał i nie zakochał się w June. Znajdziesz dla mnie kogoś takiego jak William, Rachel? Może być trochę wyższy, mieć ciemne, a nie jasne włosy i dłuższe bokobrody. .. no i żeby nie miał piegów. Nie wiem, czy podobałyby mi się piegi u męża, nawet takie drobne, jakie William ma aa nosie. Nie przepadam też za piegami u kobiet. Noreen nie lubi swoich piegów i ciągle smaruje je sokiem z cytryny, żeby zbiały.

Rachel z uśmiechem wsunęła palce w platynowe włosy Sylvie. Kiedy je puściła, natychmiast zwinęły się w sprężyste loczki.

- Moja kochana, czuję, że nie będziesz miała żadnego kłopotu ze znalezieniem odpowiedniego męża, kiedy przyjdzie na to czas, i nie będziesz potrzebować mojej pomocy. Ja będę już wtedy dzieciinniałą starszą panią i będę zajmować się robieniem na drutach, a nie swataniem. Tak to widzę - powiedziała Rachel i ciężko westchnęła. - Za jakieś siedem lat będziesz utrapieniem naszego biednego ojca, łamiąc męskie serca.

- Tak jak ty teraz? - zapytała niewinnie Sylvie. Słyszała, że starsza siostra uchodzi za niepoprawną uwodzicielkę.

Sylvie miała sześć lat, kiedy dowiedziała, że Isabel przytrafiło się coś okropnego, a ludzie plotkowali o tym, że Rachel okrutnie traktuje mężczyzn.

Ponieważ nikt nie wtajemniczał Sylvie w szczegóły, gdyż wszyscy uważali, że wciąż jest dzieckiem, nauczyła się zbierać strzępki informacji, podsłuchując rozmowy Noreen i jej siostry, Dziwnej Mary. Wiedziała więc, że Rachel nie cieszy się najlepszą opinią, a pan William Pemberton oświadczył się June. Udawała jednak bardzo zaskoczoną, kiedy parę dni później matka powiedziała jej, że niebawem odbędzie się ślub i że będzie miała szwagra.

Siostry Shauglmessy plotkowały o wszystkim, polerując srebra w saloniku albo ścieląc łóżka. Właściwie plotkowała głównie Noreen, a jej ociężała umysłowo siostra kiwała głową. Jednak od czasu do czasu Dziwna Mary burkliwie wypowiadała jakieś zdanie na temat tego, co należy zrobić w gospodarstwie Meredithów. W dodatku czasami jej uwagi nie były tak głupie, jak można by się spodziewać.

- Proszę, nie idź za moim przykładem. - Zaskakująco poważny ton wypowiedzi Rachel wyrwał Sylvie z rozmyślań. Zaintrygowana popatrzyła na siostrę.-

- Myślę, że nasze gołąbeczki są tutaj. - Rachel gwałtownie otworzyła drzwi do niewielkiej biblioteki.

Jednak w pomieszczeniu nie dostrzegły June ani jej uroczego narzeczonego, Williama Pembertona. W pokoju byli za to rodzice, siedzący po przeciwnych stronach stołu. Byli tak dalece zaabsorbowani rozmową, że nie od razu zorientowali się, że nie są sami. Zaskoczeni państwo Meredithowie spojrzeli na urocze córki.

Sylvie wyrwała się z siostrzanego uścisku, szeleszcząc; suknią, podbiegła do ojca, by zarzucić mu ręce na szyję z rzadko okazywaną serdecznością. Edgar Meredith delikatnie poklepał drobne dłonie córki.

Rachel, która na swoje nieszczęście zawsze doskonale wyczuwała nastroje innych ludzi, zwłaszcza rodziców, poczuła niemiłe łaskotanie w żołądku.

- Coś się stało? Czyżby madame Bouillon zaproponowali nowe, zbyt śmiałe modele sukien? - Modniarka, której pomierzono uszycie strojów weselnych, wpadała na coraz - dziwaczniejsze pomysły. - Nie ma się czym martwić, doskonale sobie z nią poradzę.

Ojciec uśmiechnął się blado.

- Nigdy w to nie wątpiłem, moja droga. Zastosowałem się do twojej rady. Ukryłem się i czekałem, aż wyjdzie. Nie miała więc okazji zaplanować dla mnie żadnych piór i liści.

Rachel zerknęła na blat biurka.

- Nadeszła poczta? — zapytała, zauważając list w sękatych rękach ojca.

- Nie, nie było żadnej poczty. Ta wiadomość została doręczona przez służącego. To odpowiedź na zaproszenie na wesele - wyjaśniła Gloria Meredith z pozorną obojętnością, która potwierdziła tylko obawy Rachel. Każdy szczegół przygotowań do ślubu June był przez rodziców traktowany niezwykle poważnie.

Rachel usiadła w fotelu przy kominku. Był ciepły dzień i nie rozpalono ognia. Bezwiednie jednak przysunęła się do paleniska, przypominając sobie, że wcześniej, kiedy wraz z Lucindą wyruszały landem na Charing Cross, widziała, jak elegancko ubrany służący wspina się na schody ich londyńskiego domu. Wszystkie zaproszenia ślubne zostały wysłane przed miesiącem, a spodziewane odpowiedzi dawno już nadeszły, tłumaczenie matki wydało jej się więc nieprawdziwe,

Sylvie podeszła do otwartego okna i wychyliła się. Wyciągnęła rękę w stronę rosnącego pod domem krzewu bzu i zaczęła potrząsać gałązkami. Przyjemny, delikatny zapach rozszedł się po rozgrzanym pokoju. Rachel uniosła brwi, wiedząc, że coś się święci.

- Proszę, nie trzymajcie mnie dłużej w napięciu - poprosiła nieco zniecierpliwiona. - Kim jest ten ostatnio zaproszony gość? Jakaś ważna osobistość, którą koniecznie musimy przyjąć? A może powinniśmy za wszelką cenę zwiększyć liczbę gości? Czy ktoś odwołał przybycie? No, powiedzcie wreszcie, kto zaszczyci nas swą obecnością w Windrush?

Po dłuższej chwili, w czasie której rodzice wymienili spojrzenia, a potem uciekli wzrokiem, ojciec wyjaśnił z westchnieniem:

- To list od lorda Devane'a. List odmowny, to znaczy jego lordowska mość dziękuje za uprzejme zaproszenie i ubolewa, że nie będzie mógł przybyć, gdyż oczywiście jest zbyt dobrze wychowany, by po prostu nam odmówić. Najwyraźniej nie musiał zastanawiać się nad tą sprawą; odpowiedział bardzo szybko.

- Lord Devane? - zapytała, zdumiona, że znów słyszy to nazwisko. Nie była teraz w stanie oburzyć się z powodu afrontu zrobionego jej rodzinie. - Lord Devane? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Tak - odparł ojciec, znacząco patrząc na żonę. - Mówisz to tak, jakbyś znała jego lordowska mość.

- A znam? - zapytała Rachel.

- Wymieniłaś to nazwisko takim tonem, jakby było ci znane, moja droga - upierał się ojciec.

- To dlatego, że dziś po południu rozmawiałam z mężczyzną, który tak się przedstawił.

- Naprawdę? Gdzie?- zapytali jednocześnie rodzice, nie biedząc, czy mają się cieszyć, czy smucić.

- Spotkaliśmy się na ulicy z powodu kolizji powozów - powiedziała Rachel, wstając. - Lando jest w porządku - dodała szybko, widząc, że ojciec posmutniał. Miała wrażenie że martwi się o nowy powóz bardziej niż o najstarszą córkę. - Ale co tu się dzieje? Domyślałam się, że lord Devane to Connor Flintę. Co on takiego zrobił? Kupił sobie tytuł z odprawy wojskowej? - zapytała szyderczym tonem.

- Nic podobnego, moja droga - łagodnie napomniął ją ojciec. - Tytuł przysługuje mu z racji urodzenia. Jego irlandzki dziadek ze strony matki zmarł, a major odziedziczył rodzinne dobra. Ten fakt został ogłoszony w monitorze rządowym. Major ma więc pełne prawo do używania tytułu lorda Devane a.

Nie przetrawiwszy jeszcze zaskakujących wiadomości, Rachel oskarżycielskim gestem wskazała leżący na stole pergamin.

- Czy to znaczy, że zaprosiliście go na wesele June po tym wszystkim, co zaszło? - spytała. To ona, Rachel, ponosiła winę za wszystko. Major zachował się bez zarzutu, co zawsze podkreślali jej rodzice, a zwłaszcza pograżony w rozpacz ojciec. - Dlaczego go zaprosiliście, wiedząc, że jego pojawienie się może wywołać najprzeróżniejsze domysły i złośliwe plotki? Ludzie znów zaczną zadawać pytania o to, co przydarzyło się Isabel i... i... - Z przejęcia zabrakło jej słów; zakryła oczy dłonią.

- Nie mówimy o Isabel - zauważyła ze zbielełą twarzą matka, podejrzliwie przyglądając się najmłodszej córce, lecz Sylvie wydawała się przebywać w swoim dziecięcym świecie - oparła podbródek na złożonych dłoniach i podziwiała piękny wieczór.

- Przecież odmówił. - Edgar szybko zmienił temat, nie kryjąc rozczarowania. - Lord Devane odpisał nam zaledwie po kilku godzinach od wystosowania zaproszenia. Myślę, że to bardzo wymowne. Kiedy wręczałem mu zaproszenie, był jak zawsze uprzejmy i pełen godności. Bez wątpienia nadał będzie zachowywał się nienagannie. Jednak najwyraźniej nie zamierzał przyjąć... tej gałązki oliwnej. Chcieliśmy zatrzeć nieprzyjemne wrażenia, pokazać światu, że wszystko zostało już zapomniane i wybaczone. Wesele June z Williamem wydawało nam się idealną okazją do pojednania, zwłaszcza że oboje są niezwykle sympatyczni i dobrze ułożeni. - Westchnął ze smutkiem. - Gdyby Connor zgodził się przybyć na ślub, skandal raz na zawsze poszedłby w zapomnienie. Jednak natychmiast odmówił, oczywiście z zachowaniem należącego szacunku. - Edgar Meredith bezwiednie przesuwając palcami po kawałku papieru. - Domyślałem się, że może zareagować w ten sposób i trudno mi go za to winić.

- To oczywiste, że nigdy byś się na to nie zdobył - mruknęła z goryczą Rachel.

- Nie zrobił niczego nagannego. W tamtej okropnej sytuacji zachował się nienagannie - odparował ojciec z niespotykanym u niego zdecydowaniem. Popatrzył na córkę, a jego zwiędłe wargi zacisnęły się w wąską kreskę.

- O co mógłbym go oskarżyć? O to, że okazał się dżentelmenem w każdym calu? Że nie okazał pazerności ani egoizmu? Kontrakt był podpisany, ślub miał się odbyć za dwanaście godzin. Connor mógł się uprzeć i domagać wypełnienia obietnicy, a potem zagarnąć twój posag. Wystawić nas na pośmiewisko i doprowadzić do ruiny. A ja nawet nie mógłbym mieć do niego o to pretensji. Próby podważenia ważności umowy nie przyniosłyby mi chwały, a twoja reputacja ległaby w gruzach. Tymczasem przyjął winę na siebie, ratując w ten sposób twoje dobre imię. Nie chciał nawet odszkodowania, które mu proponowałem, mimo że znajdował się wtedy w trudnej sytuacji finansowej. Musiałem nalegać, by zgodził się odebrać pierścionek zaręczynowy. Nie chciał niczego, nawet tego, co mu się słusznie należało!

Gloria Meredith wstała, słysząc, że głos jej męża drży, przepełniony bólem i złością. Uspokajającym gestem położyła rękę na ramieniu Edgara. Drugą dłoń zwróciła ku białej jak ściana najstarszej córce.

- Nie mówmy już o tym. Nie ma sensu się kłócić. To wszystko było bardzo nierozsądne, mój drogi - powiedziała ostrożnie. - Mieliśmy dobre intencje, chcieliśmy wszystko załagodzić, tymczasem okazało się, że tylko rozjątrzyliśmy stare rany. Major... lord Devane - poprawiła się z uśmiechem - zawsze zachowuje się nienagannie, tymczasem my potrafimy się tylko kłócić. Przestańmy już robić z niego bohatera.

- Doskonały pomysł - podsumowała lodowatym tonem Rachel.

Ojciec i córka wyzywająco mierzyli się wzrokiem, gdy wtem otworzyły się drzwi biblioteki i do środka weszli roześmiani June i William. Po chwili uśmiechy zamarły im na ustach; wyczuli napięcie panujące w pokoju. June wyprostowała się. Wysoka jedynie na pięć stóp, lecz gibka jak młode drzewko, chwyciła mocną dłoń narzeczonego i wprowadziła go w głąb pomieszczenia, a na jej urodziwą twarzyczkę w kształcie serca powrócił promienny uśmiech.

- O, jesteście, June, Williamie! - Pani Meredith powitała ich z taką radością, jakby trzecia córka właśnie wróciła z za morza, a nie z sąsiedniego domu, w którym wraz z narzeczoną odwiedzała przyjaciół. - Jak się czujesz, Williamie? - zapytała. - Bardzo się cieszę, że w tym tygodniu spotkamy się z twoimi rodzicami na wieczorku muzycznym. Muszę porozmawiać z twoją mamą o przygotowaniach do tego wielkiego dnia. - Starając się za wszelką cenę rozładować atmosferę, Gloria na chwilę zapomniała o tym, że nie znosi przyszłej teściowej córki. Już w dniu zaręczyn odniosła wrażenie, że Pamela Pemberton uważa June za niewystarczająco dobrą partię dla swego syna, i spodziewa się, że Meredithowie nie będą w stanie nadać weselu odpowiedniej oprawy.

Na szczęście William był szczerze oddany swej narzeczonej i nie słuchał matki. Był gotów całować ziemię, po której stąpała June, traktował ją z niezwykłym szacunkiem, a kiedy odwiedził Windrush, miejsce, w którym planowano ślub, był zachwycony, cały czas twierdząc, że ma niezwykle szczęście.

Prawdę mówiąc, wcale się nie mylił. June była ogromnie urodziwa i pełna wdzięku, miała szlachetny charakter, a że nie skąpiono, środków na przygotowania do wesela, zapowiadało się ono na uroczystość w pełni uświetniającą połączenie dwóch zamożnych rodzin. Tak mówiła Rachel i wiele innych osób.

Poza tym nie należało przyjmować roli słabszego. Pan Meredith miał dochody porównywalne, a może nawet większe od tych, jakie przynosiła adwokacka praktyka Alexandra Pembertona. Gloria uważała więc, że Pembertonowie nie mają podstaw do wywyższania się. Wprawdzie Pamela twierdziła, że jest powiązana z rodem książęcym, jednak było to tak dalekie pokrewieństwo, że prawie się nie liczyło. Uśmiechając się złośliwie, Gloria z



satysfakcją przypomniała sobie, jak Rachel zuchwale wyraziła tę opinię w rozmowie z Pamelą, kiedy siedziały na świeżym powietrzu w czasie balu wydanego przez Winthropów w lecie zeszłego roku.

Przypominając sobie, jak najstarszej córce udało się onieśmielić Pamelę i doprowadzić do tego, że June i syn tej kobiety zostali sobie należycie przedstawieni w czasie balu, pani Meredith musiała przyznać, że był to majstersztyk. Plany Rachel, by wyswatać tych dwoje, okazały się strzałem w dziesiątkę. June i William byli w sobie bardzo zakochani, wkrótce miało odbyć się wielkie wesele i nic nie mogło zepsuć tego radosnego wydarzenia. Gloria była w tej sprawie zdecydowana tak jak jej najstarsza córka.

Popatrzyła na Rachel, a potem na Edgara. Ojciec i córka, wciąż zagniewani, stali w dwóch stronach pokoju, manifestując wzajemną wrogość. Mimo wszystko ci dwoje byli sobie bardzo bliscy. Podobnie uparci i szczerze oddani ludziom, na którym im zależało, mieli skłonność do działania pod wpływem impulsu. Jednak nierzadko potrafili myśleć rozsądnie. Szkoda tylko, że sami niechętnie przyjmowali dobre rady.

Gloria uśmiechnęła się nieznacznie, widząc, jak jej mąż stara się sprawić wrażenie opanowanego i pogodnie usposobionego, rozmawiając z Williamem o nowym gniadoszu do polowania, którego kupił w tym tygodniu. Mimo że William był prawym i szlachetnym człowiekiem, pani Meredith wiedziała, że nigdy nie zastąpi mężowi cudownego syna, który wymknął się Edgarowi z rąk sześć lat temu.

Glorię bardzo martwił fakt, że mąż nigdy do końca nie pogodził się z tą stratą.

Popatrzyła swymi szarymi oczami na Rachel. Wyglądała uroczo, oparta o ramę okienną i zapatrzona w ogród. Kiedy tak stała w tej kuszącej pozie, trudno było uwierzyć, że nie znalazł się dotąd mężczyzna, któremu byłaby gotowa oddać serce. Niestety, Gloria nie była w stanie przypomnieć sobie jakiegokolwiek dżentelmena, który ostatnio poważnie zainteresowałby się jej najstarszą córką. Mniej więcej od roku, odkąd Rachel skończyła dwadzieścia cztery lata, pani Meredith pomału oswajała się z myślą, że jej pierworodna zostanie starą panną, i to nie tylko dlatego, że mężczyźni byli ostrożni ze względu na jej reputację, ale także dlatego, że sama Rachel wolała pozostać w tym stanie.

To wszystko wydawało się pani Meredith niesprawiedliwe. Córki innych kobiet miały zeza albo wystające zęby, a jednak doskonale wychodziły za mąż. Tymczasem jej trafiła się córka o klasycznej urodzie, opiewanej przez poetów i uwiecznianej przez malarzy, a nie kochał jej nikt poza członkami rodziny. Któż by się spodziewał, że w tej drobnej, pozornie kruchej istotce o niewinnej buzi drzemie żelazna wola, odwaga i ognisty temperament. A poza tym była jeszcze Isabel... Kochana, urocza Isabel, utracona tak wcześnie, zanim jeszcze zdołała znaleźć odpowiednią partię. Łzy napłynęły do oczu Glorii. Nie wolno jej myśleć o Isabel... nie teraz. Musi skupić uwagę na innej córce. June zasługuje na jej uczucia tak samo jak Rachel i Sylvie, chociaż wcale nie domaga się matczynej uwagi tak jak jej siostry.

Podchodząc do otwartego okna, przy którym stały Rachel i Sylvie, Gloria machinalnie odciągnęła zasłony poruszane przez łagodny wiatr. Niespodziewanie Sylvie znów wychyliła się przez okno, zerwała gałązkę bzu i podała jedną kiść siostrze, a drugą mamie. Następnie, nie zważając na wymogi przyzwoitości, wspięła się na parapet, ukazując białą bieliznę, i zeskoczyła do ogrodu.

- Co za dziecko! - Gloria westchnęła ze smutkiem. - Bywają takie dni, że zastanawiam się, czy ona w ogóle jest dziewczynką. To największy urwis z waszej czwórki, a myślałam, że żadnej nie uda się tobie dorównać, Rachel. Pamiętasz swój dom na drzewie i zbiór zwierząt? - Gloria zadrżała na to wspomnienie. - Była tam niezła menażeria: owady, płazy ze stawu i ten okropny zaskroniec. Bied na Isabel omal nie zemdlą na widok ogromnej,

włochatej gąsienicy, którą włożyłaś jej do łóżka. - Głos jej się załamał; szybko zamruwała powiekami, by ukryć łzy.

Rachel pochyliła głowę, wciągając w nozdrza zapach bzu, otrzymanego w prezencie od Sylvie.

- Biedna Isabel - powtórzyła cicho. - Biedny papa - dodała z przekąsem. - Zawsze był ze mnie niezadowolony. Żałował, że nie urodziłam się chłopcem. Wtedy mogłabym do woli kolekcjonować zwierzęta, a papa byłby szczęśliwy, że odziedziczył Windrush.

- Wszyscy ojcowie marzą o tym, żeby mieć syna i dziedzica, Rachel - odpowiedziała łagodnie matka. - Tak już jest na tym świecie.

- I to dlatego chciał, żebym jak najszybciej wyszła za męża? Chciał w końcu mieć syna! A ja skończyłam wtedy dopiero dziewiętnaście lat - przypomniała matce chłodno.

- Nie byłaś już znowu taka młoda, moja droga - odcięła się Gloria. - Wyszłam za twojego ojca na miesiąc przed swoimi osiemnastymi urodzinami, a rok później urodziłam ciebie.

- To były inne czasy. Sześć lat temu w ogóle nie byłam gotowa zostać żoną.

- Powiedziałaś, że jesteś gotowa. Nikt cię nie zmuszał do przyjęcia oświadczeń Connera, a już na pewno nie on sam. Twierdziłaś, że jesteś zakochana. Twój ojciec chciał to wiedzieć, zanim zgodził się przyjąć propozycję Connera. Mielśmy na względzie wyłącznie twoje szczęście. Być może się myliłam, ale odniosłam wrażenie, że bardzo kochasz narzeczonego...

- To ja się myliłam. Popełniłam błąd, a jednak wciąż muszę za niego płacić.

- To nieprawda. - Gloria próbowała uspokoić córkę, zerkając na męża. - Nie możesz powiedzieć, że cię prześladowaliśmy.

- Poza tym papa ma już teraz swojego syna - mruknęła Rachel, zawstydzona łagodną szczerością matki. - William jest dobrym człowiekiem i będzie bardzo miłym członkiem rodziny.

- W dniu ślubu June nie będzie już bzu - zmieniła temat Gloria po chwili milczenia, unosząc kiść. - To wielka szkoda. Kaplica wygląda tak malowniczo, kiedy bez kwitnie obok bramy cmentarnej.

- Ale będą wtedy kwitły róże, lilie, jaśmin i groszek pachnący. - Rachel uśmiechnęła się. - Ogród będzie prezentował się wspaniale... Wszystko będzie wspaniale...

Wiedziała, że matka potrzebuje takich zapewnień nie tylko na temat wyglądu ogrodu. Wcale jednak nie przeraziła. Nikt tak dobrze jak Rachel nie znał Windrush'ego uroków. Poznała tam wszystko, od kamiennych murów po kominy, od krzewów bzy do stawu z liliami. Znała każdą piędź tej dwustuakrowej ziemi, która była jej tak droga. Któregoś dnia, mimo że była kobietą, przejmie majątek. Miała go odziedziczyć jako najstarsze dziecko.

- Nie chcę być wścibska, moja droga, ale czy Connor...?

Rachel parsknęła śmiechem.

- Tak, mamo, rozpoznał mnie i myślę, że wciąż jest na mnie zły, chociaż starał się nie dać tego po sobie poznać. Prawdę mówiąc, zachował się nienagannie, jak by to ujął papa. Przyszedł nam z pomocą, a gdyby nie jego interwencja, pewnie stalibyśmy teraz w korku na Charing Cross, patrząc jak Ralph bohatercko stacza bitwę z piwowarem. - Szybko opowiedziała matce o tym, co się stało, dodając na końcu: - To dziwne, jeszcze wczoraj gotowa byłabym przysiąc, że bym go nie poznała po tylu latach, tymczasem byłam pewna, że to on, ledwie Lucinda mi go pokazała. - To mówiąc, bezwiednie odrywała pączki bzu i wyrzucała je za okno.

- Co ci powiedział? Co mu odpowiedziałaś? Mam nadzieję, że nie byłaś nieuprzejma, Rachel. Twój ojciec wpadłby w gniew, dowiadując się, że znów zachowałaś się podle wobec tego człowieka.

-Nie takiego nie miało miejsca - zapewniła ją z uśmiechem Rachel, czując się trochę niepewnie z tym kłamstwem. Szczerze mówiąc, żałowała swego zachowania. Lord Devane był teraz dla niej obcym człowiekiem i nie dał jej powodu do złości. Gwałtownie oberwała ostatni kwiatek i odrzuciła nagą gałązkę. - Powiedział... właściwie mówił bardzo niewiele. Wspomniał tylko, że trochę się zmieniłam.

Dobrze pamiętała charakterystyczny irlandzki akcent: „Myślę, że pani trochę się zmieniła, panno Meredith. To mnie cieszy, ale powinno panią smucić”.

Kiedy odprowadzała go wzrokiem, miała złe przeczucia. Wiedziała, że dobrał słowa tak, by wywarły pożądany efekt, i nie powinna przywiązywać do nich nadmiernej wagi, jednak nieustannie je analizowała, szukając ukrytych znaczeń. Gdy wracały powozem do domu, Lucinda powiedziała, że wyczuła jedynie lekką ironię w słowach Connera. Uważała, że lord Devane ma specyficzne poczucie humoru. Rachel popatrzyła wtedy na nią tak, jakby przyjaciółka postradała zmysły.

Mimo wszystko bezstronna opinia Lucindy pocieszyła Rachel. Kiedy dojeżdżały do Beaulieu Gardens, skłonna była przypuszczać, że uwagi lorda Devane'a miały ją tylko zaintrygować i trudno byłoby je uznać za groźbę. Zapewne w duchu dziękował Bogu za to, że uniknął małżeństwa z kobietą, której wciąż brakowało dobrych manier. Gdyby przejmowała się tym, co Connor do niej czuje po tych sześciu latach, mogłaby być zażenowana... a przecież to wszystko nie miało żadnego znaczenia.

Odrywając się od rozmyślań, poczuła na sobie uważny wzrok matki i pośpiesznie kontynuowała opowieść o wydarzeniach minionego popołudnia.

- A potem lord Devane odjechał faetonem ze swoją towarzyszką. Lucinda twierdzi, że ta kobieta jest włoską śpiewaczką operową i wywiera duże wrażenie na mężczyznach. Myślę, że łączy ich romans. Ta kobieta nie mogła się doczekać, kiedy lord Devane do niej wróci, i specjalnie flirtowała ; kilkoma mężczyznami naraz. Tak czy owak - dokończyła z uśmiechem - jestem nawet zadowolona z tego, że wpadliśmy na siebie. Po sześciu latach spotkaliśmy się, rozstaliśmy i krzyżyk na drogę. Jestem pewna, że jego lordowska mość myśli dokładnie to samo. Niezależnie od tego, co mó-wi papa, cieszę się, że lord Devane wykazał się zdrowym rozsądkiem i taktem, nie przyjmując zaproszenia na wesele. Najwyraźniej nie ma ochoty na utrzymywanie z nami bliższych kontaktów. Mnie osobiście nie będzie brakować jego towarzystwa. Wprost przeciwnie.

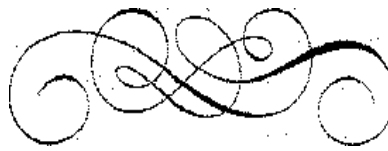
- Wygląda mi na to, że jego przyjaciółką może być Maria Laviola.

- Tak. Wydaje mi się, że Lucinda wymieniła właśnie to nazwisko.

Gloria Meredith wyglądała tak, jakby miała ochotę coś dodać, lecz tylko uśmiechnęła się promiennie. Uznała, że w obecnej sytuacji lepiej będzie, jeśli zachowa dla siebie wiadomość o tym, że signora Laviola została zaproszona jako gość honorowy na wieczorek muzyczny u Pembertonów.

Serdecznie poklepała najstarszą córkę po ramieniu, myśląc, że jeśli diwa operowa rzeczywiście jest kochanką Devane'a, lord prawdopodobnie zaszczyci ich swą obecnością. Gdyby Rachel o tym wiedziała, mogłaby znaleźć wymówkę, by zostać w domu. Gloria nie chciała do tego dopuścić. Nieobecność najstarszej córki na rodzinnym przyjęciu bez wątpienia wzbudziłaby więcej złośliwych uwag i podejrzeń niż przebywanie w towarzystwie mężczyzny, którego przed laty bezdusznie odtrąciła. Przyznawała córce rację: spotkanie, którego wszyscy tak się obawiali, Rachel

miała już za sobą. Teraz nadszedł czas, by potraktować całą sprawę jako stare dzieje i rozczarować plotkarzy. Podeszła do June i Williama, by wydobyć od przyszłego zięcia szczegóły na temat weselnej kreacji jego matki.



## Rozdział trzeci

Kiedy Connor zobaczył rumieniec na policzkach Rachel Meredith, poczuł zadowolenie, że wciąż nie jest jej obojętny. W czasach narzeczeńskich często uroczo różowiła się na jego widok. W swojej młodzieńczej zuchwałości wyobrażał sobie wówczas, że jego towarzystwo sprawia jej przyjemność. Na jego twarzy pojawiał się wtedy uśmiech zadowolenia, a Rachel szybko odwracała głowę. Teraz wiedział, że wtedy czerwieniła się, gdyż wprawiał ją w stan niepokoju i marzyła o jak najszybszym rozstaniu. Mimo wszystko był zadowolony, przekonując się, że jedno się nie zmieniło: nadal żywo reagowała na jego obecność.

Prowadząc żartobliwą rozmowę z przyrodnim bratem, usadowił się tak, by móc dyskretnie obserwować Rachel i podziwiać jej wdzięczną sylwetkę. Miała na sobie suknię z opalizującego niebieskiego jedwabiu. Prezentuje się z najlepszej strony, pomyślał z goryczą, patrząc na jej idealny profil. Rachel wyglądała jak bogini ze swą długą szyją okoloną złocistymi kędziorami. Wcześniej tego tygodnia zobaczył ją z bliska i od tej pory nie przestawał o niej myśleć. Musiał niechętnie przyznać, że chociaż jego była naręczona miała teraz prawie dwadzieścia sześć lat, wyglądała równie pięknie jak dawniej, gdy jako dziewiętnastoletnia dziewczyna przyprowadziła go o zawrót głowy. Troszkę się zaokrągliła, co czyniło ją bardziej kuszącą. Działała na niego od samego początku, a on okazał się ślepy, głuchy i niemy. Sześć lat temu z początku nie zdawał sobie sprawy, że kokieteryjne spojrzenia jej ogromnych niebieskich oczu nie są przeznaczone wyłącznie dla niego. Różni uwodziciele, którzy umieli wykorzystywać kobiecą próżność, prowokowali ją i cieszyli się, widząc, jak Connor cierpi w milczeniu, podczas gdy jego przyszła żona wystawia go na pośmiewisko.

Dobrze znał panujące wśród elit reguły. Dama, której reputacji broniło to, że pozostawała w stałym związku, mogła pozwolić sobie na otaczanie się wianuszkami adoratorów. Wiedział również, że pokaz zazdrości ze strony partnera był postrzegany jako coś niepotrzebnego i w złym guście. Mimo to niejedną raz musiał zaciskać zęby, by uczynić zadość wymogom etykiety, a jego cierpliwość i wytrzymałość były wystawiane na ciężką próbę. Kiedyś w Vauxhall Gardens zuchwały flirt Rachel z pewnym dandysem stał się powodem złośliwych plotek, których nie mógł zlekceważyć. Był wtedy bliski zaciągnięcia jej w krzaki, by dać jej nauczkę, tymczasem Rachel uśmiechnęła się do niego tak, jakby nikt inny się dla niej nie liczył, i natychmiast opuściła go całą złością.

Pozwalał jej więc na wiele, zdając sobie sprawę, że za tym wszystkim kryje się coś więcej niż tylko jej umiejętność radzenia sobie z jego nastrojami. Kochał ją do szaleństwa, trzymał na wodzy swój temperament i męskie potrzeby, zachowując się tak, by jej się przypodobać. Powściągliwość stała się jego drugą naturą. Okazało się, że niepotrzebnie się starał. Rachel nigdy go nie chciała. Wszystko było dla niej jedynie dziecinną grą na jej warunkach; jeśli się z nich wyłamywał, natychmiast słono za to płacił.

Zaczerwieniła się, gdy to zauważyła. Spodziewał się, że spiorunuje go wzrokiem, tymczasem dotknęła tylko pogłów, poprawiła fryzurę, a potem ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami.

Na jego pięknie wykrojonych, zmysłowych wargach zaigrał ironiczny uśmiezek. Rachel nie była już kokietką, zniewalającą mężczyzn zuchwałymi spojrzeniami. Zapewne spotkała na swej drodze mężczyznę, który potraktował a z należytą stanowczością i nauczył skromności i szacunku, Connor słyszał, że w ciągu minionych lat zerwała jeszcze parę zaręczyn. Teraz uchodziła za kobietę mniej atrakcyjną bynajmniej nie ze względu na wiek, gdyż jej majątek nadał stanowił dużą pokusę, lecz dlatego, że przyłgnęła do mej opinia bezdusznej uwodzicielki, potrafiącej ośmieszyć każdego mężczyznę, który próbowałby się do niej zbliżyć.

Istotnie, w swojej błyszczącej niebieskiej sukni, która doskonale komponowała się z barwą jej oczu zachowywała dystans.

Od chwili, gdy zobaczył ją w landzie, wesoło rozmawiającą z przyjaciółką, miał ogromną ochotę zburzyć jej spokój. Jednak, co dziwne, kiedy została ze wszystkich stron otoczona przez wojowniczo nastawionych mężczyzn, tylko przez moment wydawało mu się to zabawne. Zaraz potem postanowił przyjść jej z pomocą. Nie miał jednak pojęcia, dlaczego pozwolił sobie na złośliwą uwagę pod koniec rozmowy. Prawdopodobnie po prostu chciał ją zdenerwować.

Teraz chciał znów znaleźć się w takiej sytuacji. Miał ochotę sprawić, by przestała panować nad sobą, i zranić ją tak dotkliwie, jak ona jego zraniła. Pragnął być dla niej jak karząca butnych i zuchwałych Nemezis. Dziwił się swoim reakcjom. Sześć lat temu, wspierany przez przyjaciół, gratulował sobie tego, że zachował się tak dzielnie, gdy jego duma i honor zostały wystawione na ciężką próbę. Potem zapomniał o Rachel. Walczył na wojnie, zdobywał przyjaciół, przysparzał sobie wrogów i zyskiwał pieniądze, a nawet podkochał się w wielu kobietach. Teraz jednak, patrząc na piękną byłą narzeczoną, która nic sobie nie robiła z jego uczuć i nie przejmowała się tym, co między nimi zaszło, zaczął myśleć o zemście.

Odwrócił wzrok od Rachel i powiedział swemu bratu, że chciałby przejść do innego pokoju. Uprzejmie odpowiadając na liczne pozdrowienia, pozwolił Jasonowi prowadzić się przez tłum zapelniający korytarze domu Pembertonów do krętych schodów. Wiodły do salonów na piętrze. Wśród szmeru licznych rozmów dosłyszał muzyków, strojących instrumenty na wieczorny koncert. W miarę zbliżania się do salonu dźwięki muzyki stały się wyraźniejsze. Czując, że rozmowy nie zostały przerwane bez powodu, unióś wzrok.

Jego kochanka, ubrana w białą suknię ozdobioną szkarłatnymi różyczkami, zstępowała ze schodów, kierując się ku niemu. Kreacja została zaprojektowana tak, by ukazać kuszący dekolt, a przezroczyste jak mgiełka fałdy spódnicy pozwalały dostrzec oliwkową skórę kształtnych nóg.

Na szczęście ktoś pomyślał o tym, żeby otworzyć wszystkie okna i drzwi; dzięki temu można było oddychać mimo upału, który utrzymywał się mimo późnej pory. Lekki wietrzyk poruszał płomykami świec i chłodził czoła solidniej ubranych mężczyzn. Nagły podmuch powietrza wdarł się pod spódnicę Marii i unióś tkaninę aż nad zgrabne kolami. Na ten widok wielu mężczyzn jednocześnie rozluźniło fulary, by móc złapać oddech, a przez westybul przeszło przeciągłe westchnienie. Niektóre damy, oczekujące miłostek po koncercie, ogarnięte zazdrością przeklinały diwę.

Connor usłyszał chichot Marii, która po chwili udała za-wstydzoną i starannie wygładziła materiał na udach.

Ruszyła w stronę Connera, obserwującego ją spod przymkniętych powiek. Zastanawiał się, dlaczego tylko on musi płacić za stroje, które dają przyjemność tak wielu. Tego ranka jego sekretarz wręczył mu stos rachunków do przejrzenia. Większość z nich pochodziła od modniarek i modystek które na jego koszt uszyły niezliczone kreacje Marii,

Signora posłała Connorowi uśmiech przeznaczony wyłącznie dla niego i dopiero potem popatrzyła ciemnymi oczami w kształcie migdałów na zgromadzony tłum. Dumnie uniosła zgrabny podbródek i potrząsnęła głową, zarzucając gęste czarne loki na nagie ramiona.

Rachel wraz z innymi w napięciu oglądała ten pokaz zmysłowości. Nie mogła oderwać wzroku od Marii Lavioli, która triumfalnie dołączyła do lorda Devane'a na szerokich schodach, pokrytych czerwonym chodnikiem. Signora tak bardzo zbliżyła się do Connora, iż można było odnieść wrażenie, że jego szeroki tors w czarnym fraku wynurza się z białej sukni. Maria chwyciła go drobną dłonią za ramię gestem właścicielki i dopiero potem zwróciła się do towarzyszącego mu mężczyzny, w którym Rachel rozpoznała przyrodniego brata Connora, Jasona Davenporta. Czarne loki sopranistki zafalowały uroczo, gdy wspięła się na palce, by szepnąć coś kochankowi do ucha. Następnie zbliżyła wargi do blond włosów Jasona, jako że i on został zaszczycony chwilą rozmowy.

Rachel pomyślała, że ta kobieta skupia na sobie uwagę, udając, że tego nie widzi. Odegrawszy rolę femme fatale i pokazawszy obecnym na przyjęciu damom, kto tu wiedzie prym, z satysfakcją wsunęła śniade dłonie pod ramiona towarzyszących jej mężczyzn i cała trójka powoli zaczęła wstępować na kręte schody.

Gdy byli już na górze, Rachel oprzytomniała i oderwała wzrok od dwóch postawnych, wytwornych dżentelmenów i drobnej, kołyszącej biodrami kobiety. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że mający dobrą pamięć ludzie przenieśli zainteresowanie na nią, nie kryjąc złośliwej satysfakcji. Zrozumiała, że kiedy przyglądała się byłemu narzeczonemu i jego kochance - a trudno było teraz mieć wątpliwości, że ta kobieta zajmuje taką właśnie pozycję w jego życiu - sama była uważnie obserwowana. Jej reakcja na aktualne wydarzenia bez wątpienia stała się przedmiotem zainteresowania i nazajutrz będzie omawiana w klubach i salonach, podkolorowana i interpretowana na wszystkie możliwe sposoby.

Przyszła teściowa siostry stała tuż obok lady Winthrop. Przysadzista baronowa z chytrym uśmieszkiem przyglądała się Rachel, podobnie jak rozbawiona Pamela Pemberton. Rachel z przerażeniem poczuła, że krew nabiega jej do twarzy. Plotkarki zyskały teraz pewność, że to, co zobaczyła, nie było jej obojętne.

Ta kobieta jest podła, pomyślała Rachel, współczując w duchu młodszej siostrze. Po chwili popadła w jeszcze większe przygnębienie, uświadamiając sobie, że to ona przyłożyła rękę do związania losów June i Pameli, poznając June z Williamem, zanim jeszcze dowiedziała się, iż jego matką jest ta stara jędza. Dzięki Bogu, że William nie przypominał jej ani z wyglądu, ani z charakteru i zdecydowanie lepiej porozumiewał się z ojcem. Alexander Pemberton wydawał się Rachel uprzejmy i kulturalny, a także o całe niebo przystojniejszy od charakteryzującej się ostrymi rysami żony, straszliwej snobki.

Rachel udało się popsuć humor obu paniom, gdy obdarzyła je pogodnym uśmiechem. Syknęła pod adresem June, by była gotowa do akcji, chwyciła młodszą siostrę za rękę i przygotowała się do stoczenia bitwy.

Nie witając się z przyszłą żoną syna, Pamela zaczęła bez żadnych wstępów:

- Właśnie tak sobie rozmawialiśmy, panno Meredith, czy to nie był ten Irlandczyk, z którym kiedyś była pani...

- Jest pani bardzo spostrzegawcza, pani Pemberton. Zaimponowała mi pani tym, że go pamięta po tylu latach; ja zdażyłam już o tym wszystkim zapomnieć. To naprawdę dziwne, że ta sprawa jeszcze panią intryguje. Rzeczywiście, to ten mężczyzna, za którego nie chciałam wyjść za mąż. To miłe, że wciąż wygląda tak młodo. Muszę przyznać, że w swoim czasie poważnie się nad wszystkim zastanawiałam.

Lady Winthrop uśmiechnęła się z przymusem i udała zaskoczenie, unosząc czarne jak smoła brwi, odcinające się od kredowobiałego czoła.

- Trudno mi w to uwierzyć, panno Meredith. To naprawdę dziwne, że niezamężna kobieta, która dawno ma już debiut za sobą, cieszy się, że kiedyś odrzuciła tak doskonałą partię. W środę ponad połowa debiutantek u Almacka mówiła tylko o lordzie Devanie i zastanawiała się, jak zwrócić na siebie jego uwagę. Pozostałe były już zajęte i sprawiały wrażenie nieszczęśliwych z tego powodu. Miałam serdecznie dość wysłuchiwanie młodych dam, wychwalających pod niebiosa zalety lorda. - Zatrzepotała rzadkimi rzęsami, uniosła wzrok na sufit i zaczęła piskliwie przedrzeźniać: - Jaki on przystojny, jaki uroczy, jaki bogaty.

- Jaki nieosiągalny... - dokończyła dyszkantem Rachel.

Lady Winthrop oderwała wzrok od gipsowych amorków na suficie, by wbić mordercze spojrzenie w przeciwniczkę.

- Jego lordowska mość jest już zajęty, jeśli chodzi o sprawy sercowe - wyjaśniła niewinnie Rachel.

Pamela Pemberton zaśmiała się nieprzyjemnie.

- Myślę, że młodym damom, które wspomniała moja przyjaciółka, chodzi o coś więcej, o poważny związek z hrabią, a nie taki, jaki łączy go z signorą Laviolą.

- Mam wiadomości z pewnego źródła, że hrabia poważnie traktuje znajomość z signorą Laviolą - odgryzła się Rachel, ściskając ramię siostry dla dodania jej otuchy.

Słyszała, jak June westchnęła, zakłopotana. Rachel poczuła, że wkracza na niebezpieczne ścieżki. Dobrze wychowane panny, nawet nie najmłodsze, nie powinny otwarcie poruszać pewnych tematów. Nie przejmowałyby się tym, jednak musiała dbać o reputację rodziny, a zwłaszcza June, w przededniu jej ślubu. Postanowiła więc być ostrożniejsza, tym bardziej że jej rozmówczynią była kobieta, która w niedługim czasie stanie się członkiem rodziny. Rachel aż wzdrygnęła się na tę myśl.

Pani Pemberton rozejrzała się niepewnie, jakby zastanawiając się nad tym, czy powinna kontynuować tę śmiałą rozmowę. W końcu rzuciła wyzywające spojrzenie June, -jakby ta jedyna osoba, która pozostawała bierna, była czemuś winna.

Kiedy June zaczerwieniła się, wyraźnie zakłopotana, Rachel nastroszyła się i postanowiła wziąć na siebie całą odpowiedzialność za przebieg rozmowy.

- Prawdę mówiąc, chciałam podzielić się pewną plotką - wyszeptala po czym zrobiła pauzę i pochyliła głowę.

Starsze kobiety wymieniły spojrzenia. Zaintrygowane w zbyt wielkim stopniu, by martwić się posądzeniami o brak ogłady, zbliżyły swe okryte zawojami głowy do złotych kędziorów Rachel.

- Jego lordowska mość... bardzo regularnie uczęszcza na występy signory. Nie opuścił ani jednego. - Uśmiechnęła się, widząc rozczarowanie malujące się na twarzach rozmówczyń.



Rachel nie miała pojęcia, czy lord słucha śpiewu kochanki, i w ogóle się tym nie interesowała. Natomiast irytowało ją to, że przychodząc tutaj, nie miała pojęcia, co się święci. Gdyby wiedziała, co ją czeka, spędziłaby wieczór zamknięta w bibliotece, z poezją Philipa Moncura. Tymczasem nie miała szans na szybki powrót do domu. Gdyby zaczęła udawać chorobę, wzbudziłoby to tylko jeszcze więcej plotek i podejrzeń. Musiała przetrwać ten wieczór.

- Obawiam się, że pani rodzice nie uważają tej sprawy za zabawną - powiedziała wyniośle bezdzietna baronowa. - Zapewnienie stabilizacji życiowej czterem córkom to nie żart. Z pewnością nie byłabym szczęśliwa, gdyby moja młodsza córka wyszła za męża, zanim starsza zdążyłaby ułożyć sobie życie.

- W takim razie należy się cieszyć, że nie będzie pani miała tego problemu — odparła słodkim tonem Rachel.

- Ja też nie chciałabym doczekać takiej chwili - wtrąciła szybko Pamela, zauważając, że jej przyjaciółka poczerwieniała z oburzenia. - Chociaż muszę przypomnieć, że w tej chwili możemy mówić jedynie o trzech pannach Meredith. Biedna Isabel... To musiało być okropne dla twojej biednej matki Wyobrażam sobie, jak bardzo cierpiała...

- To prawda, i dlatego lepiej o tym nie mówić, szczególnie na przyjęciu towarzyskim - odezwał się zdecydowany męski głos, w którym pobrzmiwało oburzenie.

Pamela zaróżowiła się pod pudrem, patrząc na swego jedynaka. Uwielbiała go i z pokorą przyjmowała to, że krytykował jej upodobanie do plotek, starając się go przekonać, że nigdy nie miała na myśli niczego złego i nikomu nie wyrządziła krzywdy. Uśmiechnęła się do niego; odwzajemnił uśmiech i przyprawił ją o jeszcze żywszy rumieniec.

June odetchnęła z ulgą na widok ukochanego, który serdecznie przytulił ją do siebie.

- Rzeczywiście, trochę się zagalopowałam - skarciła się Pamela, zbywając całą sprawę machnięciem ręki. - Zapomniałam powiedzieć, że June wkrótce się usamodzielni, wchodząc do naszej rodziny, co ogromnie nas cieszy, w domu zostaną więc tylko panna Rachel i malutka Sylvie. Już teraz widać, jaka urocza będzie z niej debiutantką. Kiedy ostatnio ją widziałam, pomyślałam: O, jaka wysoka! I jaka śliczna! Oj, w swoim czasie złamie niejedno serce!

- Zorientowała się, że ta ostatnia uwaga nie była najrzeczniejsza, zważywszy na przeżycia panny Rachel, zamilkła więc i, zmieszana, dotknęła rzadkich loków.

- Jestem pewna, że ma pani rację - odparła Rachel, bawiąc się zakłopotaniem Pameli. - Obawiam się, że nie ma na to rady, to już nasza rodzinna specjalność.

Pamela posłała mordercze spojrzenie przeciwnicze, po czym popatrzyła dookoła, szukając drogi ucieczki.

- O, June, widzę twoją mamę - powiedziała. - Muszę z nią porozmawiać na temat wesela. - Skinęła na lady Winthrop i obie matrony pośpiesznie się oddaliły.

- Chciałbym móc powiedzieć, że nie miała nic złego na myśli - odezwał się cicho William - ale nie jestem pewien, czy byłoby to zgodne z prawdą.

- W takim razie musimy rozstrzygnąć wątpliwości na korzyść twojej mamy - zaproponowała wesoło June. - Myślę, że rzeczywiście uważa, że Sylvie jest ładna.

- I naprawdę się cieszy, że wejdiesz do naszej rodziny? June zaczerwieniła się i zatrzepotała rękami, rozpaczliwie szukając dyplomatycznej odpowiedzi.

- Ja się bardzo cieszę, kochanie - zapewnił ją William.

- Wiem - wyszeptała narzeczona, z uwielbieniem patrząc mu w twarz błyszczącymi brązowymi oczami.

- No cóż... - powiedziała Rachel, czując wielką radość. Miała wrażenie, że jest tu intruzem. - Poszukam Lucindy i Paula. Wiem, że przyjechali jeszcze przed nami, ich powóz zatrzymał się przed domem, kiedy nadjeżdżaliśmy.

- Cofnęła się o parę kroków i odwróciła się w stronę drzwi.

Wiedziała, że ani siostra, ani William nawet nie zdawali sobie sprawy, że celowo zostawia ich samych pod byle pretekstem, tak byli zapatrzeni w siebie.

Tym razem bez przeszkód szła wyłożonym kamiennymi płytami korytarzem, w którym pozostało już niewiele osób, skupionych w luźnych grupkach. Większość gości przeszła do salonu na piętrze albo stała na schodach. Rachel powiodła wzrokiem po kolorowym tłumie, przypominającym stado jaskrawo upierzonych, egzotycznych ptaków. Na podeście po lewej stronie wypatrzyła rodziców i gospodynię wieczoru. Zawój na głowie Pameli Pemberton co chwila znajdował się w pozycji horyzontalnej, kiedy wyciągała szyję, by wyrzeć zza ojca i porozmawiać z matką. Rachel uśmiechnęła się w duchu. Pani Pemberton zwracała się do rodziców bardzo życzliwie po reprimendzie otrzymanej od syna. William najwyraźniej doskonale radził sobie z matką. Był wspaniałym, szlachetnym człowiekiem. Rachel z zadowoleniem pomyślała, że jej siostra ma jednak wielkie szczęście..

Usłyszawszy dźwięki muzyki, skierowała się ku schodom. Po raz ostatni rozejrzała się po westybulu w poszukiwaniu znajomych twarzy. Jacyś mężczyźni skończyli rozmowę i rozeszli się każdy w swoją stronę, a Rachel zobaczyła Lucindę i Paula Saundersów. Zignorowała poządlliwe spojrzenia dandysów i dumnie uniósłszy podbródek, ruszyła w stronę przyjaciół, jednak w połowie drogi przystanęła. Lucinda i Paul, podobnie jak June William, sprawiali wrażenie ludzi, którzy woleliby być sami. Lucinda uniosła głowę, by popatrzeć na męża, a na jej twarzy malował się wyraz bezgranicznego oddania.

Paul wydawał się interesować tylko żoną; dotknął czule jej zaróżowionego policzka.

Rachel cofnęła się, nie chcąc, by młodzi małżonkowie ją zauważyli. Ogarnął ją smutek. Nawet dobiegająca z salonu na piętrze muzyka nie była w stanie polepszyć jej nastroju. Zaciśnęła długie, szczupłe palce na lśniącej poręczy schodów, czując ucisk w piersi. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że jest bliska płaczu, a jej ręka drży.

To jakiś absurd, pomyślała. Jak mogła czuć się samotna, mając wokół siebie rodzinę i przyjaciół? Powinna być zadowolona. Jej najlepsza przyjaciółka była brzemienna i po *uszy* zakochana w mężu, ukochana siostra June wkrótce poślubi wspaniałego mężczyznę. Nie podniosło jej to jednak na duchu. Mocniej chwyciła się poręczy i zaczęła wspinać się na schody. Po pokonaniu kilku stopni poczuła się lepiej. Nie powinna się wstydzić, że wchodzi do salonu sama, bez przyjaciół czy krewnych; był to jedynie zbieg okoliczności. Westchnęła, potrząsnęła głową - jej włosy załśniły w świetle niezliczonych świec jak złoto - i uniosła mokre od łez oczy.

Dostrzegła członków rodziny Williama i, tuż przed sobą, silne męskie nogi w czarnych spodniach. Po chwili, jakby, poirytowany koniecznością wchodzenia na schody tyłem, właściciel nóg zatrzymał się i zagroził jej drogę. Przystanęła, ocierając łzy, i wpatrzyła się w wiszący na ścianie portret groźnie wyglądającego wojownika.

- Skończymy z tym?

- Nie rozumiem.

- Pomyślałem, że dobrze byłoby mieć to za sobą.

- Słyszałam pana słowa, ale nie rozumiem ich znaczenia. - Zdała sobie sprawę, że rozmowa z oprawnym w złote ramy portretem może wyglądać dziwnie; odwróciła się i oparła o poręcz. W jej spojrzeniu zza mokrych, posklejanych rzęs, kryło się wyzwanie. Connor był zabójczo przystojny, choć mógł budzić onieśmielenie. Sześć lat temu w ogóle się go nie bała. Teraz jednak czuła przed nim respekt, a może tylko było jej głupio, że wzruszyła się bez powodu. Nie powinna przy nim się nad sobą użalać.

Uniósł kącki ust w uśmiechu i popatrzył na nią niebieskimi oczami. Po chwili ruchem głowy wskazał pomieszczenia na piętrze.

- Tam, na górze, są setki ludzi, którzy marzą o tym, żeby zdarzyło się coś, co da im pożywkę do plotek. Byliby bardzo zadowoleni, gdyby to dotyczyło nas.

- Będą musieli poprzestać na plotkach dotyczących pana i tej pańskiej.., przyjaciółki, która ma piękny głos. Chciałabym posłuchać jej śpiewu - odpowiedziała szybko Rachel, lekko uniosła spódnice i ruszyła na piętro. Zanim zdołała pokonać trzy stopnie, drogę zagroziło jej silne męskie ramię. Rachel zachwiała się tak, że omal nie upadła.

- Niech pani będzie rozsądna, panno Meredith. Wystarczy pięć, dziesięć minut uprzejmej rozmowy, jeden uśmiech... Możemy nawet zatańczyć razem i wszystkich zadziwić i uciszyć.

Rachel zwróciła się twarzą do Connera. To, co mówił, brzmiało rozsądnie. Wiedziała, że to on ma rację, choć była wzburzona. Jeśli nie stawia czoła plotkom, ludzie nigdy nie zostawią ich w spokoju i będą snuć tysiące domysłów na ich temat. Nadszedł czas, by położyć temu kres, publicznie okazując sobie uprzejmą obojętność.

Nie miała nic do stracenia i mogła pozwolić sobie na małe przedstawienie. Porozmawia jakby nigdy nic z mężczyzną, którego przed laty porzuciła w przededniu ślubu. Zwilżyła wargi.

- Wiem, że mój ojciec uprzejmie dał panu możliwość położenia kresu plotkom na temat wzajemnych urazów, zapraszając pana na wesele mojej siostry w przyszłym miesiącu.

- To będzie w przyszłym miesiącu, a jesteśmy tu i teraz. Po co mamy czekać tak długo?

- Rzeczywiście po co - stwierdziła Rachel po dłuższym namyśle.

Przez chwilę miała wrażenie, że Connor odejdzie w swoją stronę, jednak jego oblicze nagle złagodniało. Uśmiechnął się i zszedł na stopień, na którym stała, skłonił się nieco afektownie i podał jej ramię. Udało mu się ją zaskoczyć. Po chwili wahania pozwoliła, by Connor Flintę, jak przed laty, wprowadził ją do salonu londyńskiej socjety.



## Rozdział czwarty

Pierwszymi osobami, które Rachel zauważyła po wejściu do zatłoczonego salonu, byli jej rodzice. Matka stała przodem, a ojciec był zwrócony plecami do wejścia. Towarzyszyła im pani Pemberton, wciąż, jak się wydawało, usposobiona bardzo przyjaźnie.

Rachel widziała moment, w którym matka ich zauważyła i oniemiała. Po chwili milczenia otworzyła usta, co nie dodało jej urody. Zmieniona twarz pani Meredith sprawiła, że Pamela Pemberton z zaciekawieniem wyciągnęła szyję, by się przekonać, co zaszło. Na szczęście w tym właśnie momencie przesłonili ich przechodzący ludzie. Rachel wiedziała jednak, że gospodyni wieczoru z pewnością się nią zainteresuje.

Ojciec, oczywiście, niczego nie zauważył, wsłuchany we własny głos. Mimo iż był w towarzystwie żony, rozmawiał z mężczyzną z sąsiedniej grupki. Stali sztywno wyprostowani, z rękami w kieszeniach i uniesionymi podbródkami. Od czasu do czasu spoglądali na sufit, przestępując w tym czasie z nogi na nogę. Rozmówca Edgara sprawiał wrażenie znudzonego paniami ze swego kręgu, mimo że były dużo młodsze i zdecydowanie reprezentacyjnie. Dopiero po chwili Rachel zorientowała się, że ojciec rozmawia ze szwagrem, Nathanielem Chamberlainem, którego ostatnio widziała kilka lat temu. Nathaniel nigdy nie był przystojny, teraz bardzo się zaokrąglił i był już prawie zupełnie łysy.

Nathaniel ożenił się z siostrą ojca, Phyllis, która nie chciała mieć do czynienia z bratem i jego rodziną od czasu, gdy Rachel zachowała się skandalicznie wobec Connora, zrywając zaręczyny w przededniu ślubu. Phyllis była niegdyś bardzo zadowolona z tego, że przyczyniła się do połączenia bratanicy i syna przyjaciółki; lubiła chępcić się tym w rozmowach. Phyllis obracała się dawniej w tych samych kręgach towarzyskich, co lady Davenport. Rachel często zastanawiała się, czy wciąż się spotykają.

Patrząc na ojca rozmawiającego ze szwagrem, Rachel poczuła wyrzuty sumienia. To z powodu zerwanych przez nią zaręczyn niegdysiejsi dobrzy przyjaciele musieli teraz prowadzić ukradkowe rozmowy.

Na jednym z wieczorków tanecznych u Chamberlainów Rachel, naówczas dziewiętnastoletnia, poznała młodego, urodziwego majora. Podobnie jak wszystkie inne debiutantki obecne na przyjęciu, uznała, że jest bardzo atrakcyjny, ma wspaniałe błyszczące czarne włosy, piękne niebieskie oczy i ciepły zmysłowy głos z miękkim akcentem, charakterystycznym dla mieszkańców południowej Irlandii. Kiedy okazało się, że to właśnie Rachel wpadła przystojnemu majorowi w oko, była szczęśliwa i niezwykle dumna. Pewną przyjemność sprawiło jej to, że rówieśniczki nie kryły zazdrości. Tak, musiała przyznać, że to, iż jego wybór padł na nią, bardzo podniosło wtedy w jej oczach wartość majora Connora Flinte'a.

Rozejrzała się nerwowo. Na razie była jedynie biernym obserwatorem wydarzeń. Wkrótce miała stać się jedną z głównych bohaterek wieczoru. W oczekiwaniu na tę chwilę miała wyostrome zmysły - czuła zapach werbeny, lawendy i innych perfum oraz wody kolońskiej a także aromat przygotowanych potraw.

Stojąca na niewielkim podwyższeniu signora Lavio-la przygotowywała się do występu, leniwie przeglądając partyturę. Rachel zauważyła, że lord Harley i jego przyjaciel krążyli u podnóża sceny jak para wiernych szczeniąt. Od czasu do czasu otrzymywali za to nagrodę w postaci uśmiechu czarnowłosej piękności. W pewnym momencie diwa posłała spojrzenie swemu kochankowi i złośliwie zmrużyła oczy, rozpoznawszy kobietę u jego boku. Zapewne pamiętała Rachel od czasu kolizji pojazdów i awantury na Charing Cross. Signora uważnie otaksowała potencjalną rywalkę. Jej podejrzenia nie były bezpodstawne; w tym tygodniu już drugi raz przyłapywała hrabiego na okazywaniu zainteresowania tej kobiecie. Rachel przez chwilę wytrzymała wrogie spojrzenie, po czym odwróciła wzrok.

I wtedy się zaczęło! Miała wrażenie, że tam, gdzie popatrzyła, stawała się obiektem uważnej obserwacji.

Żałowała, że zaledwie przed kilkoma minutami na schodach zgodziła się na plan Connora. Odniosła wtedy wrażenie, że zastanawia się nad jego propozycją nie parę minut, lecz kilka godzin! Teraz pomysł udawania przyjaźni przestał jej się podobać.

Pameli Pemberton udało się w końcu ich wypatrzeć. Na ich widok wykrzywiła twarz w złośliwym uśmiešku. Tego było już za wiele! Rachel straciła opanowanie i zanosła się histerycznym śmiechem.

Connor popatrzył na nią zdumiony, po czym cicho zaklął z wyraźną ulgą.

- Myślałem, że pani znów roni łzy. Co sprawiło, że żal przerodził się w śmiech?

Rachel natychmiast oprzytomniała. Popatrzyła na sufit, a później na morze otaczających ją twarzy. Niektórzy znani jej ludzie z pewnością przypomnieli sobie stary skandal; inni, nowi bywalcy salonów, wyczuli na sali specyficzną atmosferę plotki i oczekiwali sensacji.

- Nie płakałam - odpowiedziała chłodno.

- Doskonale. Nie płakała pani. Nie kłóćmy się i nie psujmy naszych planów. - Rozejrzał się i dodał łagodnym tonem: - Zostaliśmy zauważeni, niech więc pani nie będzie taka smutna. Przecież chcemy, żeby zapanowała między nami zgoda. Mamy być swobodni i naturalni, pamięta pani? Czy chce pani dołączyć do rodziców?

- Nie. Jeszcze nie! Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. - Pierwsze słowa zostały wypowiedziane gwałtownie. Skruszona Rachel dokończyła swą kwestię niemal szeptem. Connor musiał się pochylić, by ją usłyszeć. Rachel odchrząknęła, chcąc powiedzieć coś odpowiednio modulowanym tonem i okazać się interesującą rozmówczynią, gdy wtem jej wzrok padł na ojca, który uśmiechał się do niej szeroko.

Poczuła się ogromnie zakłopotana. Wiedziała, że jej ojciec uwielbia Connora. Zapewne wkrótce będzie musiała wysłuchiwać peanów na jego cześć i różnych aluzji. Ta przerażająca perspektywa sprawiła, że Rachel spytała:

- Możemy gdzieś usiąść? - Popatrzyła na niewielką niszę. Gdyby udali się w tamtym kierunku, nie musieliby przedzierać się przez tłum, jednak to miejsce również nie było wystarczająco zaciszne.

Kiedy Connor prowadził ją w stronę niewielkiego stolika i foteli w pobliżu drzwi, Rachel czuła na sobie wzrok ciekawskich i słyszała niezliczone uwagi.

Usiadła w fotelu, który podsunął jej Connor. Podziękowała mu skinieniem głowy. Oparł ogorzałą dłoń na poręczy z palisandru.

- Zaczniemy od pogody - zaproponował swoim charakterystycznym głosem.

Postronnemu obserwatorowi nic szczególnego nie rzuciłoby się w oczy, jednak Rachel dostrzegła rozbawienie malujące się na twarzy Connera i wyczuła cień ironii w jego głosie.

- Może chce pani powiedzieć, że dzisiaj było cieplej niż wczoraj? Myśli pani, że pod koniec tygodnia będzie padać?

- Patrzył przed siebie z pozorną obojętnością. Po chwili na jego ustach zaigrał cień uśmiechu. Connor do rzucił: - Zanim zdołamy omówić prawdopodobieństwo nadejścia burzy, dołączy do nas pani domu, która powoli zmierza w naszą stronę.

- Zapewne uznaje pana za znacznie ciekawszego rozmówcę, milordzie, bo przecież tak należy pana teraz tytułować.

Connor popatrzył na swoje dłonie, po czym, nie patrząc na Rachel, powiedział:

- To nie było przyjemne. Czy przeszkadza ci to, że odziedziczyłem tytuł?

- Nic mi w panu nie przeszkadza, milordzie. Dlaczego miałoby przeszkadzać? - odparła Rachel uprzejmym tonem, akcentując jednak dobitnie jego tytuł. Nie pozwoliła mu przecież na to, by po latach tak swobodnie i bez pytania zwracał się do niej po imieniu.

Roześmiał się, nic sobie nie robiąc z zawołanej pokianki.

- Nie byłbym tego taki pewny. Teraz mam wyższą pozycję społeczną i pomyślałem, że może pani, panno Meredith, żałować pewnych decyzji i postępów - powiedział, akcentując „pannę Meredith”.

Rachel uśmiechnęła się figlarnie i powoli odwróciła głowę. Popatrzyła na niego niebieskimi oczami przez gąszcz jedwabistych rzęs. Wyglądała uroczo, lecz jej wysiłki poszły na marne, gdyż uwaga Connora była już skupiona na czym innym. Rachel nie musiała się odwracać, by się zorientować, dlaczego jej rozmówca dyskretnie spogląda w przeciwną stronę sali. Tego wieczoru już dwukrotnie była świadkiem, jak zakochani mężczyźni płonącymi oczami patrzyli na swe kobiety. Po pewnym czasie kochanka zapewne została już usatysfakcjonowana dowodami zainteresowania z jego strony, gdyż Connor przypomniał sobie o Rachel i o komedii, w której grali główne role.

- Nie bądź taka spięta, Rachel... panno Meredith - poprawił się natychmiast. - Ludzie gotowi pomyśleć, że trzymam tu panią na muszce.

Nie wiedzieć czemu, te słowa bardzo go rozbawiły. Roześmiał się i przeniósł wzrok na sufit, co zbiło Rachel z tropu. Najbardziej jednak niepokoiło ją własne zachowanie. Zdała sobie sprawę, że podświadomie naśladuje postępowanie siostry i przyjaciółki, zupełnie jakby pragnęła zainicjować flirt z mężczyzną, który miał wszelkie powody po temu, by nią gardzić. Nie należało się dziwić, że nie dał się wciągnąć w pułapkę. Co gorsza, wcale nie udawał znudzenia, by sprawić jej przykrość; po prostu znacznie bardziej pociągała go aktualna kochanka.

W wieku dziewiętnastu lat Rachel udało się owinać powszechnie szanowanego majora wokół palca. Przez kilka miesięcy tańczył tak, jak mu zagrała... o ile miała na to ochotę. A teraz ją ignorował! W głębi duszy liczyła na przywrócenie dobrych stosunków. Tymczasem jemu wcale na tym nie zależało! Zresztą dlaczego miałoby zależeć? A jej? Nie powinna czuć się upokorzona. A jednak właśnie tak się czuła.

Ludzie nigdy jej nie ignorowali, a już na pewno nie zdarzało się to mężczyznom. Mogli jej nie lubić, ale zawsze zwracali na nią uwagę. Czowała rosnącą złość; miała ochotę jak dziecko uciec do rodziców. Nie wolno jej jednak było tego zrobić, jeszcze nie teraz, chociaż właśnie w tej chwili zauważyła Pamelę Pemberton.

Gospodyni wieczoru zmierzała w ich stronę, musiała jednak zatrzymać się po drodze, by zamienić parę słów z każdą z mijanych grup. Kiedy dojdzie do nich, dołączą do niej inni i zniknie szansa na rozmowę z Connorem w cztery oczy. Rachel zamierzała wrócić nazajutrz wraz z matką i siostrami do Windrush z zakupionymi kreacjami weselnymi, by zacząć ostateczne przygotowania do ślubu June. Ojciec planował dojechać za parę dni po załatwieniu wszystkich spraw w mieście.

Lord Devane prawdopodobnie wkrótce uda się do Irlandii i jeśli znów nie pomoże im przypadek, nigdy już nie zobaczy byłego narzeczonego. Nagle uznała, że przed wyjazdem musi z nim szczerze porozmawiać. Chciała zachować się tak, by zwrócić na siebie jego uwagę i odzyskać szacunek. Do tej pory postępowała nierozsądnie: najpierw rozczulała się nad sobą, potem żałośnie odgrywała kokietkę. Była nieporadna jak uczennica, nie zachowywała się jak przystało na dwudziestosześcioletnią kobietę, która już trzy razy była zaręczona.

Uniosła wzrok i natychmiast napotkała spojrzenie paciorkowatych oczu pani Pemberton. Przerazona, marzyła o tym, by pani domu jak najdłużej pozostała tam, gdzie zatrzymali ją kolejni goście. Nie było czasu do stracenia. Wszystko wydało jej się nagle proste: ich zaręczyny, jego oddanie, jej upór, zerwanie zaręczyn - musiała jak najszybciej to omówić, by już do tego nie wracać.

Przenikliwy głos Pameli, dobiegający z niewielkiej odległości, zmobilizował Rachel do natychmiastowego podjęcia tematu.

- Ma pan rację. Rzeczywiście żałuję wielu decyzji i postępów, a przede wszystkim tego, że nie chciałam uznać swej winy. Najpierw muszę jednak zaznaczyć, że pański tytuł w żaden sposób nie wpłynął na moją decyzję o rozmowie. Przepraszam za to, że źle pana traktowałam, i to nie tylko sześć lat temu, ale również ostatnio. Bez powodu byłam opryskliwa, kiedy pomógł mi pan w czasie awantury na ulicy. Mogłabym teraz starać się wymyślić jakieś okoliczności łagodzące, na przykład zaskoczenie z powodu niespodziewanego spotkania, jednak byłyby to tylko wykręty. Nic nie może usprawiedliwić mojego postępu. Rozumiem też, co miał pan na myśli, odgryzając się w odwecie za mój brak dobrych manier. Przyznaję, los panu sprzyjał, gdy wtedy, przed sześcioma laty, nie doszło do naszego ślubu, chociaż wówczas zapewne uważał pan inaczej. Nie pasowaliśmy... - Zawiesiła głos i z wściekłością potarła paznokcie kciukiem, mając świadomość tego, że teraz niepodzielnie zajmuje jego uwagę. - Tak więc dziękuję panu za to, że Ralph nie odniósł obrażeń. Jest za stary na to, żeby bić się z młodszymi mężczyznami. Zrugłam go, kiedy wróciliśmy do domu. Byłam również bardzo zadowolona, że utarł pan nosa temu wstrętnemu sędziemu pokoju. Nie powinien zajmować tak wysokiego stanowiska, skoro kłamie. .. Dobry wieczór, pani Pemberton. Lord Devane i ja właśnie rozmawialiśmy o tym, że jest bardzo duszno i gorąco. Chyba zanoszą się na burzę.

Rachel wyjęła mały koronkowy wachlarz z torebki, rozłożyła go potrząśnięciem ręki i zaczęła chłodzić rozpaloną twarz.

Nie patrzyła na Connora, chociaż wiele by dała, by poznać jego reakcję na to gwałtowne wyznanie. Może jedynie go rozbawiło? A może uznał, że zbyt lekko potraktowała temat, który powinien już zawsze budzić jej wyrzuty sumienia? Najprawdopodobniej jednak to wszystko było mu zupełnie obojętne. Od tamtych

dramatycznych wydarzeń minęło przecież tak dużo czasu... Pomyślała, że musiał jednak być zaskoczony jej zaimprovizowanym wyznaniem. Po sześciu latach milczenia miał prawo uważać, że Rachel jest niezdolna do okazania skruchy. Teraz było trochę za późno na żal, a jej przeprosiny nie były w stanie uśmierzyć bólu i upokorzenia, jakie musiał przeżyć. Było to jednak lepsze niż udawanie, że nic się nie stało. Zresztą nie mógł liczyć na więcej. Była teraz spokojna, czuła wielką ulgę, jakby ktoś zdjął jej z barków wielki ciężar, pozostawiając tylko dręczące wspomnienie o Isabel...

Rachel spokojnie słuchała, jak Pamela Pemberton wylewnie wita znakomitego gościa, i obserwowała innych obecnych na przyjęciu parów Anglii. Musiała przyznać, że jej były narzeczony jest najprzystojniejszy z nich i nie należało się dziwić reakcji gospodyni.

Czuła na sobie wzrok Pameli, która wyraźnie spodziewała się wyczytać prawdziwe uczucia z jej twarzy. Rachel spokojnie obserwowała barwny tłum zza azurowego wachlarza. Jeszcze parę minut i będzie mogła dołączyć do rodziców, a potem znowu parę minut i będzie wolna.

- Muszę oskarżyć cię, moja droga, o to, że tego wieczoru znów byłeś bardzo zuchwała. Myślę, że nie tylko ja mogę cię o to obwiniać. - Domyślając się, że Rachel zamierza uciec, Pamela szybko wywołała temat, który miał zatrzymać rozmówczynię.

Rachel, która nie zdołała jeszcze dojść do siebie po emocjach tego wieczoru, przeżyła szok. Przestała się wachlować.

- N - nie rozumiem...-wyjąkała.

Nie mogła uwierzyć w to, że pani Pemberton rzuci jej aż tak śmiało wyzwanie.

Pamela triumfalnie spojrzała na policzki Rachel, na których pojawiły się brzydkie czerwone plamy. Jeśli ta spryciara myśli, że uda jej się bezkarnie wymknąć po tym, jak udało jej się wprawić ją w zakłopotanie na oczach ukochanego syna i baronowej, to bardzo się myli. Pamela nie była kobietą, z której można żartować w jej własnym domu.

Odniosła wrażenie, że Rachel nie była już wcale taka zadowolona z tego, że przed laty odrzuciła tego wspaniałego mężczyznę. Wyglądało na to, że ma teraz ochotę na ponowne zajęcie miejsca u jego boku. Być może na zmianę jej stanowiska wpłynął fakt, że były narzeczony mógł się pochwalić tytułem i majątkiem.

Pamela uważała, że Rachel nie zasługuje na drugą szansę i nie powinna jej otrzymać. Siostrzenica Winthropów, Barbara, miała wielką ochotę na bliższą znajomość z Connorem, który był nią oczarowany na przyjęciu karcianym u jej rodziców. Chociaż Connor nie skąpił swego czaru.. Najwyraźniej zapomniał już, jak został kiedyś potraktowany przez kobietę. Na długo stał się pośmiewiskiem w towarzystwie. Teraz, po sześciu latach, sytuacja zmieniła się na tyle, że nikt nie ośmieliłby się uśmiechnąć na jego widok.

Należało uzmysłwić mu, że jest tu mile widziany, a potem ośmieszyć jego towarzyszkę.

- Czarujący kawalerowie są okrasą każdego towarzystwa - mizdrzyła się Pamela. - Spodziewam się więc, milordzie, że zaprzeczy pan słowom panny Meredith, gdyż jeśli to prawda, to wiele kobiet będzie niepokieszonych.

- Zatrzepotała rzadkimi rzęsami, po czym nachyliła się ku niemu i poufałym gestem położyła żyłastą dłoń na rękawie jego surduta. - Panna Meredith powiedziała nam, że jest już pan zajęty. Nieosiągalny. Chyba tak właśnie się wyraziła. -



Zrobiła pauzę dla wywołania większego efektu, rozkoszując się rosnącym zakłopotaniem Rachel.

Wściekła, że jej żart został źle zinterpretowany i powtórzony w obecności Connora, Rachel jeszcze bardziej się zarumieniła,

- Czy ta dama zna pańskie sekrety? Czy rzeczywiście istnieje ta szczęśliwa kobieta? Czy też musimy skarcić pannę Meredith za to, że sobie z nas żartuje?

Connor zbył tę wypowiedź rozłożeniem ramion. Trudno było powiedzieć, czy ta uwaga wzbudziła jego dezaprobatę, czy go rozśmieszyła. Przez chwilę patrzył przed siebie, jakby szukając najlepszej odpowiedzi, po czym, nie zwracając uwagi na gospodynię wieczoru, przeciągle spojrzął na Rachel. Wachlując się zawzięcie, wbiła wzrok w gipsowy róg obfitości na ścianie.

- Pochlebia mi pani, pani Pemberton. Czuję się zaszczycony tym, że moja osoba aż tak bardzo panią interesuje. Uważam, że powinna pani pogratulować pannie Meredith - urwał i czekał, aż Rachel na niego spojrzy; nie zwrócił uwagi na otwarte ze zdumienia usta pani Pemberton - tego, że udało jej się wzbudzić pani zainteresowanie nieistniejącym problemem - dokończył z błyskiem w oku, który przyprawił Rachel o skurcz żołądka. Następnie skłonił się uprzejmie i odwrócił, zamierzając odejść.

W ciągu minionej godziny Pamela dwukrotnie została przywołana do porządku przez mężczyzn, którym chciała się przypochlebić. Postanowiła nie pozwolić na to, by Connor odszedł w złym nastroju.

- Uważa pan, że zanoszę się na burzę, milordzie? - pisnęła i uśmiechnęła się szeroko, dając mu do zrozumienia, że wybaczają mu afront.

- Nie można jej uniknąć - odparł, cedząc słowa. Na odchodnym rzucił jeszcze karcące spojrzenie Rachel.

- Odbyłam miłą pogawędkę z twoją mamą.

Rachel przeszła panią Pemberton morderczym spojrzeniem. Jak ta kobieta śmie się do niej zwracać tak poufale! Wstrętne jędrza usiłuje być miłą, by zatrzeć złe wrażenie sprzed paru minut. Chciała obrazić Rachel, zawstydzić ją i ogłosić wszem i wobec, że panna Meredith żebrze o względy milorda. Co gorsza, dała mu do zrozumienia, że Rachel chełpiła się, iż udało jej się go złapać. To oburzające! Nawet nie myślała o tym, by celowo wejść mu w drogę. Wprost przeciwnie. Przeraziła się nie na żarty. Czy to możliwe, że Connor uwierzył w to, że Rachel zamierza zabiegać o jego względy? Że celowo guzdrała się na schodach, by do niej podszedł? Czy to dlatego powiedział, że być może teraz, gdy stał się majątnym człowiekiem, parem Anglii, pożałowała tego, co się stało? Może dlatego na odchodnym rzucił jej wymowne spojrzenie, dając do zrozumienia, że gardzi jej spóźnionymi przeprosinami? Zapewne podejrzewał, że skłoniła ją do nich chęć zapewnienia sobie jego wsparcia. Nie posiadając się z żalu i oburzenia, wypaliła:

- Miłą pogawędkę? - Wykrzywiła usta w gorzkim uśmiechu. - Jestem zdumiona! Nie zasłużyła dziś pani na to, żeby ktokolwiek z rodziny Meredithów potraktował panią uprzejmie. A już na pewno nie może pani oczekiwać tego ode mnie. A teraz proszę mi wybaczyć.

Rachel pomyślała, że signora Laviola bardzo pięknie zaśpiewała arię. Sopranistka dobrze zdawała sobie sprawę ze swoich atutów. W czasie występu w sali panowała absolutna cisza. Widzowie, zajmujący miejsca w fotelach ustawionych półkolem przed podestem, siedzieli nieruchomo, oczarowani pięknym głosem o szerokiej skali. Arię kończyło efektowne wysokie crescendo.

Fakt, że w pierwszych rzędach, zajmowanych przez wielbicieli signory zabrakło hrabiego Devanea, nie wpłynął na jakość występu diwy. Jej mimika, teatralne gesty, jak zawsze były perfekcyjne. Rachel niechętnie musiała przyznać, że ta kobieta ma talent.

Sam Smith stał na chodniku i patrzył na jasno oświetlone okna na pierwszym piętrze. Elegancko ubrani goście przesuwali się przed jego oczami, coś pogryzając albo popijając. Mężczyźni emanowali aurą bogactwa i władzy; kobiety rozaczały urok i wdzięk. A potem zobaczył tę najpiękniejszą ze wszystkich. Roześmiana, rozmawiała z kobietą, z którą była wtedy, gdy ostatnio ją widział. Uniosła kieliszek do warg, światło zamigotało na krawędzi naczynia. Złociste loki i mleczna cera stanowią nie lada widok dla biednych oczu, pomyślał, bezwiednie dotykając posiniaczonej twarzy. Wzdrygnął się, dotknąwszy opuchniętego łuku brwiowego; na ręce została krew.

Dama była więc obecna. O ile dopisze mu szczęście, powinien być tu także dżentelmen. Widział, jak lord Devane na nią patrzył, i domyślił się, że będzie tam, gdzie ona.

Mijał ten dom wraz ze swą siostrą w poszukiwaniu noclegu, kiedy zobaczył tego starszawego dżentelmena, który na początku tygodnia chciał się z nim bić. Ze swego punktu obserwacyjnego w krzakach posłał mu pełne zawiści spojrzenie. Stangret tkwił dumnie na koźle nowusieńkiego powozu, trzymając się z dala od swoich kolegów, którzy, znudzeni czekaniem, grali w kości. Nietrudno było się domyślić, że niezliczone powozy, znudzeni służący i rozświetlone okna w okazałym domu oznaczają, że eleganckie towarzystwo się bawi.

Pod wpływem impulsu postanowił zostać. Nie miał nic do stracenia, a jego młodsza siostra, Annie, mogła utracić wiele, gdyby się o nią nie zatroszczył. Czekał więc już ponad godzinę, nie wiedząc, jak długo to wszystko może potrwać. Nie zamierzał się poddawać, gotów był dotrwać na posterunku aż do świtu. Musi opanować nerwy i zagadnąć tego mężczyznę. A co odpowie mu lord Devane? Zapewne „nie”.



## Rozdział piąty

Jason Davenport uniósł wzrok znad kart i pogardliwie spojrział na fircykowatych nowo przybyłych.

- Usiądź, Harley - zagadnął przyjaźnie Connor.

Benjamin Harley podszedł do pokrytego sukrem stolika. Zmrużył chytre oczka i wyduł mięsiste wargi, po czym otworzył wysadzaną klejnotami tabakierę, zażył tabaki, kichnął, spojrział na swoich kolegów i parsknął śmiechem.

- Chyba nie myślisz, że z tobą zagram? Słyszałem, że kiedyś pokonałeś cały pułk w faraona.

Connor zręcznie przetasował karty.

- Tak się niepokoisz, że mogę wygrać?

- Nie. Martwi mnie to, że zadbasz o to, bym przegrał...

Wydawało się, że cisza, która zapadła po tych słowach, trwała w nieskończoność. Po pokoju przechadzało się kilku mężczyzn, inni stali przy szerokich drzwiach na taras i palili lub popijali z dała od czujnego wzroku żon. - Uważasz, że oszukuję?

- Trudno uwierzyć w to, że nigdy nie przegrywasz.

- Wyrażaj się jaśniej - nalegał Connor.

- Co to za rozmowa o oszustwach? - rozległ się nagle kobiecy głos z silnym obcym akcentem. Maria Laviola zjawiła się w pokoju jak świeży podmuch wiatru. Ubrana była w białą suknię z czerwonymi różyczkami. Nieśpiesznym gestem położyła dłoń w szkarłatnej rękawiczce na ramieniu Connora.

- Śpiewałaś jak anioł, moja droga - zachwycił się Harley, chcąc odwrócić uwagę od swego niefortunnego wystąpienia.

Pozostali mężczyźni obecni w salonie pośpieszyli z komplementami, chcąc rozładować napiętą atmosferę i przypocholebić się sopranistce.

- Wystąpi pani jeszcze raz? - zapytał Harley.

- Nie tutaj... może gdzie indziej... później... - Obdarzyła Connora powłóczytym spojrzeniem; odpowiedzią był uśmiech.

Wachlując się, powiedziała:

- Cóż za gorący wieczór.

- Biedny stary Devane wcale tak tego nie odczuwa. - Harley uśmiechnął się znacząco. - Założę się, że wciąż przeszywa go zimny dreszcz.

- Dlaczego?

- To wina panny Meredith. Odniosłem wrażenie, że ta dama zmroziła go... ponownie.

Peter Waverley, kompan Benjamina Harleya od kieliszka, odważnie puścił oparcie krzesła, które służyło mu za podpórkę, zachwiał się i przyłożył rękę do ust, tłumiąc radosny rechot. Jason natychmiast odsunął swoje krzesło od stołu, jakby w geście protestu przeciw takiemu zachowaniu.

Connor obojętnie wzruszył ramionami i zacisnął dłoń na muskularnym ramieniu brata.

- Czy znajdują się tu jeszcze dwa miejsca?

Edgar Meredith z uśmiechem na ustach wszedł do salonu. W pewnej odległości za nim stapał ostrożnie Nathaniel Chamberlain, który rozglądał się niespokojnie, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma jego żony Phyllis. Obawiał się, że mogła go szpiegować, by potem złać za zadawanie się z nieodpowiednim towarzystwem, jak nazywała cały klan Meredithów.

- Cholera! - mruknął Nathaniel pod nosem.

Edgar pozostawał w poprawnych stosunkach z lordem Devane'em. Być może nawet wypiją drinka i rozegrają partyjkę. Skoro Connor Flintę nie żywił urazy do Meredithów, a przecież to on został skrzywdzony, Nathaniel nie widział powodu, dla którego żona miałaby się oburzać na całą sytuację tylko dlatego, że w swoim czasie poznała ze sobą Connora i Rachel.

- Proszę, usiądź. - Connor chłodno zaproponował Edgarowi miejsce, wstając. Opaloną dłonią zebrał ze stołu wygraną i od niechcenia schował ją do kieszeni. Rzuciwszy niechętnie spojrzenie Benjaminowi Harleyowi, Jason sięgnął po swoje nieliczne monety i wyszedł za bratem na taras.

Nathaniel Chamberlain popatrzył z ukosa na Edgara. Najwyraźniej mylił się co do lorda Devane'a i jego urazów z przeszłości. Edgar sprawiał wrażenie zakłopotanego, podobnie jak gospodarz, Alexander Pemberton. Wszyscy obecni domyślili się powodów zniknięcia lorda Devane'a tuż po przyjściu ojca Rachel. Nathaniel wyczuł, że brat bardzo przeżywa tę sytuację; zrobiło mu się przykro. Wiedział, że Edgar bardzo lubił majora.

- Nudzisz się. Wiedziałem, że tak będzie. Powinniśmy byli pójść do pani Crawford.

- Nie nudzę się. Wprost przeciwnie, jestem zaintrygowany - wyznał Connor, przemierzając wraz z Jasonem taras.

Rozluźnił i zdjął fular z niebieskiego jedwabiu, owinął go wokół dłoni, a potem machinalnie schował do kieszeni surduta, deformując nienaganny krój, co zapewne przyprawiłoby jego krawca o atak serca. Zacisnął palce na ozdobnej balustradzie i powrócił myślami do Rachel, a raczej panny Meredith. Uśmiechnął się.

Co też wyprawiała? Tego wieczoru zauważył u niej więcej emocji niż w czasie czterech miesięcy narzeczeństwa. Chociaż był pewien, że jej intencje były szczerze, nie odczuł wzruszenia. Beznamiętnie patrzył na jej zdenerwowanie, łzy, zakłopotanie; widział, że była zawstydzona i skruszona. Odzyskała wigor dopiero wtedy, gdy gospodyni wieczoru otwarcie ją zaatakowała, chcąc ją zdemaskować i upokorzyć. Co dziwne, nie spodobało mu się to; był wręcz zażenowany postawą Pameli Pemberton - miał nadzieję, że było to oczywiste dla wszystkich.

Sześć lat temu, gdy Edgar Meredith w czasie kawalerskiego wieczoru przekazał mu wiadomość o zerwaniu zaręczyn, Connor spodziewał się, że w niedługim czasie otrzyma od Rachel list z przeprosinami. Nie doczekał się nawet paru słów. Brak wiadomości był wielce wymowny; dowodził, że Rachel uznała, iż nie warto zadawać sobie trudu z jego powodu. Oceniała, że misja, której podjął się ojciec, w zupełności wystarczy. Mimo to Connor nie potrafił jej nienawidzić. Przed wyjazdem na Półwysep Iberyjski czuł potworną pustkę i odrętwienie, których przyczyną nie był jedynie alkohol, wypijany w ogromnych ilościach. Rachel pozostawiła go nieczułym, wypalonym.

Teraz jednak odzyskał zdolność krytycznego myślenia. Uznał, że panna Meredith jest już wystarczająco dorosła, by ponieść spóźnioną karę. Okazało się jednak, że czyta w nim jak w otwartej księdze. Zaczęła udawać bezradną, chcąc zapobiec jego atakom.

Widząc jej zakłopotanie, powinien był złagodnieć. Przeprosiny, nawet niewczesne, mogłyby dać mu odrobinę satysfakcji. Nic takiego nie nastąpiło. Nie chciał, by czuła się zakłopotana i upokorzona. Wciąż jej pragnął i uważał, że po tym wszystkim, co się stało, jest mu coś winna. Nawet jeśli zadośćuczynienie miałyby polegać na wykorzystaniu jej do zaspokojenia swych zachcianek. Czuł, że gdyby bardzo tego chciał, mógłby to osiągnąć. Sześć lat temu rzadko pozwalał sobie na to, by ją pocałować, i tym bardziej dziwiło go przekonanie, iż mógłby ją uwieść nawet tej nocy, gdyby miał taki kaprys.

- Zaintrygowany? Czym? - Głos Jasona przerwał ponure rozmyślenia.

- Tym i owym...

- Aha, tym i owym... - przedrzeźniał go Jason. - Do diabła, Con! Przecież ona omal cię nie zniszczyła! Zrobiła z ciebie durnia! - wybuchnął przyrodni brat. - A ty masz ochotę dać jej jeszcze jedną szansę? - dodał z niedowierzaniem. - Odjęło ci rozum? Przecież przekonałeś się już, że fest podła. Zyskała opinię kobiety bez serca.

Connor zapatrzył się w rozgwieżdżone niebo, wystawiając twarz na łagodne podmuchy wiatru.

- Wiem. Wiedziałem to, jeszcze zanim nasza gospodyni mi o tym przypomniała.

- Moncur znów się koło niej kręci... usycha z miłości - ciągnął Jason. - Patrz i ucz się. Wkrótce będzie musiał odejść, utykając, z podkulonym ogonem.

- Niewiele poza tym umie - zażartował Connor i zaraz zaklął siarczyście, zawstydzony tym, że naśmiewa się z cudzego kalectwa. - Myślisz, że chce otrzymać drugą szansę? - Świadomy tego, że ta uwaga demaskuje go przed bratem, z zakłopotaniem potarł podbródek, a zaraz potem się roześmiał. - Masz rację, powinniśmy byli pójść do pani Crawford.

Jason postąpił krok w stronę drzwi, jakby miał ochotę zrealizować ten pomysł.

-Chciałbym się dowiedzieć, o co chodzi Edgarowi Meredithowi - oznajmił Connor, zmieniając ton głosu. - Zbyt często szuka mojego towarzystwa. Dokądkolwiek się udam, zaraz się tam pojawia. Kiedy jem obiad u Watiera, on robi to samo. Idę do Jacksona, a on już tam trenuje. Boże, ten człowiek jest na to za stary. Ma pięćdziesiąt dwa czy trzy lata i jest za gruby. Parę dni temu obawiałem się, że dostanie ataku serca, tak się przejął walką sparingową. A dzisiaj snuje się za mną jak cień. Muszę przyznać, że to zaczyna mnie denerwować.

-To dobry znak - skomentował z przekąsem Jason. - Pamiętaj, że ten człowiek ma cztery córki na wydaniu. Naprawdę nie wiesz, dlaczego próbuje zbliżyć się do lorda Devane'a z Woiverton Manor i stu tysięcy akrów, przynoszących pięćdziesiąt tysięcy rocznie? Boże! Jesteś zbyt skromny, Connor.

- Ma tylko trzy córki na wydaniu, a jedna z nich wkrótce wyjdzie za męża. Najmłodsza jeszcze ma sporo czasu do debiutu...

- Zapewne chodzi o tę, która sprawia najwięcej kłopotu: o najstarszą, która swego czasu ci się podobała.

- Stare dzieje. - Connor oparł się o poręcz i zapatrzył na rozświetloną księżycową poświatą trawniki. Wiedział, że Jason taksuje go domyślnym spojrzeniem. Nie miał ochoty mierzyć się z nim wzrokiem.

- Isabel miałyby teraz jakieś dwadzieścia trzy lata - powiedział cicho, chcąc odwrócić uwagę od poprzedniego tematu.

Jason poszedł za przykładem Connora, opierając się o balustradę. Odchrząknął.

- To straszne... To była grypa?
  - Szkarlatyna. W Yorku wybuchła epidemia. Rachel o tym nie wiedziała i postanowiła złożyć niezapowiedzianą wizytę ciotce. Gdyby ktoś je ostrzegł... Nikt przy zdrowych zmysłach nie jechałby tam w takiej sytuacji.
  - Jesteś pewien, że była wtedy w stanie rozsądnie myśleć? - Szybko rozłożył ręce, widząc karcący wzrok Connoora.
  - Nie ja jeden uważam, że tylko skupiona na sobie idiotka mogła tak postąpić.
  - Była młoda, miała zaledwie dziewiętnaście lat.
  - Jej siostra była o dwa lata młodsza, a pod każdym względem bardziej dojrzała. Słyszałem, że była tak zgorzonna postępkami Rachel, iż nie chciała jej towarzyszyć. Myślę, że Rachel żałuje teraz, że zabrała ją z sobą.
  - To nie była wina Rachel. To ich matka nalegała, żeby jechały razem.
- Jason westchnął i ze smutkiem pokręcił głową.
- W takim razie pani Meredith ponosi część winy za to, co się stało. - Popatrzył na profil brata, rysujący się na tle aksamitnego nocnego nieba. - Nigdy tak szczegółowo nie opowiadałeś mi o tym wydarzeniu, Gon. Myślę, że to, iż mówisz mi o tym teraz, musi coś oznaczać.
  - No pewnie - podsumował Connor, z uśmiechem patrząc na ogromny, mlecznobiały księżyc. - To znaczy, że czas już wrócić do salonu.

Sam Smith schował się głębiej w krzaki, widząc, że drzwi otwierają się i spora grupa ludzi wychodzi z rześkiego oświetlonego domu na strome kamienne schody. Słyszał strzępki rozmów, śmiech, dźwięki muzyki, dobiegające z wnętrza i rozchodzące się w nocnym powietrzu.

Złorzecząc ciemności, wyszedł z kryjówki i udał się w stronę domu. Chciał ustalić tożsamość mężczyzny, zanim zdecyduje się do niego podejść. Arystokrata, wysoki i mocno zbudowany, poruszał się sprężystym krokiem, mimo uczeptionej u jego boku kobiety, utrudniającej mu chód. Sam Smith nie martwił się o to, że jeśli się myli, ktoś może podbić mu drugie oko.

Para kierowała się w stronę powozu. W świetle latarni dostrzegł mocno zarysowane kości policzkowe i błyszczące czarne włosy mężczyzny. Odetchnął z ulgą. To był on. Sam popatrzył na kobietę, lecz jej twarz była osłonięta szerokim rondem fantazyjnego kapelusza. Jedyne czarne loki opadające na ramiona pozwoliły domyślać się jej bujnej, egzotycznej urody. Pragnąc dodać sobie otuchy, Sam pomyślał, że być może kobieta jest młodszą siostrą dżentelmena; miała podobny kolor włosów.

Connor machinalnie zacisnął prawą dłoń na rękojeści srebrnego sztyletu, który zawsze nosił w kieszeni. Przypomniawszy sobie słowa Rachel na temat ukrytej broni skierowanej w jej stronę. Poirytowany tym, że nawet w takich okolicznościach nie potrafi przestać o niej myśleć, a jednocześnie rozbawiony dwuznacznością tych słów, odwrócił się w stronę mężczyzny. Ledwie spojrzał na swego domniemanego przeciwnika, zrozumiał groteskowość tej sytuacji i całego wieczoru. Wybuchnął śmiechem.

Sam Smith aż podskoczył z przerażenia i uniół ręce.

- Nie jestem łobuzem, daję słowo. Chciałem tylko z panem porozmawiać, milordzie - wyjąkał.

Connor głęboko zaczerpnął tchu, postąpił o krok w stronę obdartego młodzieńca i przyjrzał mu się uważnie.

- To kim w takim razie jesteś? - zapytał, chociaż posiniaczona, opuchnięta twarz wydała mu się znajoma. Do tego charakterystycznego, żyłastego chłopaka nie pasował jednak unizony ton ani fakt, że dał się pobić.

- Nazywam się Smith... Sam Smith. W tym tygodniu pomógł mi pan naprawić koło. Tylko że to już nie jest mój wóz... Zresztą nigdy nie był do końca mój, chociaż miałem przewozić towar dla mojego pryncypała... Tylko że on nie jest moim pryncypałem... - Sam cofnął się o krok i skłonił głowę. - Proszę mnie nie odprawiać, milordzie - powiedział błagalnym tonem. - Proszę mnie przynajmniej wysłuchać. Jestem na dnie, ale nie jestem złodziejem i nie chcę prosić o jałmużnę, choć może się panu tak wydawać.

- Co się tu dzieje, Con? - zawołał podпиты głos. Connor popatrzył przez ramię, zauważając Jasona, który zmierzał chwiejnym krokiem w ich stronę. Brat dał znak swemu stangretowi, który uniósł już lejce, by chwilę zaczekał.

- Poradzę sobie - uciał Connor. - Poznałem pana Smitha przed paroma dniami. - Pochylił się ku swej kochance, zapewniając, że odwiedzi ją później. - Mógłbyś odwiedzić Marię do domu, Jason?

Jason sprawiał wrażenie zaskoczonego, lecz po chwili rozpromienił się, rozumiejąc, że spotkał go wielki zaszczyt. Natychmiast podał signorze ramię.

- Na pewno nie potrzebujesz pomocy? - zapytał z poczucia obowiązku, lecz ton jego głosu mówił, że byłby bardzo rozczarowany, gdyby Connor poprosił go o pozostanie.

- Myślę, że dam sobie radę - odpowiedział sucho Connor, patrząc na trzęsącego się młodzieńca.

Trudno było orzec, czy Sam Smith tak reaguje na ból, czy jest aż tak bardzo zdeterminowany lub przerażony. W temperaturze panującej tego wieczoru raczej nie mógł drzeć z zimna, niemniej w obecnym stanie nie przedstawiał sobą jakiegokolwiek zagrożenia.

Maria, najwyraźniej poirytowana takim rozwojem wypadków, westchnęła przeciągle. Nie odezwała się ani słowem, jednak mijając Smitha, nie omieszkła posłać mu pełnego irytacji spojrzenia.

Kilka minut później faeton Jasona zniknął za zakrętem, zza którego wyłonił się posterunkowy, Connor popatrzył na Sama Smitha.

- Jeśli okaże się, że tylko zawracasz mi głowę, będę bardzo niezadowolony.

Kiedy policjant odszedł, Sam skinął ręką w stronę krzaków. Connor nie przeżył wielkiego zaskoczenia, gdy z zarośli wynurzyła się młoda kobieta, która po chwili podeszła do nich z gracją.

- To jest Annie, moja siostra. Ma czternaście lat.

Connor popatrzył na błyszczące kasztanowe włosy dziewczynki i na poobijaną twarz chłopaka. Nagle wszystko wydało mu się proste i oczywiste. Poczuł, że wzbiera w nim gniew. Sam Smith nie miał ochoty go okraść, jednak próbował sprzedać mu swą siostrę, a wygląd jego twarzy dowodził, że Connor nie jest pierwszym klientem, którego młodzieniec nagabywał w tej sprawie.

Ujął chłopaka za podbródek i zwrócił jego twarz ku sobie.

- Czy wyglądam na kogoś, kto nie potrafi sobie zapewnić towarzystwa kobiet? Nie zauważyłeś, że jestem zajęty?

Znow ta Rachel! Wystarczyło użyć jej słów, by była ukochana stanęła mu przed oczami. Była narzeczona, poprawił się szybko w myślach. Ich znajomość należała do przeszłości, tymczasem najwyraźniej wołał się ludzi, że wciąż są sobie bliscy, i używał określeń, które rzekomo wypowiedziała na jego temat. Rozsierdzony, ścisnął zuchwę chłopaka aż do bólu.

- To nie tak, milordzie. Mówię szczerze. To moja siostra, a nie żadna prostytutka, a ja nie jestem alfonsem. Chcę ją chronić.

Connor puścił chłopaka i zapatrzył się w przestrzeń. Dziewczyna stała bez ruchu, ze zwieszoną głową i rękami splecionymi za plecami. Była ubrana skromnie, lecz schludnie. Z pewnością nie wyglądała na prostytutkę, ale nie sprawiała też wrażenia biedaczki.

- O co ci chodzi? - wycodził Connor, patrząc ponuro na młodzieńca.

Chłopak podszedł do siostry i delikatnie uniósł jej podbródek.

Connor ze zdumieniem obserwował rodzeństwo. Gest Sama wystarczył mu za odpowiedź. Annie była bardzo piękna, w przeciwieństwie do brata. Miała alabastrową skórę, oczy jak węgielki, a gdy Sam rozwiązał jej kokardę, gęste włosy spłynęły kaskadą na szczupłe ramiona. Dziewczyna patrzyła na Connora szklanym wzrokiem.

- Nie jestem w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa. Każdy mężczyzna, którego spotykamy, chce się do niej dostać... nawet bardzo możni panowie. Szczególnie oni.

Connor zauważył, że nabiegłe krwią oczy chłopaka rozbłyły łzami.

- Nie mam już pracy ani kwatery. Jak długo jeszcze uda nam się wytrzymać, zanim Annie będzie musiała pójść na ulicę?

- Kto cię pobił? - Żadne inne pytanie nie przyszło Connorowi do głowy.

- Wuj, Nobby.

- Twój wuj chciał mieć twoją siostrę?

- Nie. Uderzył mnie, bo chciał wóz ginu, i groził, że narobi nam kłopotu. To wszystko przez tego dorożkarza. Nie mógł siedzieć cicho? Przez niego ten sędzia dowiedział się, kim jestem. Dorożkarz mnie zna; czasami idziemy na kufel portera do knajpy „Pod Wesołym Wieśniakiem”, gdzie schodzą się woźnice. To on zdradził, kto jest moim szefem... Wuj miał prawo się wściec. Straciłem robotę i nie mam gdzie spać. Annie gotowała i sprzątała, więc Nobby pozwalał jej mieszkać ze mną.

Po chwili namysłu Connor podsumował:

- Rozumiem, że Arthur Goodwin jest inspektorem handlowym, który za darmo chciał zapełnić sobie piwnicę dżinem w zamian za załatwienie ci licencji na sprzedaż alkoholu w cechu.

- Najpierw tak było. A potem zobaczył Annie...

Connor popatrzył na dziewczynę i na jej brata. Zamknął oczy.

- Gdzie są wasi rodzice?

- Nie żyją. Papa zmarł wiele lat temu na chorobę płuc, a mama zapiła się dżinem w świętego Michała.

- Czego ode mnie oczekujecie? - zapytał uprzejmie. Jak się za chwilę miało okazać, zbyt uprzejmie.

- Ufam panu. Nie musiał nam pan wtedy pomagać. Ma pan dobre serce, nie wynosi się jak jaśnie państwo - odparł Sam, a po chwili dodał: - To znaczy, wydaje nam się pan porządnym człowiekiem...

Connor roześmiał się, przerywając tę mowę pochwalną.

- Czego chcecie?

- Prosiłbym, żeby pan ją przyjął. - W tym zuchwałym żądaniu kryła się duma. Chłopak nawet nie drgnął, gdy Connor z niedowierzaniem uniósł brwi. - Nie jest zbyt bystra, ale to dobra dziewczyna. Umie gotować, sprzątać, szyć. Kiedyś bardzo ładnie uczesała naszą ciotkę, tuż przed tym jak ciotka się przeziębila i zmarła. Może któraś z dam chciałaby... - Odchrząknął, widząc przerażenie we wzroku Connora. - To znaczy... może zna pan damę, która potrzebuje dobrej służącej?



Connor uśmiechnął się kącikami ust. Było mało prawdopodobne, by znane mu damy przyjęły na służbę tak piękną dziewczynę, o którą mogłyby być potem zazdrosne, widząc pożądlive spojrzenia mężów czy kochanków.

- Byłeś w biurze, które zajmuje się szukaniem pracy dla służących?

Sam uśmiechnął się z rezygnacją.

- Tak. Annie służyła już u wielkich panów. Jak mówiłem, to właśnie ich musiała najbardziej się obawiać. Jest wciąż niewinna, ale sam nie wiem, jak zdołała się uchować. Zaczęła pracę na Beaumont Street i potrwało to tylko jeden dzień. Sir Percy Monk uważał, że będzie doskonałą towarzyszką zabaw dla jego syna. Na szczęście Annie ma ostre pazury, muszę jej to przyznać - dodał z uśmiechem. - Podrapała nicponia tak, jak mu się należało!

Connor ściągnął wargi. Znał tego młodzieńca i słyszał legendy o jego rozwiązłym trybie życia. Chłopak miał szesnaście lat, a był zepsuty tak jak jego lubieżny ojciec.

- Chciałbym, żeby pan ją przyjął - powtórzył Sam drżącym głosem. - Arthur Goodwin nie ośmielił się pana zaatakować. Boi się pana. Będzie prześladował mnie i Annie. Groził nam. Powiedział, że chce ją mieć i że się nie podda.

Connor potarł czoło, przeklinając się w duchu za to, że w ogóle wyszedł tego dnia z domu. Nie pojawił się tu, by wysłuchać ekspresyjnego śpiewu kochanki. Nie przepadał za jej afektowanymi trelami. Zjawił się na przyjęciu, gdyż wiedział, że spotka Rachel. Zwabiła go do siebie tak jak wcześniej na ulicy. Gdyby nie kolizja powozów, nie brałby teraz udziału w tej farsie i nie przeżywał rozterek. To wszystko jej wina! Uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że przestaje myśleć racjonalnie.

- A ty? Co zamierzasz zrobić? - zapytał z westchnieniem.

Sam Smith wzruszył ramionami.

- Jakoś sobie poradzę. Zawsze sobie radziłem. Umiem dużo, na przykład mogę pracować w stajni. Jestem dobrym stajennym, odbyłem praktykę - dodał weselszym już głosem.

Connor poczuł, że śmiech zamiera mu w gardle. Zerknął na stangreta, który udawał, że niczego nie widzi, zapatrzony w niebo. Obecny stajenny, który wcześniej podtrzymywał drzwi, i właśnie powrócił na swoje miejsce z tyłu powozu, uniósł wzrok. Connor otworzył drzwiczki powozu i wskazał jego wnętrze.

Dziewczyna bez słowa zajęła miejsce w powozie. Po policzkach Sama spłynęły łzy.

- Skąd wiedziałeś, że tu będę? - zapytał Connor w nadziei, że chłopak przestanie płakać.

- Zobaczyłem pana damę w oknie - chlipnął Sam, otarł twarz brudną dłonią i ruchem głowy wskazał rozświetlony dom. - Nie, nie tę, która odjechała z tym dżentelmenem. - Sam popatrzył niespokojnie na Connora, jakby bojąc się, że może coś zepsuć nieopatrznie wypowiedzianym słowem. Łzy znów zaczęły płynąć mu po policzkach. - Chodziło mi o tę jasnowłosą damę, która była wtedy w powozie na ulicy. Wydawało mi się, że pan ją lubi, więc kiedy ją tu zobaczyłem, pomyślałem... - Zakrył usta dłonią, tłumiąc śmiech.

- Myślę, że jest bardzo odważna, skoro potrafiła zwrócić uwagę Arthurowi Goodwinowi. Jaka on miał wtedy minę!

Connor również się roześmiał, jednak z innego powodu. Pomyślał, że dzieci dużo widzą.

- Ach, chodzi ci o tę damę - powiedział z pozorną beztroską.



## Rozdział szósty

- Daję i podnoszę stawkę.

Benjamin Harley z trudem powściągnął uśmiech na widok pliku pięćdziesięciofuntowych banknotów. Gwałtownie rozcapierzył palce i puścił pieniądze, które opadły na stos na stole. Lord Harley szybko odwrócił wzrok, by nie dać po sobie poznać, że jest coraz bardziej podekscytowany. Zerknął na Edgara Mereditha znad wachlarza kart, po czym bardzo ostrożnie położył je na suknie. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio zdarzył mu się tak obiecujący układ. Zerknął na pulę, ocenił nominały banknotów po wystających brzegach, nie zwracając nawet uwagi na suwereny, które wykładano na początku. Było ich zbyt wiele.

Półtorej godziny temu ośmiu mężczyzn zaczęło tę partię, a teraz na stole leżała bardzo apetyczna suma. Dwóch graczy już spasowało, dwóch udawało, że się zastanawia, jeden kręcił się nerwowo, inny wypił za dużo. Benjamin wygrywał, był tego pewien. Musiał tylko do końca zachować przytomność umysłu. Odsunął więc kieliszek napełniony do połowy brandy ruchem mającym onieśmielić słabszych graczy.

- To dla mnie za wysoko - oznajmił Nathaniel Chamberlain, smutno spoglądając na gotówkę, której spora część jeszcze niedawno należała do niego, a teraz znajdowała się na środku stołu. Nie złożył jednak jeszcze swych kart. Nachylił się ku szwagrowi skulonemu na sąsiednim krześle i szepnął: - Jeśli masz odrobinę rozsądku, Meredith, pójdź za moim przykładem.

- P - przynieś mi drinka - wymamrotał Edgar, wyciągając przed siebie pustą szklanekę po whisky.

- Nie bądź głupi! - dołączył swe ostrzeżenie Alexander Pemberton. Uniósł się na chwiejnych nogach i zbliżył twarz do łysiejącej głowy Edgara. - Posłuchaj szwagra. Czas przyznać się do porażki. To pozwoli ci uniknąć większych strat.

- Wszyscy chcą mi na gwałt dawać rady. Nie potrzebuję żadnych rad. Chcę drinka.

- Kupię ci drinka,

Edgar uniósł głowę, słysząc charakterystyczny irlandzki akcent. Najpierw zobaczył czarne spodnie, potem zamglonym wzrokiem omiół błyszczącą perłową kamizelkę i czarny frak. Odchylił się i dostrzegł także krawat i białe rogi kołnierzyka. Zamrugał oczami na widok znajomej, surowej twarzy.

- Ooo, kogo my tu mamy - zabełkotał. - Irlandczyk. Jego lordowska mość zniżył się dzisiaj, żeby ze mną porozmawiać. Patrzcie no... - Machnął ręką. - Piękny major pojawił się w Palm House i nawet ma ochotę do mnie się odezwać. Odezwiesz się do mnie, milordzie? Będę zaszczycony, milordzie. A może zagrasz ze mną w karty? Boisz się, że cię oszukam? - Zarechotał. - Boi się, że go oszukam. - Rozejrzał się i szturchnął Nathaniela pod żebra. - Myśli, że ukradnę mu pieniądze - powiedział scenicznym szeptem. Przypominając sobie nagle, że wyszydzany przez niego mężczyzna zaproponował mu drinka, odwrócił się i wyciągnął pustą

szklanek w stronę lorda Devane'a.

Benjamin Harley skrzywił się, wyraźnie rozbawiony, i popatrzył na swego kompana, Petera Waverleya. Peter zamierzał wyrównać stawkę zaproponowaną przez Edgara. Pokazał Benjaminowi pięć palców, dając w ten sposób do zrozumienia, że dokłada pięćset funtów, niezbędnych, by pozostać w grze.

Harley poczuł przyływ chciwości. Miał ochotę jak najszybciej zagarnąć całą pulę.

- Możemy kontynuować, Meredith? Czekają mnie dzisiaj dużo większe przyjemności niż ta gra. Wiesz, ona jest miłsza dla oka niż ty, kiedy sobie popijesz. - Zmusił się do uśmiechu.

Chciał rozpocząć grę, zanim Meredith się wycofa lub zepsuje sytuację, a w obu tych wypadkach, gdyby partia została unieważniona, Benjamin mógł przegrać. Szybko dołożył pieniądze potrzebne do zrównania stawki Edgara i zastanawiając się nad tym, czy ma ją podwyższyć, dał się ponieść chciwości, zamiast próbować doprowadzić do jak najszybszego zakończenia gry. Podniósł stawkę, wypisując skrypt dłużny na tysiąc funtów. Popatrzył przy tym znacząco na Edgara i na pozostałych graczy.

Edgar sięgnął do kieszeni, potem starannie przeszukał drugą. Zgromadzeni przy stole obserwowali go z rosnącym podnieceniem.

- Nie powiedziałem, że nie zagram z tobą w karty - rozległ się głos gdzieś z tyłu.

Edgar nie przestawał szukać pieniędzy. Rzucił na stół chustkę do nosa, srebrną tabakierkę, potem okulary.

- Nie przypominam sobie, żebyś cokolwiek do mnie mówił. Unikałeś mnie, jakbym był trędowaty. Jeśli nie jesteś zbyt ważny i delikatny, to siadaj. - Edgar ruchem głowy wskazał krzesło Nathaniela. Wstrząsany czkawką, zamilkł i wziął głęboki oddech.

- Tak... proszę zająć moje miejsce... proszę - powiedział Nathaniel. Odsunął krzesło i popatrzył na Edgara, z politowaniem kręcąc głową. - Nie zamierzam cię usprawiedliwiać przed Głorią. Sam będziesz musiał tłumaczyć się ze swojego uporu. - Zauważył, że szwagier czerwienieje i wybałusza oczy, mocno więc uderzył go w plecy.

Edgar kaszlnął, czknął i siarczyście zaklął. Zdegustowany, machnął ręką, rozrzucając przy tym stos suwerenów.

- Znajdź mi coś do pisania - polecił opryskliwie. - I nie wściubiaj nosa w nie swoje sprawy. - Odwrócił się w stronę Alexandra Pembertona. - Czy ja go prosiłem o to, żeby mnie usprawiedliwiał? Tylko raz... tylko raz dał mi alibi, kiedy...

- Masz coś do powiedzenia? - zapytał cicho Connor lorda Harleya, po czym zapalił cygaro.

Usadowił się na krześle Nathaniela, wyprostował długie nogi i popatrzył na rozwścieczonego mężczyznę przez kłęb szarego dymu, podczas gdy siedzący obok niego Edgar mamrotał coś, wstrząsany czkawką i wywracał kieszenie w poszukiwaniu gotówki.

- To wbrew regułom. Devane, musisz poczekać na koniec tej gry.

- Czy ktoś ma coś przeciwko temu, żebym wykupił Chamberlaina i zagrał? - zapytał Connor pozostałych w grze.

- Nie - oznajmił Toby Forster z uśmiechem - ale stawka jest dla mnie za wysoka - dodał. Złożył karty i rozparł się na krześle tak, jakby zamierzał rozkoszować się tym, co nastąpi. Jego przyjaciel, Frank Vernon, popatrzył na niego, potem na swoje karty i z jękiem zawodu rzucił je na stół.

-W takim razie zostało nas trzech - rzucił Connor w stronę Benjamina Harleya i odłożył cygaro na cynową popielniczkę.

Lord Harley poczerwieniał, lecz zaraz potem krew zaczęła odpływać z jego twarzy - zrozumiał, co oznacza manewr Connora. Swoją wściekłość i żal wyraził potwornym przekleństwem.

Connor uśmiechnął się, lecz w jego oczach nie było wesołości.

- Nie marudź, Benjamin - powiedział, jednocześnie patrząc, jak Edgar wypisuje skrypt dłużny na białym pergaminie, podanym mu przez szwagra. Weksel został opatrzony zamasztysem podpisem, pióro odrzucone w stronę kałamarza, a Edgar opadł na krzesło. Nie odrywając wzroku od pergaminu, Connor nie przestawał dokuczać Harleyowi. - Jestem pewien, że twoja przyjaciółka poczeka, o ile jest trzeźwa i cię pamięta...

- Wyślę ekspres do Beaulieu Gardens. Postanowiłam, że tak właśnie zrobię.

Rachel westchnęła. W ciągu minionych kilkunastu godzin słyszała tę deklarację co najmniej dwadzieścia razy.

- Wyślij, mamó - zgodziła się.

Minęły dwa dni od czasu gwałtownej burzy, która trwała całą dobę, jednak ojciec nie wrócił do Windrush ani nie zawiadomił nikogo o powodach zwłoki. Rachel myślała, że to fatalna pogoda uniemożliwiła mu wyjazd z Londynu.

Stary Ralph pozbawił ją złudzeń. Kiedy po raz pierwszy po burzy wybrali się powozem do Staunton rozmiękłym traktem, by złożyć wizytę przyjaciółom, oznajmił, że mieszkańcy Cambridgeshire powinni przygotować się na najgorsze, gdyż burza skierowała się nie w stronę Londynu, lecz w kierunku północno-zachodnim. Ralph doskonale znał się na pogodzie, co potwierdził w ciągu minionych lat wieloma trafnymi prognozami. Potrafił wyczuć zbliżające się opady śniegu, wyczytać nadejście mrozu z czystego nocnego nieba, łamanie stawów zapowiadało mgły. Mimo wszystko Rachel starała się przekonać matkę, że nad Londynem najprawdopodobniej przetacza się nawałnica.

Prawdę mówiąc, ogarnął ją niepokój z powodu braku wiadomości od ojca. Nie bała się o jego bezpieczeństwo; przypominała sobie jednak chwile, kiedy, zbyt długo przebywając w męskim towarzystwie, pozwalał sobie, na wypicie paru karafek burgunda, brandy czy innych alkoholi. Nie upijał się często. Zaledwie parę razy widziała ojca pod dobrą datą, lecz był to widok przerażający. Alkohol zmieniał tego kulturalnego dżentelmena w bezrozumny wrak.

Z mocnym postanowieniem, że skupi się na myśleniu o zbliżającym się ślubie June, popatrzyła na kłębki żółtych jedwabnych nici, ułożone półkolistnie na dywanie. Wybrawszy kłębek w ciepłym, słonecznym kolorze, podała go Dziwnej Mary.

- Mmm.

Rachel zareagowała na to burkliwe podziękowanie, chwając robótkę służącej. Przesunęła palcem po delikatnych złocistych pętelkach, obramowujących białą adamaszkową serwetkę. Jej zachwyty był szczery; tym większy, że sama nie miała talentu do szydełkowania i haftu. Fakt, że ta niezdarna z wyglądu kobieta potrafiła dokonywać takich cudów, budził w Rachel najwyższy podziw.

- Mmm. Dziękuję paniencie.

Rachel zauważyła, że woskowa twarz Mary przybrała żywszą barwę. Służąca założyła niesforne rude pasmo za ucho palcami grubymi jak serdelki i z westchnieniem zadowolenia zagłębiła się w fotelu, poruszając szydełkiem jeszcze szybciej niż do tej pory. Rachel położyła kilka szpilek nici o tym samym odcieniu na nieskazitelnie białych płóciennych serwetkach na poręczy fotela.

Podeszła do okna i popatrzyła w stronę kasztanowców, tworzących szpaler przy głównej alei. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Dopiero po chwili zza krzaka wyłonił się syn Ralpa, Pip, złota rączka w posiadłości Meredithów. Powoli cofał się w stronę głównej alei, po drodze grabiąc kamyki. Rachel z westchnieniem popatrzyła na matkę, która zdołała uspokoić się na tyle, że zaczęła układać listę wiktuałów.

Chcąc ją oderwać od myślenia o ojcu, Rachel zwróciła uwagę, że dobrze byłoby kupić jagnięcinę albo gęś zamiast często spożywanej cielęciny i wołowiny.

- Twój ojciec nie lubi tłustych mięs tak jak dawniej, są zbyt ciężkostrawne na jego wiek. Och, muszę napisać list, a Ralph natychmiast zawiezie go do kuriera. Jestem przekonana, że ojcu stało się coś złego.

- Mamo, na pewno się mylisz - powiedziała Rachel do zaskoczonej matki, lekko się uśmiechając. Gwałtownie odwróciła się od okna i szybko ruszyła w stronę drzwi, unosząc spódnicę. - Ojciec właśnie pojawił się na zakręcie drogi.

- Co się dzieje? - zapytała cicho June, z niepokojem patrząc na Rachel piwnymi oczami. - Dlaczego mama jest taka zdenerwowana?

- Nic. Pewnie jest zła, że ojciec opóźnił powrót - odparła Rachel, uśmiechając się blado. Popatrzyła na Sylvie. Nawet najmłodsza siostra, która nie powinna interesować się rodzinnymi sprzeczkami, sprawiała wrażenie przygnębionej i niespokojnej. Z biblioteki wciąż dochodziły podniesione głosy.

Kolejny rozpaczliwy krzyk wstrząsnął domem. June natychmiast poderwała się z fotela. Już przy drzwiach zawahała się, złożyła ręce, po czym pytająco popatrzyła na Rachel.

- Chyba powinniśmy tam pójść i dowiedzieć się...

- Nie - zaprotestowała Rachel, świadoma tego, że obserwuje ją także Sylvie. - I tak się wkrótce dowiemy. Niech papa powie, co ma do powiedzenia, w cztery oczy - zdecydowała.

Nie minęła jeszcze godzina od przyjazdu Edgara Mereditha do domu. Zamiast eleganckiego, uśmiechniętego papy, którego Rachel spodziewała się powitać w Windrush, zobaczyła zaniedbanego mężczyznę, w którym z trudem rozpoznała ojca. Wyglądał tak, jakby od kilku dni nie mył się ani nie golił. Najbardziej niepokojące było jednak jego ponure oblicze i przygarbiona sylwetka. Sprawiał wrażenie człowieka przygniecionego wielkim ciężarem.

Niezbyt przytomnie powitał najstarszą córkę, powoli zdjął pognieciony płaszcz i kapelusz, po czym uciał pytania Rachel stwierdzeniem:

- Pozwól, że najpierw porozmawiam z twoją matką.

Zdumiona Rachel pokiwała głową, lecz wróciła do domu ze ściśniętym żołądkiem, mając w pamięci bladą twarz ojca, szczeciniasty podbródek i żółtawe białka oczu. Zrozumiała, że musiało się wydarzyć coś naprawdę okropnego, a wewnętrzny głos mówił jej, że ta sprawa dotyczy jej nawet bardziej niż matki.

Zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatni raz widziała ojca w stanie upojenia alkoholowego. Musiało to być sześć lat temu. Tyle samo czasu upłynęło od czasu, kiedy matka zanosila się głośnym łkaniem po otrzymaniu wiadomości o Isabel. Tym razem musiała wydarzyć się równie wielka tragedia, skoro krzyki matki niosły się po całym domu, a ojciec powrócił w oplakany stan. Najchętniej pobiegłaby do swego pokoju i nakryła głowę poduszką, by nie słyszeć potwornych wrzasków, tak jak uczyniła to przed laty. Wtedy jednak miała zaledwie dziewiętnaście lat. Teraz była starsza i bardziej dojrzała; wiedziała, że uciekanie przed problemem niczego nie zmieni. Musiała się dowiedzieć, co się stało. Z ciężkim westchnieniem wyszła z pokoju. Siostry podążyły za nią, blade i milczące jak

zjawy.

- Nie sprawiasz wrażenia zaszokowanej, Rachel, a przynajmniej nie przeżywasz tego tak, jak sobie wyobrażałem - odezwał się Edgar Meredith, przerywając ciszę panującą w pokoju. - Obawiałem się, że zaczniesz rugać starego ojca.

- Ta wizja najwyraźniej go nie przerażała.

Rachel popatrzyła na ojca. Jego słaby uśmiech natychmiast zbladł pod lodowatym spojrzeniem niebieskich oczu. Po chwili przeniosła wzrok na drwa płonące w kominku.

Edgar głośno chrząknął i potarł podbródek okryty siwą szczecina, po czym podniósł się z fotela i zaczął przemierzać pokój nienaturalnie żywym krokiem.

- Powiedziałem już waszej mamie, że to nie jest nieszczęście, które nas zniszczy. Widzę, że moje dziewczynki zachowują się równie spokojnie i rozsądnie jak ich ojciec - ciągnął, z zadowoleniem przyglądając się trzem poważnym pannom, siedzącym niepewnie na krawędzi krzeseł w bibliotece. Żadna z nich nie uniosła oczu. Mała Sylvie patrzyła na ręce złożone na kolanach, uderzając obcasami pantofelków o nogi krzesła, w monotonnym, bezlitosnym rytmie.

- Na miłość boską, Sylvie, przestań, błagam! Ledwie żyję... - zawołała matka.

Gloria natychmiast odwróciła wzrok, nie chcąc pokazywać córkom zaczerwienionych, zapuchniętych oczu. Edgar mówił dalej.

- Tak, w tej chwili nie ma dla nas żadnego zagrożenia. Nie jesteśmy biedni ani zrujnowani. Po prostu musimy się przeprowadzić i trochę zmienić nasze plany. Wielu gości weselnych, którzy obecnie przebywają w Londynie, już wcześniej dało nam do zrozumienia, że nie chcieliby rezygnować z atrakcji sezonu, zmuszeni do podróży do Hertfordshire. Myślę, że z ulgą, wręcz z zadowoleniem przyjmą wiadomość o zmianie miejsca ślubu. W ten sposób bal u Winthropów nie będzie kolidował z terminem uroczystości weselnych June. Dom przy Beaulieu Gardens doskonale nadaje się do przyjęcia dowolnej liczby znamienitych gości i jest dogodnie położony.

- W takim razie powinniśmy się cieszyć, że nie będziemy nikomu przeszkadzać - podsumowała ironicznie Rachel. Powoli odsunęła krzesło i złożyła dłonie w geście, który mógłby zostać omyłkowo wzięty za wyrażający pokorne uniżenie. - Opowiedz mi wszystko jeszcze raz, papo. Tak, proszę, opowiedz bardzo dokładnie, co zrobiłeś, ponieważ nie rozumiem, jak ktoś, a szczególnie kochający ojciec i oddany mąż, mógł postąpić tak egoistycznie, głupio i nieodpowiedzialnie, by narazić...

- Nie pozwalaj sobie na zbyt wiele, moja panno! - wykrzyknął Edgar, doprowadzając do tego, że Gloria mocno ścisnęła poręcz fotela i zapatrzyła się na ścianę. June pochyliła głowę niemal do kolan, by ukryć łzy. - Mogę robić z moim majątkiem, co tylko mi się podoba, i nie zamierzam słuchać pouczeń od kobiety, która nie ma prawa oceniać mojego zachowania.

- Mam do tego pełne prawo. To było moje! Z racji urodzenia! - zawołała Rachel. - Przegrałeś w karty coś, co do mnie prawnie należało!

Edgar podszedł do córki, traktując jej słowa jak wyzwanie. Byli niemal równi wzrostem; chcąc okazać swą wyższość, wypiął pierś i uniósł podbródek.

- Nie, moja panno. To jest... było... moje - poprawił urywanym tonem. - Moje do dnia mojej śmierci, dopiero potem będzie... byłoby twoje. Jak widzisz, wciąż jeszcze oddycham i zamierzam jeszcze trochę pożyć, chociaż wiem, że najchętniej udusiłabyś mnie gołymi rękami. - Zacisnął wargi, widząc, że najstarsza córka się rumieni.

Przybierając mentorski ton, kontynuował: - Powtarzam jeszcze raz na wypadek, gdybyś mnie nie rozumiała, że mogę robić z moim majątkiem, co tylko zechcę. Nie zamierzam prosić osób, które utrzymuję, o łaskawe pozwalanie mi na cokolwiek. Nie dopuszczę do tego, żeby mnie karcono i napominano. - Te słowa skierował wyraźnie do żony. - I nie będę się tłumaczył z męskich rozrywek - ani z gry w karty, ani z picia.

Żona popatrzyła na niego z przyganą, lecz Edgar to zignorował.

- Papo, zrobiłeś to celowo. Nigdy mi nie wybaczyłeś, prawda?

To zdanie zostało wypowiedziane bardzo cicho, jednak niesło taki ładunek emocji, że blade policzki Edgara nabrały koloru. Oskarżenie ze strony córki nie wzbudziło w nim jednak głębszych refleksji.

- Powtarzam, nie jesteśmy biedni - ciągnął z. Uporem. - W dniu, w którym popadniecie w nędzę czy zostanieie wyrzucone na ulicę z powodu moich postępów, możecie mnie złać i oskarżyć o to, że sprawiłem zawód jako głowa rodziny. Jednak do tego czasu, o ile chcecie korzystać z moich pieniędzy, nie życzę sobie słyszeć żadnych napomnień! - Po tych groźbach wymaszerował z pokoju, dla efektu trzaskając drzwiami.

- Prosiłam, żebyś przestała hałasować, Sylvie! - zawołała Gloria Meredith w stronę najmłodszej córki.

Po długiej ciszy, która aż dzwoniła w uszach, znów slychać było stukot pantofelków o nogi krzesła.

Sylvie podskoczyła, przerażona, po czym wybiegła z pokoju, włożywszy do buzi kciuk, by stłumić łkanie.

Po chwili milczenia Gloria odchrząknęła i drżącym głosem powiedziała:

- Nie powinnaś była zwracać się do ojca tym tonem, Rachel. To było niewłaściwe z twojej strony. Nie mówię, że jest niewinny, ale mężczyźni zawsze będą uprawiali hazard i tracili fortuny przy karcianych stolikach. Od niepamiętnych czasów majątki zmieniają właścicieli. Twój papa postąpił... nierozważnie. Nie dopisało mu szczęście, ale, jak sam powiedział, to jeszcze nie koniec świata.

- Nie dopisało mu szczęście! - wykrzyknęła Rachel. - Naprawdę uważasz, że to sprawa szczęścia? - Podeszła do okna. Było jej zimno, mimo że wrzał w niej gniew. Przez głowę przebiegały jej tysiące myśli, była oszołomiona z rozpaczy. Chciałaby wierzyć, że to tylko pomyłka, żart. Jednak widząc czerwone plamy na twarzy matki i przygarbione, wstrząsane łkaniem plecy June, zrozumiała, że to prawda. Próbowała zmusić się do opanowania, jednak nie była w stanie milczeć.

- Myślę, że to zostało starannie zaplanowane. To nie była kwestia pecha czy szczęścia. Utrata Windrush jest częścią planu. Ojciec chce wyrównać rachunki i przestać odczuwać wyrzuty sumienia. To wszystko przez tego przebiegłego irlandzkiego drania.

- Rachel! - zawołała z przerażeniem Gloria Meredith - wstając. - Nie chcę tego słuchać! Zapominasz, do kogo mówisz, a pod wpływem emocji stajesz się wulgarna. Słyszałaś, co powiedział papa. Lord Devane wygrał majątek w uczciwej grze. Są na to świadkowie. Był tam twój wuj Chamberlain i pan Pemberton. Chyba nie zamierzasz kwestionować ich uczciwości? Twój ojciec podkreślał, że nie żywi urazy do lorda Devane'a... nie ma żadnych zastrzeżeń co do przebiegu gry...

Rachel zaśmiała się głucho.

- Owszem, nie ma żadnych zastrzeżeń. Ale ja mam. Ten irlandzki... - Urwała, żeby nie zakląć. - Ten irlandzki major ośmieszył również mnie. U Pembertonów wzięłam za dobrą monetę jego słowa o tym, że chce uciszyć plotkarzy i zapomnieć o dawnych urazach. Tymczasem przyświecał mu zupełnie inny cel. Wystawił nas na pośmiewisko i zemścił się na nas, na mnie. A mój ojciec pozwolił mu na to, a nawet z nim współpracował, czując,

że ma wobec niego zobowiązania. Obawiam się, że mimo tego, co zaszło, wciąż go lubi. - Popatrzyła na matkę smutnymi oczami. - Myślę, że lubi go dużo bardziej ode mnie, choć jestem jego córką.

Gloria ruszyła w stronę córki z rozpostartymi ramionami, lecz Rachel odwróciła się, tłumiąc gorzki śmiech.

- Myślę, że wchodząc do gry, Devane dobrze wiedział, że ojciec nie ma już gotówki i po pijanemu najprawdopodobniej zastawi Windrush. Tak, mam, zdaję sobie sprawę, że majątki często zmieniają właścicieli, że od wieków wygrywano je i tracono przy karcianych stolikach. Devane wiedział, że miałam odziedziczyć ten majątek i że jego utrata mnie załamie. Byłoby mi chyba łatwiej, gdyby Windrush zostało zrównane z ziemią! Od powrotu z Londynu parę razy zapytałaś mnie, czy lord Devane i ja zostaliśmy przyjaciółmi, a ja nie wiedziałam, co ci odpowiedzieć. Teraz już wiem. Nie mam nawet cienia wątpliwości - nie jesteśmy przyjaciółmi, mam, i z całą odpowiedzialnością mówię, że wkrótce staniemy się śmiertelnymi wrogami.





## Rozdział siódmy

- Rachel, proszę cię, nie jedź. Nie ma takiej potrzeby. Naprawdę nie mam nic przeciwko ślubowi w Londynie, a William też na pewno nie będzie się sprzeciwiał. Tak jak powiedział papa, będzie to nawet korzystne dla gości.

- W ogóle nie obchodzą mnie goście, a ty też nie powinnaś tak się nimi przejmować! To ma być twój dzień. Twój i Williama. Nawet nie śmiej do niego pisać, że zapowiadają się zmiany - ostrzegła. - Będiesz miała ślub w Windnish, tak jak zostało to zaplanowane. A Windrush będzie moim dziedzictwem, tak jak zaplanowali to nasi przodkowie. Wszystko będzie dobrze, obiecuję - dokończyła Rachel, uśmiechając się tajemniczo.

June sprawiała wrażenie nieprzekonanej. Rachel uściśliła ją serdecznie.

- Nie bądź taka przerażona - upomniała ją. - To ja muszę stoczyć bitwę z tym irlandzkim uzurpatorem.

- Nie mów tak, Rachel! Dobrze wiesz, że mama i papa będą się na ciebie gniewać, jeśli jeszcze raz usłyszą, że przeklinasz jego lordowska mość.

- Przecież wcale tego nie robię, choć aż mnie język świerzbi. Uzurpator to tylko eleganckie określenie złodzieja, podłego oszusta, którym lord Devane jest w istocie.

- Tak czy owak, lepiej, żeby tego nie słyszeli - ostrzegła June, patrząc z niepokojem na drzwi. - Papa utrzymuje, że lord jest uczciwy, i nie pozwoli powiedzieć na niego złego słowa, a mama się z nim zgadza.

- Bo musi. - Rachel zaśmiała się gorzko. - Nasza biedna mama należy do tego nieszczęśliwego pokolenia, które uważa, że po ślubie kobieta musi porzucić swoje przekonania i poddać się woli męża, nawet jeśli jest idiotą. Tak więc, jeśli zamierzasz zachować choćby odrobinę niezależności w małżeństwie, zastanów się nad związkiem naszych rodziców i wyciągnij pouczające wnioski.

- Uważasz, że to źle? - zapytała po chwili wahania June. - Że nie powinnam być taka jak mama? Że żona nie powinna być lojalna i posłuszna, poddana woli człowieka, którego kocha? Czy to jest twoim zdaniem głupie?

- Niekoniecznie - mruknęła ze zniecierpliwieniem Rachel, nie chcąc narzucać June swych poglądów. - Tak czy owak, William jest zupełnie inny niż nasz papa. Jest młodszy, bardziej wyrozumiały i postępowy w swych poglądach na temat obowiązków i praw kobiet. Nie żywi uprzedzeń do kobiet, które mniej od nich inteligentni i ocytani mężczyźni nazywają pogardliwie sawantkami. Wiem też, że popiera Elizabeth Fry w jej walce o zmianę warunków odbywania kary więzienia dla kobiet i dzieci. Rozmawiałam z nim kiedyś na ten temat. Poza tym współczuje księżniczce Caroline, która znajduje się w trudnym położeniu z powodu oszustw księcia małżonka.

- Widzę, że znasz poglądy polityczne i przekonania Williama lepiej niż ja - stwierdziła z przekąsem June. - Nigdy nie rozmawiałam z nim o takich sprawach.

- To dlatego, że kiedy jest z tobą, adoruje cię wytrwale i nie ma ochoty rozmawiać na tak prozaiczne tematy. - Rachel starała się ułagodzić siostrę. - On jest w tobie zakochany. Chce cię zabawiać i zabiegać o twe względy. Udało ci się znaleźć prawdziwą miłość, której wszyscy ci zazdroszczą. Kiedy minie miesiąc miodowy, będziesz miała mnóstwo czasu, żeby rozmawiać z Williamem o polityce i cenach bekonu. To dobry człowiek. Kocha cię. Nie będziesz się przy nim nudzić, nawet jeśli wszystko będzie się wam układać jak po maśle. Bardzo go lubię - dokończyła z westchnieniem Rachel.

June uśmiechnęła się.

- A on lubi ciebie. Kiedyś nawet pomyślałam sobie, że trochę za bardzo... - Urwała, widząc, że Rachel zbywa ten temat machnięciem ręki.

- Przestań! Jestem dla niego za stara, starsza o cztery lata! Jest mi po prostu wdzięczny. I bardzo dobrze, bo powinien. W końcu to ja wyświadczyłam mu przysługę, doprowadzając do tego, że dostał zaszczytu bycia przedstawionym mojej młodszej siostrze. W zeszłym roku w czasie naszego pobytu w Londynie byłaś otoczona wianuszkami adoratorów. Myślę, że biedny William bał się, że zostanie przegoniony przez któregoś z tych wspaniałych młodych kawalerzystów. Ledwie cię było widać zza ich czerwonych mundurów.

Obawiając się, że siostra nawiązuje do chłopięcego wyglądu Williama, June przypomniała:

- Ma prawie dwadzieścia cztery lata. Tak czy owak, tylko on mi się podobał. Przyznaję jednak, że zawsze lubiałam mężczyzn w mundurach. - Popatrzyła ostrożnie na siostrę.

- Kiedyś omal nie zemdlałam na widok majora w huzarskim mundurze. Miałam tylko trzynaście lat, kiedy zabiegał o twe względy. Liczę na to, że nie będziesz na mnie zła, ale wyznam ci, że bardzo ci go zazdrościłam. Marzyłam wtedy, że pewnego dnia... - Urwała, by po chwili kontynuować: - ... kiedy Connor przyjdzie, myśląc, że jesteś w domu, i dowie się, że wyszłaś z Isabel, wymknę się za nim. Gdyby papa albo mama byli w domu, staraliby się go zatrzymać do twojego powrotu. Ale gdyby Sylvie była z nianią, a ja byłabym sama w domu, chętnie bym go przyjęła. Skłamałabym, że niedługo wrócisz, a on uśmiechnąłby się w ten swój charakterystyczny sposób, unosząc kącik ust. - June bezwiednie wykrzywiła wargi, naśladując Connora.

- Potem posiedziały chwilę i zapytał, jak mi idzie nauka.

- Pomimo braku reakcji ze strony siostry, June była pewna, że Rachel słucha jej z zainteresowaniem. June zawsze bała się, że jej piękna starsza siostra wyśmieje tę cielejącą miłość do Connora.

June dorastała w cieniu silnej, upartej Rachel. Różnica wieku sprawiła, że June nie prowadziła tak intensywnego życia towarzyskiego jak siostra. To Rachel i Isabel, która urodziła się półtora roku później, były nierozłączne. Nawet teraz po utracie Isabel June rzadko udawało się przyciągnąć uwagę siostry, a każdy dowód zainteresowania z jej strony traktowała jak wyróżnienie. Nigdy by nie pomyślała, że ta romantyczna opowiadka może tak je połączyć. Ciągnęła już spokojniejszym tonem:

- Pewnego razu późną nocą przyłapał mnie na przyglądaniu mu się przez balustradę w Beaulieu Gardens.

Rachel starannie złożyła suknię i popatrzyła na June.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że zwrócił twoją uwagę. Nie wspomniałaś o tym nawet słówkiem.

- Często zastanawiałam się, dlaczego nie zwrócił twojej uwagi - ośmieliła się zauważyć June. - W wieku trzynastu lat byłam pewna, że jeśli to byłby mój narzeczony, nie odmawiałabym, gdyby przyszedł zabrać mnie na przyjęcie czy - a spacer. Nie zostawiałabym go, bojąc się, że inna kobieta może mi go zabrać. Ale byłam wtedy zbyt naiwna i nie

zdawałam sobie sprawy, że wcale cię nie obchodziło, czy inna kobieta go zdobędzie, bo go nie kochałaś, prawda?

- Chciałam tylko, żeby sobie uświadomił, że nie zamierzam zawsze czekać, aż on i papa nie będą mieli nic lepszego do roboty - odpowiedziała cicho Rachel. - A co powiedział, kiedy przyłapał cię na tym, że go szpiegujesz?- zapytała natychmiast. - Pewnie kazał ci zmykać. Nie interesowały go dzieci.

- Nieprawda, był bardzo miły. Zaczekał, aż ty i inni goście, a byli tam ciocia i wujek Chamberlain i inne ważne osoby, przejdziecie do salonu, a potem podszedł, żeby ze zaraz porozmawiać. Wtedy mama mnie zauważyła, a była prawie północ. Stałam w nocnej koszuli i z bosymi stopami. Mama aż poczerwieniała, myślałam, że coś jej się

- Wyobrażam sobie - mruknęła Rachel, lecz zaraz po poprosiła o inne urywki wspomnień.

- Byłaś kiedyś w operze, nie pamiętam już z kim. Wiem też, że wystawiano „Czarodziejski flet” Mozarta, bo Connor dał mi program i białą różę z butonierki. Wyglądał wspaniale ze swoimi lśniącymi czarnymi włosami i w szkarłatnym fraku. - June poruszyła się na łóżku. - Wciąż mam ten program i zaszuszoną w książce różę. Nie wiem, czemu trzymam je tak długo, sześć lat. To dziwne. Teraz to ja będę panną młodą, a nie ty. Jestem zakochana, a jednak wciąż przechowuję pamiątki od innych mężczyzn. - Szeroko otworzyła oczy w kolorze miodu. - Myślałam, że ci o tym powie, że oboje będziecie śmiać się z mojego głupiego zadurzenia.

- Nigdy mi o tym nie powiedział - wyznała cicho Rachel.

- Nie wiedziałam... - Rozprostowała starannie złożoną suknię, po czym znów ją złożyła, identycznie jak poprzednio. Roześmiała się, zmieniając ton. - No dobrze, ostatnio zdążył już nam pokazać, jaki jest miły, a tymczasem zachowujemy się jak zniewolone jego tandetnym urokiem.

Cierpki ton wypowiedzi siostry sprawił, że June postanowiła ją pocieszyć.

- Może ci na nim nie zależało, ale jestem pewna, że on był tobą zauroczony, Rachel. Przypominam sobie, jak na ciebie patrzył. Chciałam, żeby pewnego dnia ktoś popatrzył na mnie w ten sposób.

- Powinnaś już wiedzieć, że nie należy dawać się na to nabierać - odparła Rachel. - Cielęce oczy dowodzą czasem tylko tego, że mamy do czynienia ze zwierzęciem.

- Zauważyłam, jak patrzył na ciebie na przyjęciu u Pembertonówi...

- Dobrze grał swoją rolę - przerwała jej natychmiast Rachel. - Był taki troskliwy i miły. Nigdy bym nie przypuszczała, że to tylko uwertura do zemsty. Czuję się teraz bardzo głupio. Otrzymałam dowód, że wciąż drzemie w nim bestia, że jest potworem. Mam nadzieję, iż okażę się równie okrutna w walce o odzyskanie tego, co prawnie mi... nam się należy. Będiesz miała wesele tutaj, w Hertfordshire. A poza tym niedługo wrócę z aktem własności do Windrush. Co do tego też nie mam żadnych wątpliwości!

Kątem oka widziała, że ojciec wciąż się jej przygląda, nie odwróciła się jednak i nie odwzajemniła spojrzenia. Podziękowała Ralphowi za pomoc przy wejściu do powozu. Opadła na skrzypiące siedzenie i odwróciła głowę, by nie widzieć ukochanego domu, o który miała stoczyć walkę w Londynie.

Od pamiętnego popołudnia, kiedy dowiedziała się o wybrykach pijanego ojca i wyraźnie powiedziała, co o tym myśli, trzymali się na dystans i lodowatym tonem wymieniali uprzejmości, jeśli przypadkowo się spotkali.

Poprzedniego dnia rano przy śniadaniu, kiedy oznajmiła, że zamierza pojechać do Londynu w towarzystwie Noreen Shaughnessy, rodzice wymienili spojrzenia, z których wyczytała, że Edgar i Gloria nie wierzą w podany przez nią powód wyjazdu. Nie ośmielili się jednak kwestionować jej decyzji; matka łamiącym się głosem życzyła jej miłej podróży. Rachel nie spodziewała się sprzeciwu, z ich strony. W końcu była prawie dwudziestosześcioletnią

kobietą. W ciągu minionych sześciu lat zawsze spędzała dzień świętego Michała u ciotki Florence w Yorku. Tej jesieni nie zamierzała zrobić odstępstwa od reguły. Nie po raz pierwszy więc miała podróżować jedynie w towarzystwie krzepkiej, godnej zaufania służącej.

Tym razem, nie chcąc zostać uznana za kłamczuchę z powodu Devane'a, zamierzała spędzić czas w Londynie tak, jak przedstawiła to rodzicom. Napisała list do Lucindy, a chociaż było jeszcze za wcześnie na odpowiedź, wiedziała, że przyjaciółka przyjmie ją z radością. Synek Lucindy, Alan, był bardzo żywym dzieckiem, które, jak wzdychała ze wzruszeniem jego matka, strasznie psociło, odkąd nauczyło się wstawać i zwinnie przemieszczać. Tymczasem Lucinda robiła się coraz powolniejsza i polegiwała w ciągu dnia. Kiedy Lucinda była w ciąży z tym chłopczykiem, Rachel przyjechała jej pomóc, jako że biedna przyjaciółka miała okropne nudności. Starsza siostra Lucindy nie mogła jej wesprzeć, gdyż również była w odmiennym stanie i wkrótce miała urodzić drugie dziecko. Paul Saunders błagał wtedy Rachel, by podjęła się roli damy do towarzystwa dla jego żony, bojąc się, że osłabiona wymiotami Lucinda wpadnie w depresję. Rachel dobrze wiedziała, co to radość i ból. Chcąc okazać się pomocną, z radością dotrzymywała towarzystwa przyjaciółce. Po miesiącu wymioty ustały, Lucinda odzyskała dobry humor i potem czuła się doskonale aż do rozwiązania.

Rachel nie była pewna, czy może szczerze powiedzieć przyjaciółce, co naprawdę sprowadza ją do Londynu. Z pewnością w klubach i salonach żywo rozprawiano o tym, że lord Devane wygrał wiejską posiadłość Meredithów w karty. Jednak, jak słusznie zauważyła matka, nie było to niczym nadzwyczajnym, gdyż majątki często zmieniały właścicieli.

Ta myśl sprawiła, że Rachel znów zerknęła na długie okno wychodzące na podjazd i popatrzyła na samotną sylwetkę za kwadratowymi taflami szkła. Unikała jednak wzroku ojca. Kilka dni temu sama stała w tym oknie i naiwnie cieszyła się, widząc papę wracającego do domu. Nie miała wtedy pojęcia, jak okropne wiadomości przywozi z Londynu. Teraz to on musiał stać i czekać. Rachel była pewna, że Edgar dobrze wie, w jakim celu jego córka jedzie do Londynu, i zdaje sobie sprawę, że wyrządził jej wielką krzywdę.

Stojąca obok powozu Noreen zęgnęła się z siostrą. Poklepawszy Mary po szerokich plecach, popchnęła ją delikatnie, co sprawiło, że Mary posłusznie poczłapała żwirową ścieżką w stronę domu, kiwając ogniście rudą głową. Noreen zajęła miejsce w powozie naprzeciwko Rachel i otuliła się brązową peleryną.

Kiedy powóz ruszył, Rachel instynktownie się odwróciła, zauważając, że ojciec unosi rękę. Bezwiednie odwzajemniła pozdrowienie, nie była jednak w stanie zmusić się do uśmiechu. A potem ojciec zniknął jej z oczu, gdyż wjechali w szpaler okazałych kasztanowców, ocieniających aleję potężnymi gałęziami.

Edgar Meredith rozpląszczył dłoń na szybie i odprowadził wzrokiem powóz, znikający w tunelu świeżej, wiosennej zieleni. Przechylił głowę i wyszeptał:

- Szczęśliwej drogi, kochanie.
- Zaczekam.
- Hm... Myślę, że to niezbyt roztropna decyzja, panno... eee... Meredith?
- Tak.
- Panno Meredith, nie wiem, jak długo milord zabawi poza domem.
- Zamierza wrócić dzisiaj?

- Tak, ale nie wiem kiedy. Nie chciałbym pani zniechęcać, milady, lecz wczoraj jego lordowska mość wyjechał z domu rano, a wrócił po północy.

- Proszę się nie obawiać, nie dam się zniechęcić. Mogę tu usiąść?

Rachel wskazała najbliższe stojące krzesło z wysokim oparciem, sprawiające wrażenie bardzo niewygodnego. Długie czekanie przerażało ją i mijało się z celem. Miała jednak nadzieję, że nie będzie musiała stracić wielu godzin. Pozostawało jeszcze sporo czasu do kolacji. Pomyślała, że lord Devane może wstąpić do domu, żeby spożyć posiłek przed udaniem się na jakieś przyjęcie. Ochmistrz z pewnością chciał ją odstraszyć. Miał ponure oblicze człowieka bez reszty oddanego wypełnianiu obowiązków, które między innymi polegały na niewpuszczaniu niepożądanych gości do tego wytwornego wnętrza, choćby tylko do westybulu. Rachel musiała przyznać, że wysoki hol ze swymi szafirowymi zasłonami i ciemnymi meblami stojącymi przy kremowych ścianach jest imponujący.

Joseph Walsh, ochmistrz, uważał, że ta bezczelna kobieta powinna być mu wdzięczna już choćby za to, że okazał jej odrobinę cierpliwości. Rozkoszował się tą myślą tylko przez chwilę; zawsze bowiem istniała obawa, że może się mylić w ocenie gościa. Kobieta wydała mu się ekscentryczną kokietką. Walsh służył Connorowi Flintę owi od wielu lat. Podróżował z nim do Wolverton Manor, rozległego majątku w Irlandii, a dawniej, pełniąc funkcję kamerdynera, pomieszkiwał w znacznie gorszych warunkach, nierzadko biwakując z majorem na kontynencie. Nie spotkał wcześniej tej kobiety i był pewien, że nie przestąpiła dotąd progu tego domu.

Trudno było nie zauważyć, że jest piękna, musiała też być zdeterminowana, by rozmawiać z hrabią. Wszystko tworzyło osobliwą łamigłówkę. Przykurzony strój kobiety był uszyty z pierwszorzędnej jakości materiału, manieri: sposób wysławiania się zdradzały szlachetne urodzenie. Nie była już najmłodsza. Nadawała się bardziej na misjonarkę niż na kochankę, jednak kiedy przypominał sobie kurtyzany, które potrafiły odgrywać damy z towarzystwa, doszedł do wniosku, że nie należy nikogo sądzić po pozorach.

Joseph Walsh pełnił już służbę u wielu młodych arystokratów i dobrze wiedział, że lubili sobie dogadzać i bawić się na różne sposoby. Przed łąty pracował u młodego wicehrabiego, który przewracał dom do góry nogami i sprowadzał kobiety lekkich obyczajów, kiedy tylko trochę sobie wypił. Większość jego pryncypałów przestrzegała jednak wymogów etykiety i znacznie dyskretniej oddawała się miłosnym uciechom. Po dwudziestu latach służby dobrze pamiętał jednak, jak sprytnie kobiety zjawiały się na progu w ciąży i z ręką wyciągniętą po wsparcie. Doskonale znał ze wszystkie sztuczki. Beznamiętnym wzrokiem taksował więc pannę Meredith spod swych krzaczastych brwi, ze szczególną uwagą przyglądając się jej pelerynie na wysokości brzucha.

Rachel zjeżyła się. Gdyby domyślała się, czemu jest poddawana tak dokładnym oględzinom, z pewnością spoliczkowałaby ochmistrza. Pomyślała, że sługa jest zde gustowany tym, iż ośmieliła się tu przyjść, nie zadbawszy o odpowiedni wygląd, i że damy przekraczające próg tego wspaniałego domu z pewnością prezentują się znacznie lepiej. Była zmęczona po podróży; miała zakurzony kapelusz i ubłoconą spódnicę.

Kilka dni temu Londyn i jego przedmieścia poważnie ucierpiały wskutek gwałtownej burzy, o czym dowiedziała się od gadatliwego pomocnika karczmarza w gospodzie „Pod Dzwonem” w Edmonton, gdzie zatrzymała się w drodze do Londynu, by dać odpocząć koniom. Zaledwie przed tygodniem stanęli w tej gospodzie w czasie podróży powrotnej do Hertfordshire, Dziedziniec oberży przypominał grzęzawisko zryte przez liczne powozy. Mimo iż starała się jak mogła, w drodze z powozu do gospody ubłociła buciki, kraj spódnicy i peleryny.

Teraz, po długiej podróży, przybyła wreszcie na miejsce. Nie miała pojęcia, dlaczego zachowała się tak niekonwencjonalnie i przyszła tu, nie wstąpiwszy nawet do Beaulieu Gardens, żeby umyć twarz i się przebrać. Nie pomyślała też o tym, by się zdrzemnąć i nabrać sił przed walką. Teraz, pozostawiona sama sobie, w holu domostwa Devane'a, stopniowo traciła animusz. Rozważała możliwość wycofania się i powrócenia później, kiedy będzie w lepszym nastroju.

Młody lokaj stał przy wejściu, trzymając półotwarte drzwi i z zaciekawieniem patrząc na Rachel. Najwyraźniej spodziewał się, że lada chwila zostanie zrzuciona ze schodów. Rachel obrzuciła służącego lodowatym spojrzeniem i zasznurowała usta, dając wyraz oburzeniu. Miała ochotę uraczyć tych dwóch służących wiadomością, że swego czasu roztropnie odrzuciła propozycję małżeństwa ze strony mężczyzny, którego uważali za półboga.

W ostatniej chwili ugryzła się w język. Uniosła spódnicę i trzymając je nad wypolerowanym parkietem, przeszła przez kremowo-niebieski orientalny dywan przedstawiający smoka i opadła na krzesło z mahoni. Na wypadek, gdyby nie przekonało to służących, że zamierza tu czekać aż do skutku, rozwiązała wstążki kapelusza - budki, przeczesala palcami złociste kędziory i położyła kapelusz na kolanach.

Śmiało popatrzyła na stojącego przy drzwiach lokaja, który natychmiast stracił rezon i niepewnie zerknął na przełożonego. Ochmistrz wykonał niedbały gest woskową dłonią; na ten sygnał wielkie drzwi zostały zamknięte. Elegancki lokaj w liberii wycofał się w głąb domu z nieskrywanym wyrazem podziwu na twarzy.

- Czy jego lordowska mość spodziewa się pani wizyty, panno Meredith? - zapytał z ostrożną uprzejmością Joseph Walsh.

- Tak - skłamała Rachel. Po chwili na jej twarzy pojawił się krzywy uśmiech; zdała sobie sprawę, że zapewne nie jest to kłamstwo.

Popatrzyła na zegar w holu; była za pięć ósma. Pomyślała, że Noreen zapewne krząta się już w Beaulieu Gardens. Dowiedziawszy się, że lorda Devane'a nie ma w domu, Rachel dała umówiony sygnał czekającemu na ulicy Ralphowi i jej powóz odjechał. Uznała, że nie ma sensu, by wszyscy tracili czas na Berkeley Square. Noreen miała rozpakować kufry, a Ralph - dopilnować koni.

Jej służący z pewnością uznali, że postradała zmysły. Poznała to po ich czujnych spojrzeniach, kiedy wysiadała przed okazałym domem. Wyglądała okropnie, a mimo to upierała się, że musi natychmiast złożyć wizytę.

Noreen wyraziła swą opinię na temat tej decyzji, cmokając z dezaprobatą.

- Najpierw powinna pani zająć się sobą, milady, a dopiero jutro pomyśleć o odwiedzaniu przyjaciół - powiedziała.

- Jutro rzeczywiście zamierzam odwiedzić przyjaciół, Noreen - odpowiedziała Rachel, patrząc na elegancką fasadę rezydencji lorda Devane'a. Dzisiaj muszę zobaczyć się z wrogiem, dodała w myślach.

Ralph potraktował ją po ojcowsku, mówiąc, że wróci po nią za godzinę. Rachel zapewniła go, że nie ma powodów do obaw i że na pewno zostanie odwieziona do domu. Wiedząc, co zamierza powiedzieć lordowi, wątpiła, by zdobył się później na taką uprzejmość, miała jednak przy sobie pieniądze na dorożkę. Poza tym o tej porze roku długo było jasno. Woląa nie myśleć o tym, że wszystko może przeciągnąć się do późna w nocy.

Oparła głowę o ścianę i popatrzyła na półkoliste okienka nad dwuskrzydłowymi drzwiami. Na niebie pojawił się już srebrny rożek księżycy i gwiazdy przesłaniane przez strzępiaste chmury. Z westchnieniem odwróciła oczy od nocnego nieba i popatrzyła na zegar. Nie musiała tego robić, gdyż donośne dzwonienie co godzinę wrywało ją z

zamyślenia. Przerażona, gwałtownie prostowała się wtedy na niewygodnym krześle. Było piętnaście po dziesiątej. Ostatni kwadrans włókł się dla niej w nieskończoność.

O wpół do dziewiątej przyniesiono jej szklankę lemoniady i herbatniki cynamonowe. Tkwiła w holu, od czasu do czasu obdarzana leniwym spojrzeniem ochmistrza, który po każdym biciu zegara podchodził do drzwi frontowych, by nie wiadomo po co kolejny raz sprawdzić zamki. Nawet kiedy godzinę później zabierał pusty talerz i szklankę, nie odezwał się do Rachel ani słowem.

W czasie tych długich godzin była skazana na towarzystwo własnych myśli, które jednak wcale nie podnosiły jej na duchu. Zyskiwała coraz większą pewność, że postąpiła nierozsądnie, jak dziecko. Nie powinna była doprowadzać do tego, by służący traktowali ją jak powietrze. Po co uparła się, by czekać aż do skutku?

Sześć lat temu, kiedy była zaręczona z Connorem Flinte'em, nikt nie miałby wątpliwości co do tego, że dorównuje mu pozycją społeczną. Connor bez wątpienia był doskonałą partią, jednak to samo można było powiedzieć o niej: była piękną, młodą dziedziczką.

Teraz najlepsze lata miała już za sobą, jej majątek przepadł, a między nią a lordem Devane'em istniała przepaść nie do pokonania. Bardzo nad tym bolała. Przypomniła sobie, jak przypoehlebiano się jej przeciwnikowi w czasie wieczorku muzycznego u Pembertonów. W wieku trzydziestu lat był jeszcze atrakcyjniejszy niż dawniej i lubiany nie tylko przez jej zaślepionego ojca. Jego londyńska rezydencja prezentowała się nadzwyczaj okazale, a służba najwyraźniej przywykła do odprawiania gości, którzy nie byli wystarczająco dostojni. Rachel była tak przygnębiona, iż uznała, że ochmistrz darzy ją osobistą niechęcią, chociaż w innych okolicznościach oceniłaby, że po prostu wypełnia obowiązki. Przyszło jej jednak do głowy, że nie prosiła o poczęstunek; była to miła inicjatywa ze strony życzliwego ochmistrza.

Po długich rozmyślaniach doszła do wniosku, że i tak traktowano ją tu lepiej, niż na to zasługiwała. Zrobiło się bardzo późno i było oczywiste, że pan domu nie wróci na kolację. Ochmistrz mógł poprosić ją o opuszczenie rezydencji, jednak tego nie zrobił.

W miarę upływu czasu coraz częściej nachodziła ją ochota, by stąd odejść. Czekanie wydawało się bezcelowe, jednak rezygnacja również nie była dobrym rozwiązaniem. Gdyby nawet uciekła, Connor i tak dowiedziałby się o jej zuchwałym wtargnięciu do domu.

Wpadła tu jak burza, zmęczona, w nieświeżym ubraniu, i zachowała się jak stara jędra, mając nadzieję, że pokaże hrabiemu, iż nie zamierza się dla niego starać, ponieważ nie jest tego wart. Na takie wybryki mogła sobie pozwolić dziewczynka w wieku Sylvie, ale nie dojrzała kobieta. Straciła ponad dwie godziny, które mogła poświęcić na coś pożytecznego. Na kąpiel, posiłek, drzemkę. Ziewnęła, czując, że zamykają jej się oczy...

W głowie pojawiły się jakieś złośliwe duchy, powoli wdarty się do jej snu. Chciała dzielić radość z Isabel, śmiać się, rozmawiać z Isabel i z nią być.

Isabel uniosła ręce i rozcapierzyła palce w geście zaproszenia. To nie było pożegnanie. Rachel poczuła dotknięcie jej dłoni na policzku. Potrzebowała pocieszenia, ponieważ wkrótce siostra znów wyjedzie... Będzie dla niej stracona... Pojedzie daleko, bardzo daleko. Wdzięczna twarzyczka Isabel, okolona długimi jasnymi włosami oddalała się... zniknęła, choć Rachel łamiącym się głosem prosiła, by siostra nie zostawiała jej samej...

Miała ochotę uściskać te ręce, cieszyć się bliskością siostry, jednak zapach wody kolońskiej wyrwał ją ze stanu odurzenia. Wyprostowała się na krześle i przerażona opadła na oparcie. Zaspana, jak przez mgłę zobaczyła przed sobą męską twarz. W pewnej odległości od niej majaczyły sylwetki dwóch innych mężczyzn. Zamrugła powiekami, czując wstyd i zakłopotanie. Wciąż dręczyły ją wizje ze snu. Zamknęła oczy, bojąc się konfrontacji z rzeczywistością.

Kiedy znów popatrzyła przed siebie, rozpoznała dwóch świadków swojej klęski, stojących za lordem Devane'em. Niski, starszawy ochmistrz rozmawiał z Jasonem Davenportem, który przyglądał się jej bardzo uważnie. Poczła gwałtowny ucisk w żołądku. W przyływie panicznego strachu próbowała się unieść, lecz miała tak zeszywniałe nogi, że musiała złapać się oparcia krzesła, by nie upaść.

Siedzący obok niej Connor wstał i mocno chwycił ją za ramiona.

Dotarły do niej pierwsze słowa wypowiedziane z miękkim irlandzkim akcentem.

- Chodź, musisz już wracać do domu, Rachel...
- Która godzina? - wychlipała. - Wpół do drugiej...
- Wpół do drugiej? - powtórzyła jak echo – Wróciłeś bardzo późno - oskarżyła go niemal szeptem.
- Wiem, przepraszam - uspokajał ją aksamitnym głosem.

Potem przyciągnął ją do siebie i otoczył ramieniem, tak że wkrótce, czując jego bliskość, przestała się trząść na całym ciele. Idąc do wyjścia, miała wrażenie, że unosi się nad parkietem. Wiedziała, że towarzyszy im ochmistrz, który otworzywszy drzwi, kolejny raz przyjrzał się jej bardzo uważnie. Po chwili zaczęła schodzić ze schodów, z ulgą wdychając rześkie, nocne powietrze.

Kiedy wracała do domu, czując lekkie kołysanie powozu, Connor usiadł obok i przytulił ją do siebie. Zasypiała i budziła się z głową opartą o jego tors. Co dziwne, wydawało jej się to całkowicie naturalne.





## Rozdział ósmy

- Mam nalać herbaty, panienko Rachel?

- Nie... poradzę sobie sama. To wszystko, dziękuję, Noreen,

Noreen Shaughnessy popatrzyła na swoją panią, po czym odważnie spojrzała na wysokiego, eleganckiego mężczyznę siedzącego w fotelu przy kominku. Złożywszy pełen szacunku ukłon, służąca wyszła.

Rachel przez chwilę patrzyła na drzwi. No tak, jeszcze jedna kobieta, która oniemiała na jego widok, tym razem wieśniaczka. Skrzywiła się z dezaprobatą i podeszła do tacy, którą Noreen postawiła na stoliku.

- Dziękuję za to, że przyszedłeś... że przyszedł pan tak szybko, milordzie. Chciałabym przeprosić za to, że Doprosiłam o złożenie mi wizyty tak wcześnie, jednak wydawało mi się to rozsądne. Wolałabym, żebyśmy jak najszybciej mieli to już za sobą. - Znów ściągnęła pełne, pięknie wykrojone wargi, żałując, że nie udało jej się wysłować bardziej elegancko. Chciała wykorzystać fakt, że u Pembertonów Connor sam przyjął wobec niej postawę przyjaznej obojętności. Za jakiś czas zrozumie, że ma w niej wroga, teraz jednak pragnęła powściągnąć emocje, by skutecznie wprowadzić w życie swój plan. Zamierzała zrobić, co tylko w jej mocy, by June mogła wyprawić ślub i wesele w Windrush. Odzyskanie majątku pozostawało zupełnie inną kwestią; w tej sprawie musiała działać sprytnie i ostrożnie.

Rzuciła mu przelotne spojrzenie. Tak jak się tego obawiała, dostrzegła cień rozbawienia na jego twarzy. Musiała przyznać, że Connor prezentuje się wspaniale: miał na sobie granatowy surdut ze złotymi guzikami i piaskowe spodnie z koźlęcej skóry, podkreślające muskularną sylwetkę. Wykrochmalona koszula była nieskazitelnie biała, kremowy fular zawiązany po mistrzowsku. Buty z cholewami musiały być zморą i chlubą kamerdynera; błyszcząły tak, że odbijały się w nich ozdobne wzory dywanu. Do tej pory Rachel nie zauważyła, że Connor ma niemiernie ostrzyżone włosy. Połyskiwały w promieniach słońca, zagładającego do wnętrza przez ażurowe zasłony. Rachel poczuła przyływ złości. Connor zawsze był atrakcyjnym mężczyzną i nie musiał tego aż tak podkreślać.

Przyglądał się jej spod na wpół przymkniętych powiek i sprawiał wrażenie spokojnego, jednak Rachel wiedziała, że hrabia Devane jest bardzo czujny. Jej prośba o to, by przyszedł do Beaulieu Gardens o jedenastej - porze, o której żaden szanujący się przedstawiciel londyńskich elit nie wstaje z łóżka, nie mówiąc o opuszczaniu domu - musiała dotrzeć do niego o świcie, czyli około dziewiątej. Mimo to stawił się punktualnie, tak nieskazitelnie ubrany, że musiał zerwać się na nogi zaraz po rym, jak Ralph doręczył list.

Rachel również starannie przygotowała się do spotkania. Ponieważ poprzedniego dnia zachowała się co najmniej niestosownie, zjawiając się w jego domu w niechlujnym stroju, a do tego na koniec rozbeczała się jak dziecko, tym razem postanowiła postępować nienagannie.

Musiała zapewnić sobie przewagę, przyjmując przeciwnika w swoim domu, należało więc zadbać o to, by wyglądać jak elegancka dojrzała kobieta.

Wystąpiła w muślinowej porannej sukni, uwydatniającej niezbyt okazały biust. Lekko rozkloszowana spódnica pozwalała domyślać się wdzięcznej krągłości bioder. Rachel była trochę zmęczona, postanowiła jednak nie stosować różu, gdyż bladość dodawała jej urody, podobnie jak cienie pod oczami, które podkreślały niebieską barwę oczu. Tego ranka postanowiła zaprezentować się jak eteryczna kobietka potrzebująca opieki i siły męskiego ramienia... tak jak minionej nocy. Liczyła na to, że Connor ma jeszcze dla niej odrobinę współczucia. Była zaskoczona, że w ogóle się nią zajął, skoro wcześniej zrobiła z siebie widowisko w jego domu. Musiałby jednak być podłym łajdakiem, gdyby nie poruszył go widok wycieńczonej, załamanej kobiety. Tak więc mimo pozornej klęski coś zyskała i przekonała się, że nie wszystko jest stracone, jak się mogło wydawać.

Trudno było jej pokonać wstyd i upokorzenie. Rano wyżyła się na trzech eleganckich sukniach, które, jedną po drugiej, cisnęła na łóżko w sypialni. W końcu ogarnięta panicznym strachem, że nie zdąży się przygotować, wybrała obecny strój i sama zaczęła zapinać guziki, gdy tymczasem Noreen uwijała się wokół niej, układając loki za pomocą szczypców. Za pięć jedenasta powóz Connora zajechał przed dom. Na szczęście okazało się, że nerwowe przygotowania Rachel nie poszły na marne. Zdawała sobie sprawę, że za pozorną obojętnością Connora kryje się podziw, że dostrzega on jej kobiece wdzięki. Zamierzała oczarować go tak, by stał się skory do ustępstw. Nie miała przecież innej broni. Pozostawała nadzieja, że wyświadczy jej przysługę. Kiedyś przecież tylko godziny dzieliły ich od tego, by zostali mężem i żoną.

Zorientowała się, że w zamyśleniu za bardzo guzdrze się przy tacy, szybko zamieszała herbatę w imbryczku, po czym naląła ją do filiżanek.

- Pomyślałam, że dobrze będzie spotkać się wcześniej - powiedziała niepewnym głosem - zanim nasi znajomi wstaną i zobaczą pański powóz przed moim domem. Nie chcę dawać ludziom pożywki do dalszych plotek na temat tego, co łączy Meredithów z lordem Devane'em.

- Rozumiem.

- Doskonale. Śmietanki? Cukru?

- Poproszę.

Rachel skupiła się na pełnieniu funkcji gospodyni. Naląła śmietankę do filiżanki Connora i z zadowoleniem ruszyła w jego stronę. W połowie drogi zdała sobie sprawę, że herbata wylewa się na spodek. Przystanąła, z przerażeniem patrząc na swe oblane gorącym napojem palce.

- Ależ ze mnie niezdara! Przepraszam. Przyniosę panu drugą.

- Nie ma takiej potrzeby. Proszę sobie nie robić kłopotu.

- Nie. Zmienię filiżankę - nalegała. - Nie ma żadnego kłopotu. W imbryczku jest jeszcze dużo herbaty. - Cofnęła się o krok, trzymając przed sobą filiżankę, jakby bojąc się, że wyleje resztę napoju na stół. Dlaczego nie pozwoliła Norasi na wykonanie tego idiotycznego rytuału?

Mimo iż była wpatrzona w porcelanową filiżankę ozdobioną kwiatowym wzorem, zorientowała się, że Connor przestał opierać się o kominek. Szybko cofnęła się o parę kroków, widząc, że lord się do niej zbliża; filiżanka brzęknęła o spodek. Connor zacisnął mocne palce na nadgarstek Rachel, by móc wyjąć filiżankę z jej dłoni.

Patrzyła, jak struga herbaty wylewa się na jej dłoń i płynę ku jego ręce. Zagroził płynowi drogę kciukiem, po czym odstawił filiżankę i wytarł rękę Rachel swą chustką, którą zaraz potem schował do kieszeni. Nie puścił jednak ręki Rachel. Tak bliska obecność Connora, lekki dotyk jego dłoni przypomniały jej wydarzenia minionej nocy. Zaczerwieniła się na wspomnienie drogi powrotnej do domu, kiedy to bezwstydnie tuliła się do Connora w powozie. Nie rozmawiali wtedy z sobą. Udało mu się jedynie wydobyć od niej informacje, że zatrzymała się w Beaulieu Gardens i, nie licząc służących, jest tam sama. -

Od chwili, gdy wprosiła się do jego domu i zasiadła w westybulu, aż do momentu, kiedy Connor wyrwał ją z głębokiego snu, zachowywała się nagannie. Pamiętała swój sen o Isabel. Siostra zawsze jej się śniła, kiedy Rachel była smutna lub zmęczona.

Wolała sobie nie wyobrażać, co też pomyślał sobie o niej przyrodni brat Connora, widząc ją w takim stanie. Właściwie nie musiała sobie niczego wyobrażać. Dobrze wiedziała, jak ją ocenił. Jason nigdy jej nie lubił. Teraz nie mógł już przypiąć jej etykiety płoczej dziewiętnastolatki. Z pewnością zaliczył ją do grona sprytnych starych panien, starających się odwrócić uwagę zanego kawalera od lepszych partii. Jason Davenport i pani Pemberton mieli z sobą coś wspólnego: oboje uważali, że Rachel rozpaczliwie pragnie ponownie wkraść się w łaski Connora, i w tym celu gotowa jest posunąć się bardzo daleko.

- Dziękuję, że przywiózł mnie pan do domu zeszłej nocy- powiedziała niespodziewanie. - Jestem też panu winna przeprosiny i wyjaśnienie mojego dziwnego zachowania.

- Przykro mi, że pani tak długo czekała i została tak niegościnnie potraktowana pod moją nieobecność. Będę musiał porozmawiać o tym z Josephem.

- Josephem? Pańskim ochmistrem? Nie, proszę go nie karcić. Biorąc pod uwagę fakt, że byłam bardzo zuchwałą i arogancka, dziwię się, że w ogóle wpuścił mnie za próg. Poza tym przyniósł mi poczęstunek. Z początku chciałam poczekać tylko chwilę, myśląc, że może wróci pan do domu na kolację. To moja wina, że zostałam tak długo, a potem zasnęłam. Nie wiedział pan o mojej wizycie, proszę więc nie czuć się winnym, że nie przyszedł pan wcześniej.

- Ma pani rację. Nie będę - powiedział wesoło. - Prawdę mówiąc, to nawet sprawiedliwe, że zmarnowała pani wieczór, czekając na mój powrót. Pamiętam, jak wiele razy czekałem na panią bez końca w tym pokoju, chociaż wcześniej byliśmy umówieni.

Rachel spróbowała uwolnić rękę. Okazało się, że jego współczucie było równie ulotne jak jej postanowienie odgrywania damy. Powinna jednak liczyć się z tym, że ma dobrą pamięć.

- Dlaczego robiła pani to tak często, Rachel?

- Dlaczego tak często pan to znosił, majorze Flintę? - odpowiedziała, sprowokowana jego słowami. W jej błękitnych oczach pojawił się cień złośliwej satysfakcji.

Chciał, żeby dowiedziała się, jakie są powody jego zemsty! Tak jakby musiał jej to przypominać. Ona również miała dobrą pamięć. Nie zamierzała prowadzić tej gry na jego warunkach, chciała sama nadawać ton. A Connor miał tańczyć, jak mu zagra... jak zawsze.

- Myślę, że pańscy służący bali się wpuścić mnie do domu z powodu mojego wyglądu - wyznała szczerze, jednocześnie sprytnie mu się wyrywając. Potem zajęła się układaniem żółtych róż w wazonie i zbieraniem płatków, które opadły na mahoniowy stół.

Nie doczekała się żadnej reakcji na to, że wspaniałomyślnie wzięła winę na siebie, czuła jednak na sobie wzrok Connora, kiedy szła przez dywan, wypatrując miejsca, w którym może zostawić trzymane w dłoni płatki róż.

- Pewnie zauważył pan, że miałam ubłoconą suknię i pelerynę i rozczochrane włosy - dodała, po czym gestem ręki pokazała, jak schludnie dziś upięte włosy opadały jej wczoraj na ramiona.

Ponieważ w pokoju panowało milczenie, zdała sobie sprawę, że Connor celowo unika rozmowy, podchodząc jednak coraz bliżej. Wzbudziło to jej podejrzenia. Musi szybko poruszyć najważniejszy problem, gdyż nie życzy sobie płótek wścibskich sąsiadów na temat powozu lorda Devanea przed jej domem. Kiedy ludzie dowiedzą się, że mieszka tu sama, brukowce natychmiast połączą fakty i wybuchnie wielki skandal. A ona nie może dopuścić do tego, by cokolwiek zaszkodziło reputacji June tuż przed ślubem. Spróbowała jeszcze raz.

- Przepraszam, że niepokoiliam pana dziś rano. Wiem, że po odwiezieniu mnie do domu nie miał pan wystarczająco dużo czasu na sen. Nie ośmieliłabym się budzić pana tak wcześnie, gdyby nie to, że przyjechałam tu w sprawie niecierpiącej zwłoki. Mam świadomość, że wolałby pan być teraz w łóżku...

Tym razem doczekała się odpowiedzi, której towarzyszył głośny śmiech.

- Nie mam nic przeciwko temu, że mnie pani obudziła, Rachel. Ma pani rację, wolałbym teraz być w łóżku...

Natychmiast znieruchomiała i z wściekłością rzuciła płatki na stół, co sprawiło mu głęboką satysfakcję. Delikatny zapach róż rozszedł się po pokoju. Rachel nalała sobie herbaty i szybko ją wypila.

Connor podszedł do kominka i oparł ramię o półkę nad paleniskiem, mając nadzieję, że Rachel nie widzi, jak bardzo go podnieca, i że nie obraził jej niewybrednym żartem. Czuł, że przesadził. Dlaczego rozmawiał z nią tak, jakby była kurtyzaną? To wszystko przez to, że tak mocno pragnął, by została jego kochanką. Zabębnił palcami w drewnianą, pomalowaną na biało półkę. Trudno było się dziwić, że zwrócił się do Rachel tak niefortunnie. Była szlachetnie urodzona i zapewne wciąż niewinna. A jednak dała mu powody do tego, by traktował ją z pogardą. Oczywiście nie potrafił źle o niej myśleć, ani teraz, ani przed sześcioma laty, kiedy zerwała zaręczyny. A jednak poprzedniego dnia zachowała się jak ladacznica. Trudno było się dziwić, że jego służący pomyślał, iż jest jedną z odrażonych kochanek, która zamierza wystąpić z roszczeniami.

Dobrze wiedział, co chciała uzyskać, i spodziewał się jej przyjazdu. Nie docenił jednak jej popędliwości i odwagi, co utwierdziło go w przekonaniu, że jej ojciec nie powiedział w domu wszystkiego na temat tamtej żalosalnej farsy. Rachel najwyraźniej nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, co zaszło pomiędzy nim a Meredithem. Najpierw otrzymał od niego piękną posiadłość, a teraz ojciec dodawał do niej córkę. To wszystko było zbyt oczywiste, za łatwe. Był ciekaw, tak daleko Rachel jest gotowa się posunąć, by odzyskać swą własność, i jak daleko on sam pozwoli się jej posunąć, zanim puści ją wolno.

Przecież ma kochankę, i to bardzo zmysłową. Musiał przyznać, że nie zawsze ją doceniał. Popatrzył na swe palce- wybijające rytm. W pewien sposób było mu żal Marii, która musiała bardzo się starać o miejsce w jego życiu.

Tymczasem ta zimna blondynka wprawiała jego zmysły w stan gotowości, nie próbując nawet przyciągnąć jego uwagi. Dlaczego jest tym zdziwiony, a nawet go to denerwuje? Już wcześniej działała na niego w ten sposób. Wtedy traktowała go jak swego pieska. A on pozwalał jej na takie uchwycenie w przekonaniu, że to tylko chwilowe.

Mając dziewiętnaście lat, Rachel Meredith była płochą krnąbrną i doprowadzała go do pasji. Była jednak również piękna i pełna życia. Bezbłędnie rozpoznawał oznaki rodzącej się w niej zmysłowości i był szczęśliwy, że przypadła mu taka nagroda. W wieku dwudziestu czterech lat miał swoje męskie upodobania. Wszyscy kupcy w mieście

mogli go przeklinać, jego dom mógł lec w gruzach, kiedy szukał pończoch, byle tylko przypodobać się Rachel, a kiedyś mieć ją w łóżku, chętną, gorącą. Potem, myśląc już trzeźwo, zdał sobie sprawę, że kocha tę dziewczynę pomimo jej wad, i nie ma to nic wspólnego z jej kuszącym ciałem czy posagiem. Kochał ją dla niej samej. Boże, jaki był wtedy zakochany! Te uczucia nigdy już się nie odrodzą.

Tamtego roku mógł do woli przebierać wśród debiutantek, wybrał jednak Rachel pod warunkiem, że stan narzeczeński nie potrwa długo. Miał zobowiązania w wojsku i wniósł zastrzeżenie, że ślub ma się odbyć jak najszybciej. Awansował wtedy z rangi kapitana kawalerii na majora huzarów. Zależało mu na karierze, ponieważ jako jego żona Rachel mogłaby wtedy prowadzić bogate życie towarzyskie, a wydawało się że jej to bardzo odpowiada. Na początek postanowił być uległy. Liczył na to, że Rachel wkrótce zostanie jego żoną, i mógł sobie pozwolić na tolerowanie jej dziecinnych wybryków. Miał tak duże doświadczenie z kobietami, że był pewien, iż narzeczoną dorośnie już w czasie nocy poślubnej.

Okazało się, że jej nie znał. Źle ocenił jej umiejętność prowadzenia domu, chociaż doskonale radziła sobie w roli przywódczyni dzieci Meredithów. Nie dała też dowodu na swą zmysłowość. Teraz wypowiedziała parę niezgrabnych zdań, chcąc wydać się uprzejmą, i kulila się pod wpływem jego dotyku, bo go nienawidzi, a on ją przeraził, zachowując się jak nienasycony młodzian. Powinien był ją osiąść sześć lat temu, kiedy miał po temu więcej praw i szans.

Poprzedniego dnia pozwoliła mu się pocieszyć, jednak była wtedy śpiąca i nie wiedziała, co się dzieje. Teraz była opanowana; najwyraźniej postanowiła, że już nigdy nie pozwoli sobie na okazanie przy nim słabości. W dodatku zranił ją grubiaństwem, dając jej jeszcze jeden powód do nienawiści.

Nie musiał wiedzieć, że Rachel oplakuje siostrę, jednak był zadowolony, że mu o tym powiedziała. Nie cieszył się z tej sytuacji, jednak poczuł satysfakcję, że okazał się przydatny. Potrafił sprawić, iż poczuła ulgę. Zastanawiał się potem, czy Rachel byłaby skłonna zrobić mu uprzejmość, zwłaszcza że z pewnością zamierzała go o coś poprosić.

- Powinna była od razu panu powiedzieć, dlaczego po przyjeździe skierowałam się prosto do pana domu i tak się upierałam przy spotkaniu z panem - odezwała się Rachel, odstawiając filiżankę na stół.

- Po co - wymknęło się Connorowi. - Będziemy udawać, że nie mam pojęcia, dlaczego wróciła pani do Londynu, i koniecznie chciała się ze mną spotkać niecałe dwa tygodnie po wyjeździe, kiedy to nic a nic pani nie obchodziłem. Może pani przyjazd ma coś wspólnego z faktem, że wygrałem w karty majątek ojca? - Bezsilna złość sprawiła, że przestał panować nad słowami.

Rachel wyczuła chłód w tej pozornie emocjonalnej wypowiedzi. Connor poruszył jednak najważniejszy temat, zmuszając ją do zajęcia stanowiska.

- To nieprawda, że w ogóle mnie pan nie obchodził. A jeśli tak to wyglądało, proszę mi wybaczyć. To pan wymyślił, żebyśmy zachowywali się w swojej obecności jak gdyby nigdy nic. - Uśmiechnęła się blado. - I miał pan rację. To był rozsądny pomysł; nie słyszałam żadnych podłych plotek. Myślałam, że udało nam się całkiem sympatycznie porozmawiać. Nie jest pan zadowolony?

Uśmiechnął się w zamyśleniu.

- Nie jest pan zadowolony? - powtórzył z miękkiem irlandzkim akcentem. - Skąd ja to pamiętam? Musiałaby pani stać trochę bliżej mnie i patrzeć na mnie tak, jakby zależało pani na tym, co odpowiem.

Rachel poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Connor najwyraźniej postanowił być okrutny.

- Prawdę mówiąc, wróciłam tutaj, żeby pomóc mojej przyjaciółce, Lucindzie Saunders, która jest brzemienna. Proszę sobie nie myśleć, że sprowadza mnie tu pech mojego ojca. Ale skoro poruszył pan ten temat, powinniśmy porozmawiać. Chciałabym wynegocjować krótkoterminowy wynajem mojej posiadłości, tak żeby June mogła wziąć ślub w Windrush.

- To moja posiadłość.

- Tak. Chciałabym ją wynająć na taki termin, żeby w przyszłym miesiącu moja siostra mogła mieć tam wesele.

Odwrócił się i popatrzył na Rachel spod długich czarnych rzęs. Zmusiła się do uśmiechu.

- Przecież nie będzie wtedy panu potrzebna. Ma pan dom w Mayfair. Jest szczyt sezonu. Niewielu arystokratów spędza teraz czas na wsi. Jestem pewna, że pańscy przyjaciele i znajomi przebywają w Londynie.

- Skąd pani wie, kim są moi przyjaciele?

- Przepraszam, nie chciałam być bezczelna. Po prostu przedstawiałam swoje racje.

- Rachel, jeśli chce mnie pani o coś poprosić, musi pani podejść bliżej, żeby coś wskórać. - Powiedział to aksamitnym tonem, a jego oczy przypominały letnie niebo. Wydawał się szczerze rozbawiony.

Wzruszywszy ramionami, podeszła, zatrzymała się tuż przed nim i dumnie uniosła głowę.

- Teraz jestem blisko. Nie zdawałam sobie sprawy, że z wiekiem pogorszył się panu wzrok i słuch. Proszę słuchać bardzo uważnie tego, co mam do powiedzenia - oznajmiła cierpko, starając się uważać na słowa, by go niesłusznie nie oskarżyć. - Chciałabym zapłacić panu za krótkoterminowy wynajem mojej... pańskiej posiadłości. Zamierzam godziwie panu zapłacić. Moglibyśmy negocjować cenę do stu funtów.

- Chcę tysiąc.

Rachel szeroko otworzyła oczy, zbита z tropu.

- Tysiąc?

- Zawsze może pani odrzucić moją ofertę.

- Dobrze pan wie, że nie dysponuję taką sumą.

- W takim razie niepotrzebnie zabiera mi pani czas, panno Meredith, chyba że wymyśli pani jakiś inny sposób, który może skusić mężczyznę pozbawionego hamulców moralnych.

- To wcale nie jest zabawne - powiedziała Rachel przez zaciśnięte zęby. - Chce pan zepsuć wesele mojej siostry. Jak pan śmie! Przygotowania trwają od ośmiu miesięcy. Mój ojciec wykazał klasę i dobre maniery, wysyłając do pana zaproszenie, tymczasem robi pan wszystko, żeby zagrać mu na nosie. Ma pan mściwy charakter. Przecież nawet nie potrzebuje pan pieniędzy z wynajmu. Chce pan tylko zemsty. To mnie pan nienawidzi, ale dlaczego z tego powodu ma cierpieć moja siostra? A ona, biedaczka, kiedyś była w panu zadurzona po uszy. Grał pan w karty z pijanym mężczyzną. Tylko niegodziwcy grają o wysokie stawki z ludźmi bardzo młodymi albo bardzo pijanymi. I pan to zrobił! Nie obchodzi mnie to, że mój ojciec próbuje pana bronić, twierdząc, że wszystko odbyło się zgodnie z regułami. Jest pan oszustem. Podłym sknerą... Mam nadzieję, że skończysz w piekle, ty łobuzie...

- Oj, będzie pani musiała mnie lepiej zachęcić – zadrwił Connor.

Czując lży nabiegające jej do oczu, Rachel z wściekłością rzuciła się na niego z dłońmi zaciśniętymi w pięści, jakby chciała go uderzyć. Chwyliła go za szyję, mocno ścisnęła, po czym znieruchomiała, ogarnięta wątpliwościami, czy ma go zaatakować pocałunkiem, który za wszelką cenę chciał na niej wymóc, czy go udusić. Oparła się o Connora, drżąc z wściekłości i upokorzenia, a mimo to, podobnie jak wczoraj, była zadowolona z tego, że czuje ciepło bijące od

jego ciała.

Nakrył jej dłonie swoimi, po czym gwałtownie ją odsunął. Natychmiast zwiesiła głowę, mając nadzieję, że ukryje przed nim wykrzywioną gniewem twarz.

- Więc... dlaczego robiła pani to tak często, Rachel? Proszę, powiedz mi... - prowokował.

Uniosła głowę, po czym wypaliła:

- Bo na to zasługiwałaś... bo tobą gardziłam... bo nienawidziłam twojego dotyku... Nie cierpiałam twoich pocałunków... Bo na samą myśl o tobie robiło mi się niedobrze.

Nie zdążyła odwrócić głowy, kiedy nakrył jej usta swoimi. Usiłowała wyrwać się z uścisku, jednak w odpowiedzi mocniej przyciągnął ją do siebie i przytrzymał jej dłonie. Przesunął wolną rękę wzdłuż jej kręgosłupa, a potem chwycił ją za pośladki i mocno przycisnął do swej nabrzmiałej męskości. Rachel krzyknęła z przerażenia, przywierając do niego biodrami. Kiedy wsunął palce za dekollet i delikatnie pogładził aksamitną skórę, wstrzymała oddech. Wysunął jej pierś zza stanika sukni i chwycił nabrzmiały sutek; krzyknęła, wyginając ciało w łuk i w ten sposób dopraszając się by Connor pogłębił pieśczętę. Bezlitośnie ugniatał jej pierś, by nagle roześmiać się gardłowo i wsunąć język głęboko w jej usta.

Po chwili niespodziewanie się odsunął i wyszeptał Rachel do ucha:

- Nienawidzisz mojego dotyku... Robi ci się niedobrze na mój widok... Powiedz to teraz, a potem poproś mnie jeszcze raz o ten cholerny dom.

Rachel poczuła, że przenika ją dreszcz. Oparła głowę na ramieniu Connora.

- Jesteś złym człowiekiem.

- Jestem mściwy. - Delikatnie uniósł ku sobie jej twarz : zajrzał głęboko w niebieskie oczy, po czym przeniósł wzrok na obnażoną pierś. - A ty jesteś rozpustnicą, o co zresztą zawsze cię podejrzewałem. Gdyby nie to, że się postarzałem i nie mam już ochoty grzeszyć w niewygodnych pozycjach, skorzystałbym z okazji, by się przekonać, czy Moncur nauczył cię ciekawych sztuczek.

Bez trudu uchylił się przed ciosem jej pięści. Ręka trafiła w zegar na kominku, który uderzył o podłogę z taką siłą, że zamilkł, zapewne na zawsze. Connor ominął kawałki szkła i sprężyny, kierując się ku drzwiom.

- Jeśli chcesz, żeby to zostało zamiecione, radzę ci poprawić suknię. Służba nie powinna wiedzieć, że pani jest trochę rozpustna.

- Nie cierpię cię - wysyczała, idąc za jego radą.

- To świetnie - powiedział obojętnie, kładąc rękę na gałce u drzwi. - Teraz przynajmniej wiem za co. Zanim skończę, nasze rachunki prawdopodobnie się wyrównają. O, właśnie... podobno niedługo wracasz do domu? Rachel tylko kiwnęła głową w odpowiedzi.

- W takim razie, proszę, wyświadczyć podłemu sknerze przysługę, żeby nie musiał ponosić kosztów wysłania listu do twojego ojca. Z dobroci serca, a także dlatego, że nie mam nic do twojej siostry ani do Pembertona, udzielam pozwolenia na zatrzymanie majątku do pierwszego lipca. Dokument jest podpisany i opatrzony pieczęcią. Możesz zabrać odpis do domu.

Rachel uniosła głowę, patrząc zamglonym wzrokiem na surową twarz Connora; nie wierzyła, by w tym wszystkim nie kryło się oszustwo.

Uśmiechnął się szyderczo.

- Nie myśl sobie tylko, że zmięknie mi serce. Drugiego lipca twój majątek zostanie wystawiony na aukcję i przypadnie osobie oferującej najwyższą cenę.

Drzwi zamknęły się za nim. Chwilę potem niewypita przez niego herbata spłynęła po białych panelach, a skorupy delikatnej chińskiej porcelany ozdobionej kwiatowymi wzorami rozsypały się po podłodze.

Maria Laviola leżała w łóżku na brzuchu, przeglądając magazyn paryskiej mody. Na dźwięk zatraskiwanych drzwi odwróciła głowę, a na jej wargach pojawił się lekki uśmiech. Poczowała, że opuszcza ją senny nastrój. Żurnał, który leniwie kartkowała, popijając poranną czekoladę i pogryzając grzanekę, został rzucony na podłogę. Przekręciła się na plecy, instynktownie zginając kolana i rozchylając uda. Uniosła się na łokciach i potrząsnęła głową, by odgarnąć włosy, które spadały jej na czoło. Potem zastygła w oczekiwaniu, czując ucisk w żołądku z emocji. Znajomy odgłos męskich kroków, szybko wstępujących na górę

- Po dwa stopnie naraz, sprawił, że odchyliła głowę i z wyrazem błogości i triumfu uśmiechnęła się do czerwonego baldachimu. Nie widziała się z Connorem od dwóch dni: zaczynała już myśleć - doszły ją słuchy o tej ladacznicy że w plotce może być coś z prawdy. Wiedziała, że Connor jest trochę zblazowany, jednak trudno się było temu dziwić.

Wszyscy atrakcyjni mężczyźni o wysokiej pozycji, zepsuci przez kobiety, stawali się kapryśni i często lubili zaostrzyć sobie apetyt, wybierając młodą, niewinną osobkę. Jednak młodość i niewinność na dłuższą metę nie wytrzymała konkurencji z doświadczeniem, a Maria osiągnęła prawdziwe mistrzostwo w miłosnej sztuce.

Czasami odnosiła wrażenie, że jej dni w roli kochanki lorda Devane'a są już policzone. Nie chciała, żeby ich znajomość dobiegła końca... jeszcze nie teraz. Connor był wspaniale zbudowanym, hojnym i czasami bardzo troskliwym, a przy tym nienasyconym kochankiem. Cieszył się niezwykłą popularnością w towarzystwie. Każdy chciał z nim rozmawiać; wypytać o jego wyczyny w wojsku, o odznaczenia i medale, które zdobył za zasługi w bitwie pod Waterloo. Chcieli się dowiedzieć, dlaczego Wellington faworyzował go i awansował. Czemu musiał tyle opowiadać o Żelaznym Księciu i jego zwyczajach?

Maria wiedziała, że zarówno damy, jak i kobiety lekkich obyczajów zazdroszczą jej kochanka. Zdawała sobie sprawę, że bardzo się starały o to, żeby zająć jej miejsce i grzać mu łóżko w nadziei, że uda im się zdobyć jego serce, czego ona, niestety, nie potrafiła dokonać. Connorowi także zazdroszczono kochanki. Młodzi chłopcy i ich ojcowie patrzyli na nią pożądliwie, a ona potrafiła już zadbać o to, by przyciągnąć ich uwagę.

Tworzyli wraz z Connorem niezwykłą parę. Gdyby ich związek został zalegalizowany, ewentualne zdrady lorda z kobietami lekkich obyczajów nie miałyby dla niej większego znaczenia.

Wszedł do sypialni, mruknąwszy coś w stronę młodej francuskiej służącej. Francine natychmiast splonęła rumieńcem i ruszyła do wyjścia, szepcząc:

- *Bon matin, milor.*

Obserwująca tę scenę Maria była zdziwiona, że dziewczyna tak reaguje na widok Connora. Signora obdarzyła go powłóczytym spojrzeniem spod ciemnych rzęs. Lord Devane ściągnął fular, który teraz trzymał w dłoni, i rozpiął koszulę, odsłaniając nagi tors.

Maria z rozkosznym chichotem opadła na łóżko.



- Connor, czasami mam ochotę, byś trochę dłużej pozostał w ubraniu, tak żebym mogła cię podziwiać. Cudownie dziś wyglądasz, a w dodatku przychodzisz tak wcześnie. - Patrzyła, jak Connor rozpina guziki obcisłych spodni. Gdy rozchylił rozporek, na chwilę odjęło jej mowę; zaczęła się rozkosznie wiercić na łóżku. - Jesteś dziś bardzo wytworny i tak wcześnie przyszedłeś, milordzie... - zamruczała, nie odrywając wzroku od wspaniałej męskości. Zwilżyła wargi, czując ogarniającą ją błogość. Dopiero kiedy stanął przed nią nagi, trzymając eleganckie ubranie zmięte w kulę, którą po chwili cisnął w kąt pokoju, Maria popatrzyła na twarz kochanka. Nie miała czasu zapytać, co mu dolega.

Szybko rozchylił jej kolana i nie zadając sobie trudu podjęcia gry wstępnej, od razu wszedł w gorące, wilgotne wnętrze. Maria nie potrzebowała wstępnych pieszczot. Jeszcze zanim ją posiadał, oplótła jego tors kształtnymi nogami, a gdy poczuła spazmatyczne skurcze jego ciała, wydała z siebie dziki chropawy krzyk triumfu.

Potem z ukosa obserwowała Connora, patrzącego na sufit. Czowała cudowny, pulsujący ból między udami, przypominający jej o zbliżeniu sprzed paru chwil. Marzyła o tym, by powtórzył tę słodką torturę, by został jak najdłużej.

Delikatnie obwiodła palcem dłoń, którą Connor zakrył oczy

- Jesteś dziś prawdziwym tygrysem, milordzie. Gdzie się podziewałeś przez ostatnie dwa dni? Nie mam nic przeciwko temu, skoro się aż tak stęskniłeś. - Pomyślała, że mówi prawdę. Gotowa była pozwolić mu na zaspokajanie nieposkromionego apetytu gdzie indziej, byleby tylko wracał do niej na główne dania.

Connor odsunął palec Marii. Łaskotanie drażniło go. Zastanawiał się, czy będzie miał siłę wstać i pójść do domu. Musi zobaczyć się z Jasonem i dopilnować, żeby koń i powozy znalazły się w jego stajni. Brat przyrodni był mu winien ponad dwa tysiące funtów i w ten sposób spłacał -swoj dług.

To nie spotkanie z Marią tak go wyczerpało i wprawiło w stan odrętwienia. Czuł się wycieńczony od chwili, gdy zamknął drzwi domu Rachel przy Beaulieu Gardens. A niech ją! Nawet teraz nie mógł przestać o niej myśleć.

Domyślając się, że skupienie Connora, jego powściągany gniew, mają coś wspólnego z kobietą, Maria zacisnęła wargi. Delikatnie, miękko, jakby nie chcąc wyrwać go z zamyślenia, dosiadła go i zaczęła powoli kręcić biodrami. Potem pochyliła się nad nim, kołysząc pełnymi piersiami tuż przed jego twarzą, i musnęła jego wargi swoimi. Następnie obsypała pocałunkami jego podbródek i szyję i, osuwając się niżej, obwiodła językiem gruzełek jego brodawki piersiowej.

Mógł wrócić do Beaulieu Gardens i przeprosić za wszystko, co mu zarzuciła. Być może powinien powiedzieć tej wiedźmie, że za jeden pocałunek, jedno miłe słowo, gotów byłby oddać jej choćby własną posiadłość. Zauważył też, że wcale nie był jej tak obojętny, jak chciała mu to okazać. Boże, jak straszliwie jej pragnął! Był teraz tego pewien. Gwałtownie wciągnął powietrze, czując usta Marii dokonujące czarów w najwrażliwszym miejscu. Uniósł się i w przypływie podniecenia chwycił jej głowę. Nietrudno było mu jednak wyobrazić sobie, że włosy, których dotyka, są złociste.



## Rozdział dziewiąty

Sam Smith szedł żwawym krokiem, pogwizdując przez zęby. Co pewien czas patrzył na numery posesji, miał bowiem doręczyć list. Właśnie mijał bogato zdobioną żelazną bramę ze złożonymi zawijasami, układającymi się w numer sześćdziesiąt dwa. Numer trzydzieści cztery musiał znajdował się gdzieś dalej w szeregu okazałych rezydencji, usytuowanych przy Beaulieu Gardens.

Jego uwagę przyciągnęła nagle znajoma twarz w czapce z daszkiem. Uniósł rękę, pozdrawiając przyjaciela, który pełni służbę u jednego ze znajomych jego pana. Służący, ubrany w rdzawoczerwony uniform, wchodził właśnie do ogrodzonej parkanem oazy zieleni w środkowej części ulicy, prowadząc na spacer małego szpica swej pani. Sam z pogardą popatrzył na rachitycznego pieska na smyczy, poruszającego się drobnym truchtem. Uważał, że jeśli ktoś chce mieć domowego psa, nie powinien kupować szczura. Taki, na przykład wspaniały irlandzki wilczarz, którego widział na obrazie w gabinecie swego pana, o, to jest prawdziwy pies. Miał ochotę zobaczyć tę wielką bestię na własne oczy, lecz wilczarz jest trzymany w irlandzkim majątku pana. Sam Smith bardzo chciałby tam pojechać. Musiał jednak uzbroić się w cierpliwość, bardzo się starać, a wtedy być może milord zatrzyma jego i Annie na służbie i któregoś dnia uda im się przenieść do Wolverton Manor. Tam Annie byłaby bezpieczna, z dała od lubieżnego sędziego pokoju, i mogliby zacząć życie od nowa. Tego Sam pragnął ponad wszystko. Nic ich tu nie trzymało. Nie mieli już rodziców ani bliskich. Byli zdani tylko na siebie i lorda Devanea.

Nagle stanął jak wryty, zobaczywszy przed sobą krągłe kobiece pośladki, kołyszące się prowokująco w miarowym rytmie. Z wrażenia chwycił się bramy i zaczął się przyglądać kobiecie z pasją szorującej schody prowadzące do domu numer trzydzieści cztery.

Jeszcze kilka sekund wyteżonej pracy nad jakąś szczególnie uporczywą plamą i Noreen Shaughnessy wreszcie mogła przysiąść na piętach i odgarnąć rude włosy z oczu. Po chwili, nabrawszy tchu, powróciła do szorowania. Nagle poczuła, że ktoś na nią patrzy, straciła rytm, uniosła głowę i obejrzała się przez ramię.

To, co zobaczyła, przyprawiło ją o rumieniec równie ognistej barwy jak jej włosy. Na szczęście rumieniec ten ukrył piegi, to była pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy.

- Proszę sobie nie przeszkadzać i nie śpieszyć się z mojego powodu - odezwał się Sam. - Chętnie sobie tu postoję i na panią popatrzę.

Noreen wstała, zastanawiając się, czy prezentuje się odpowiednio w nakrochmalonym fartuchu i czepku przybranym kokardkami. Gwałtownym ruchem wrzuciła szczotkę do wiadra, rozpryskując wodę.

- Co chcesz przez to powiedzieć, łobuzie? - natarła na Sama. - Popatrz, co się przez ciebie stało! - Chwyciła się pod roki i popatrzyła na niego wojowniczo, a potem przeniosła wzrok na wyszorowany stopień zalany brudną wodą. Minęły już czasy, kiedy mężczyźni pozwalali sobie na tak zuchwałe uwagi pod jej adresem. Zdrowy rozsądek i cięty

język, umiejętność radzenia sobie z natrętami, dawno odstraszyły kawalerów z Windrush. Noreen musiała zajmować się Mary, i żaden z kandydatów nie interesował się losem jej ociężałej umysłowo siostry. Tymczasem Noreen stawiała sprawę jasno - adorator musi zaakceptować obecność Mary u jej boku albo nie ma szans. Teraz panna Shaughnessy była na siebie zła za to, że dała się wyprowadzić z równowagi jakimś beczelnemu pętakowi.

Zmierzyła chłopaka groźnym spojrzeniem; niezrażony, odpowiedział jej szerokim uśmiechem. Poirytowana jego pewnością siebie, Noreen miała ochotę zbiec ze schodów nauczyć go szacunku dla starszych. Była pewna, że jest od niego starsza o parę lat, chociaż, o dziwo, poczuła się nagle bardzo młodo. Mruknęła więc tylko:

- Głupi jesteś? - Po czym poprawiła czepek i wyglądziła fartuch.

Uważnie przyjrzała się młokosowi i doszła do wniosku, że zapewne jest służącym w jakimś bogatym domu; elegancka niebiesko-czarna liberia była uszyta z pierwszorzędного materiału.

- Może mi w końcu powiesz, czego chcesz? Chyba że mam ci natrzeć uszu...

- Nie wiem, co mam powiedzieć... Jest na to trochę za wcześnie... Mogłaby pani sobie pomyśleć, że jestem niewychowany.

Noreen zakrztusiła się i spłonęła rumieńcem. Ten chłopak jest beczelny!

Sam uśmiechnął się, widząc jej zmieszanie.

- Przepraszam za to, że przeze mnie wylała pani wodę i będzie miała więcej roboty. Gdybym nie był bardzo zajęty, pomógłbym pani w pracy, a może nie tylko w tym...

- Idź sobie! Nie potrzebuję twojego współczucia!

- Kto to jest, Noreen?

Sam popatrzył na pulchną służącą, która omal nie rozerwała czepek, gwałtownie wciskając go na głowę, a potem na szczupłą kobietę stojącą w drzwiach.

Rozpoznał ją od razu. Kiedy Joseph Waish wręczył mu list z poleceniem bezzwłocznego doręczenia pod wskazany adres, Sam czuł, że odbiorcą korespondencji może być ta dama. Była teraz bledsza i sprawiała wrażenie zmęczonej, jednak nie ujmowało jej to urody. Wyglądała jak niebiańska bogini, ze swą dumną, poważną twarzą, złocistymi włosami spływającymi na ramiona i ogromnymi błękitnymi oczami. Sam pomyślał, że z taką kobietą trzeba się obchodzić bardzo delikatnie, gdyż na pewno jest niezwykle wrażliwa. Przypomniawszy sobie, że ostatnio jego pan miewa zmienne nastroje. Skojarzył różne fakty i uśmiechnął się domyślnie. Pomyślał, że ci dwoje z pewnością kiedyś dojdą do porozumienia, gdyż jego pan jest najlepszym człowiekiem pod słońcem. To musi być prawdziwa miłość, przemknęło mu przez głowę. Wszedł na schody i podał służącej list przeznaczony dla jej pani.

Zapamiętał, że kobieta, która zawładnęła sercem jego pana, nazywa się Rachel Meredith. Skłoniwszy się unizenie, szybko się oddalił. Przebiegł przez ulicę w nadziei, że porozmawia ze swym przyjacielem, który właśnie wyszedł z parku z tym żalonym psim chuchrem. Spojrzawszy przez ramię na rezydencję panny Rachel Meredith, zobaczył, że irlandzka służąca mu się przygląda. Szybko się odwrócił, przyklęknął, a potem odszedł z radosnym rechotem.

Noreen, przerażona, że przyłapał ją na gorącym uczynku, szybko chwyciła szczotkę i w szalonym tempie zaczęła szorować schody.

Rachel zdziwiła się, widząc zaczerwienioną z emocji twarz Noreen. Popatrzyła na chłopaka w liberii, rozmawiającego z innym służącym, w uniformie innego koloru.

- Mam wrażenie, że już go gdzieś widziałam - powiedziała.

- Zachowywał się swobodnie... zbyt swobodnie... -mruknęła Noreen, nie przerywając pracy.

Rachel weszła do holu, zastanawiając się, gdzie mogła wcześniej widzieć tego chłopca. Popatrzyła na list, myśląc, że otrzymała zaproszenie na jakieś przyjęcie. Spędziła w Londynie kilka dni i ludzie zdążyli już dowiedzieć się o jej przyjeździe. Wybrała się z Lucindą i małym Alanem na przejażdżkę do Hyde Parku, byli też w zoo, by chłopiec mógł zobaczyć zwierzęta. Tego popołudnia zamierzały udać się do muzeum figur woskowych madame Tussaud, a potem, po odwiedzeniu Alana do domu, chciały wstąpić na Pall Mall, gdzie Lucinda, która nieustannie narzekała, że jest gruba, chciała kupić szeroki szal.

Uwagę Rachel przyciągnęła pieczęć na pergaminie. Serce podskoczyło jej w piersi, gdy zobaczyła herb lorda Devanea. Szybko odwróciła list i rozpoznała zdecydowany, pochyły charakter pisma. Kusiło ją, żeby wrzucić list do wiadra z wodą, jednak przypomniała sobie, że Connor mógł jej przysłać dokument, który miała zawieźć do domu. Udała się więc do pokoju, by zapoznać się z treścią listu.

Nie zawierał obiecanego dokumentu, zezwalającego na użytkowanie posiadłości do pierwszego lipca. Otrzymała zaproszenie, utrzymane w bardzo swobodnym stylu. List wypadł jej z rąk. Wzburzona, przemierzyła pokój tam i z powrotem, po czym uniosła kartkę i ponownie przeczytała zwięzłe zdania, przygryzając dolną wargę aż do bólu.

*Wiem, że wkrótce wyjeżdżasz z Londynu. Ja również mam taki zamiar. Chciałbym jak najszybciej udać się do Irlandii. W najbliższy weekend zamierzam wydać przyjęcie przy Berkeley Square, by pożegnać się ze znajomymi, przyjaciółmi i rodziną. Jeśli wciąż masz ochotę na negocjacje, moglibyśmy porozmawiać podczas przyjęcia. Nie mam możliwości spotkania się w innym terminie. Wysłałem zaproszenie do Twoich przyjaciół, państwa Saundersów. Pomyślałem, że jeśli zdecydujesz się zaszczyścić przyjęcie swą obecnością, będziesz czuła się raźniej w ich towarzystwie.*

*Z wyrazami szacunku Devane*

Nie przysłał dokumentu. Kłamał. Domyśliła się tego, kiedy mijały kolejne dni, a ona wciąż nie otrzymywała obiecanych papierów, które miała zawieźć do domu, do Hertfordshire. Devane nie zawarł z jej ojcem umowy i nie pozwolił mu użytkować majątku aż do ślubu June. Papa powiedziałby jej o istnieniu takiego dokumentu, nie zatrzymałby tak ważnych informacji dla siebie. Podzieliłby się nimi z żoną i córkami, by choć trochę je pocieszyć.

Czyżby nagle Devane'a zaczęło kusić sto funtów, które mu zaproponowała? Było to mało prawdopodobne. Nonszalanckie, bezceremonialne zaproszenie, które mogła przyjąć lub nie, podobnie jak propozycję zapłacenia tysiąca funtów, miało uzmysłwić Rachel, że teraz to Devane stawia warunki. Nie miał dla niej czasu przed przyjęciem, mógł jednak łaskawie poświęcić jej kilka minut w czasie przyjęcia. To niesłychane! Usiłował nią manipulować, zmuszać do tańczenia tak, jak jej zagra, ponieważ przed laty to ona wodziła go za nos. Zapowiedział przecież, że zamierza wyrównać rachunki.

Zmięła list w dłoni i rzuciła go na stół. Kręciło jej się w głowie, niemal trzęsła się z oburzenia. Nie mogła udać się do rezydencji lorda, by omówić tę kwestię. Wiedział, że ona nie ma teraz ruchu. Nie powinna drugi raz kusić losu i wywoływać skandalu tuż przed ślubem June. Musi więc przyjąć warunki Devane'a, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Była mu wdzięczna, że w ogóle rozważał możliwość wynajęcia Windrush. Być może uda jej się nakłonić go

do tego, by nie pozbywał się posiadłości od razu. Potrzebowała czasu, by wprowadzić w życie plan odzyskania majątku. Pomyślała, że w obecnej sytuacji musi udawać pokorną, by polechtać próżność Devanea.

Postanowiła chwilowo zapomnieć o dumie. Z westchnieniem podeszła do niewielkiego biurka w rogu pokoju i sięgnęła po papier i pióro, by odpisać, że z podziękowaniem przyjmuje zaproszenie. Osuszyła list i zapieczętowała; wszystko razem zajęło jej zaledwie kilka minut. Oczywiście, że muszę tam iść, powtarzała w myślach, wręczając list Ralphowi z prośbą o doręczenie pod wskazany adres. Postanowiła nie przejmować się już doznanymi upokorzeniami; gotowa była nawet prosić o wybaczenie. Dopóki istnieje możliwość, że June weźmie ślub w Windrush, dopóty Rachel będzie naginać się do woli Devane'a... tak jak tego pragnął.

Rachel posadziła sobie chłopczyka na kolanach i pomogła mu ustawić blaszane żołnierzyki na stole. Kiedy tylko znalazły się w odpowiednim szyku, Alan przewrócił je tłustą piąstką, nie sięgając nawet po figurki kawalerzystów na koniach. Z radosnym chichotem popatrzył figlarnie na Rachel.

- O! Co za pech! Cały pułk piechoty zginął, nie podejmując walki - powiedziała z żalem Rachel - Nie wystrzelono ani jednej kuli. Co na to wszystko powiedziała Żelazny Książę? Nie będzie medalu, mój chłopcze.

Trzyletni Alan znów zachichotał, zsunął się z kolan Rachel i na swych mocnych nóżkach szybko pobiegł w stronę pudełka z zabawkami, by wytaszczyć z niego wielkiego misia. - Jestem pewna, że Paul i ja zostaliśmy zaproszeni jedynie jako twoi przyjaciele. Paul łudzi się, że to z powodu interesów, jakie łączą go z Devane'em.

- Jestem pewna, że Paul ma rację - skłamała Rachel, nie chcąc utwierdzać Lucindy w opinii, że Devane zaprosił ich, by pełnili funkcję przyzwoitek.

- Kiedy dostałam zaproszenie dziś rano, umierałam z ciekawości, czy też zostałam zaproszona i czy zgodzisz się wziąć udział w przyjęciu.

Rachel szybko dopiła herbatę, bojąc się, że za chwilę

Alan wytrąci jej filiżankę z ręki. Mając nadzieję, że przyjaciółka nie wyczuje ironii w jej głosie, oznajmiła:

- Oczywiście, że tak. Niezależnie od tego, co w przeszłości zaszło pomiędzy Meredithami a Devane'em, należy zachować poprawne stosunki.

Poprawne stosunki! Te słowa rozbrzmiewały jak werbel w jej głowie. Czasami miała wrażenie, że udawanie, iż jest zaprzyjaźniona z tym szubrawcem, doprowadzi ją do obłędu. Czuła się teraz bardzo samotna i chciałaby się komuś zwierzyć. Marzyła o tym, by móc otwarcie powiedzieć przyjaciółce, że nienawidzi tego człowieka, i to nie tylko dlatego, że skradł jej majątek, lecz przede wszystkim za to, że chciał ją zawstydzić i upokorzyć. Wciąż trzęsła się z oburzenia na wspomnienie o tym, jak okropnie ją potraktował. jednak myśląc o nim, czuła, że serce zaczyna jej bić szybciej, piersi nabrzmiewają i robi jej się gorąco... a wtedy nienawidziła go jeszcze bardziej.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego wolała zachować milczenie. Skarżąc się na Devane'a, postawiłaby Lucindę w niezręcznym położeniu, a być może nawet zmusiłaby do skreślenia się po jednej ze stron. Paul był głównym współ-nikiem w kancelarii adwokackiej Saunders i Scott, specjalizującej się w ubezpieczeniach morskich. Firma ta od niedawna zarządzała przedsięwzięciami handlowymi lorda Devane'a. Poprzedniego wieczoru Lucinda dowiedziała się od męża, że jego kancelaria zawarła z lordem umowę, wtajemniczyła Rachel w niektóre szczegóły.

Świętej pamięci lord Devane zostawił wnukowi nie tylko dobra w Irlandii i tytuł, ale również niszczące statki handlowe w suchym doku, wymagające gruntownego remontu. Paul nie wierzył, że jego kancelaria może wygrać przetarg, jednak w końcu to właśnie Saunders i Scott otrzymali polecenie sporządzenia ekspertyzy, czy naprawa tych statków jest opłacalnym przedsięwzięciem. Rachel z rosnącym zdumieniem słuchała, jakim cennym klientem jest Connor Flintę i jak zawarta z nim umowa podniesie prestiż kancelarii i przyciągnie innych majątnych arystokratów. Pomyślała, że Devane celowo kradnie jej nielicznych przyjaciół...

- Rachel - powiedziała cicho Lucinda - widzę, że bardzo spokojnie przyjmujesz to, co się stało. Być może utrata poczucia bezpieczeństwa, jakie dawało ci Windrush, zmobilizuje cię do podjęcia odpowiednich życiowych kroków. Może pozwoli ci to uniknąć losu starej panny... albo utrzymanki. Swoją drogą, jak mogłaś kiedyś rozważać taką możliwość? - ofuknęła przyjaciółkę. - Powiedziałam o tym Paulowi, ale on uznał to za żart. Mówi, że masz specyficzne poczucie humoru. - Przypomnij sobie - ciągnęła Lucinda. - Jechałyśmy wtedy nowym landem twojego ojca w upalne popołudnie. Powiedziałas, że byłabyś gotowa przystać na taką propozycję ze strony Moncura. Wtedy zobaczyłyśmy Connora. To było tego dnia, kiedy doszło do kolizji powozów i przewrócił się wózek z jabłkami. A potem ten okropny sędzia pokoju zbeształ Ralpa, a młody piwowar.

Rachel, która pomagała Alanowi ciągnąć zabawkę przez dywan, niespodziewanie uniosła wzrok Piwowar! Ten młody człowiek, który przyniósł list Devanea, wioził wtedy jakieś beczki. Chyba nawet potem widziała go gdzieś w okolicy rezydencji Devanea przy Berkeley Square. Przypomniała go sobie teraz, ubranego w jakieś łachmany, gotowego pobić Ralpa. Okazało się, że Devane go zatrudnił.

- Twój papa też chyba tak bardzo tego nie przeżywa?

- Prawdę mówiąc, może się okazać, że Windrush wcale nie jest ci potrzebne. Jeśli wyjdiesz za mąż, zamieszkaż w jego domu. Paul powiedział nawet, że w pewnym momencie Windrush mogłoby stać się dla ciebie niepotrzebnym ciężarem... ze względu na koszty utrzymania... i w ogóle... Twierdzi, że być może okaże się, iż Devane oddał ci przysługę, przejmując ten majątek.

- Mam nadzieję, że nie ośmieli się mi tego powiedzieć - odezwała się Rachel. Uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Nie zamierzam wychodzić za mąż. No cóż, gdybym była mężczyzną, zapewne wszyscy podchodziliby poważniej do sprawy mojego majątku.

Lucinda sprawiała wrażenie zakłopotanej.

- Nie chciałam bagatelizować tej sprawy, Rachel. Paul byłby przerażony, gdyby się dowiedział, że tak myślisz. Pomyślałam tylko, że wydajesz się pogodzona z sytuacją.

- Robię, co mogę, żeby podchodzić do tego ze spokojem - ucięła Rachel. - W tej chwili tylko tyle mogę zrobić w tej sprawie.

Lucinda postanowiła udobruchać przyjaciółkę.

- Paul mówi, że twój ojciec nie żywi urazy do Devane'a. Następnego dnia po tej grze w karty widziano ich razem White'a, mimo że twój papa miał okropnego kaca. Paul twierdzi, że pan Meredith w pewien sposób czuł ulgę, iż Connor, a nie ten przebiegły lord Harley wygrał Winarih. Harley również brał udział w grze i był bardzo bliski wygranej.

- Nie wiedziałam o tym - przyznała z westchnieniem Rachel.

- Twój papa, podobnie jak ty, podszedł do tego z filozoficznym spokojem.

- W takim razie wygląda na to, że Connor wyświadczył przysługę naszej rodzinie. - Rachel rozstawiła blaszane żołnierzyki na stole, a potem z wściekłością zrzuciła na podłogę huzara w czarnym uniformie, przyprawiając małego Alana o radosny chichot.

Zapowiada się wielkie przyjęcie, pomyślała Rachel, gdy Paul Saunders pomógł jej wysiąść z powozu. Dołączyli do grona modnie wystrojonych gości, wstępujących na kamienne schody wiodące do rezydencji lorda Devane'a.

Paul wprowadził do środka Rachel i swoją żonę. Rachel natychmiast wypatrzyła w tłumie szpakowatą głowę Josepha, ochmistrza, który anonsował kolejnych gości. Poczuli, że się czerwieni. Z pewnością będzie pamiętał, że w czasie ostatniego pobytu w tym domu zrobiła z siebie widowisko. Wygładziła jedwabną spódnicę i, zakłopotana, okręciła złocisty lok wokół palca. Była na siebie zła, że czuje onieśmienie na widok służącego. Przecież nie mogła liczyć na to, że uda jej się niepostrzeżenie wśliznąć do środka. Wciąż jednak towarzyszyła jej nadzieja, że ochmistrz jej nie pozna.

Tego dnia nie była już przecież zaniedbaną starą panną w ponurym nastroju. Postarała się o odpowiednio elegancki strój, wybierając bardzo kobiecą, lecz skromną suknię, w której z powodzeniem mogłaby wystąpić jej matka. Stalowoniebieski kolor doskonale komponował się ze złocistymi włosami i podkreślał barwę oczu. Rachel użyła karminu dla podkreślenia pełnych warg i uróżowała policzki, a także przyciemniła rzęsy. Kiedy Noreen okręciła włosy Rachel sznurem pereł i cofnęła się o krok, by ocenić efekt swej pracy, aż westchnęła z podziwu, wywołując tym uśmiech zadowolenia na twarzy pani.

- Wygląda pani cudownie, milady - ośmieliła się zauważać, uprzåtając kosmetyki, które pomogły przeistoczyć Rachel w wytworną damę.

Rachel uśmiechnęła się na to wspomnienie. W czasie pobytu w Londynie bardzo zaprzyjaźniły się z Noreen. Jednak uśmiech zamarł jej na ustach, gdy zorientowała się, że Joseph Walsh ją rozpoznał. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, po czym, ku jej zdumieniu, ochmistrz skłonił się przed nią głęboko i z widocznym szacunkiem. Podszedł do nich i, odprawivszy ruchem ręki lokaja, osobiście poprowadził ją i państwa Saundersów przez westybul. U podnóża schodów polecił, by udali się do sal na piętrze.

W połowie drogi Lucinda wychyliła się ku Rachel zza ramienia męża.

- To najwspanialszy dom, jaki widziałam. - Z zachwytem patrzyła na aksamitne granatowe zasłony, marmury, kryształ i złocenia. Ozdobne kinkiety na ścianach i ogromny żyrandol lśniły jasnym światłem, opromieniając wspaniałe klejnoty dam. - Jakie to cudowne. Mam nadzieję, że nie wyglądam zbyt pospolicie i grubo - wyszeptła do przyjaciółki, nie chcąc, by mąż zorientował się, że jest onieśmielona. Zrobiła, co tylko mogła, by ukryć zaokrąglony brzuch, owijając się koronkowym szalem.

- Wyglądasz znakomicie - zapewniła ją cicho Rachel, a potem, już głośniejszym głosem, dodała: - Rzeczywiście to wszystko jest cudowne.

Nagle ogarnął ją paniczny strach. Miała ochotę puścić ramię Paula i uciec jak tchórz, schować się gdzieś w kącie. Widząc, jak Saundersowie z uśmiechem odpowiadają na pozdrowienia, poczuła zakłopotanie, że im towarzyszy. Zawsze byli dla niej uprzejmi i okazywali jej szacunek. Teraz, mimo że od pamiętnych wydarzeń minęło już sześć lat, czuła się winna i bała się, że przynosi im wstyd.

Nigdzie nie było widać Connora Flinte'a. To jego matka i ojczym witali gości tego wytwornego przyjęcia. Powinna się była tego spodziewać; trudno było przypuszczać, że lord Devane poprosi kochankę o pełnienie honorów pani domu. Chociaż szczerze go nie znosiła, nie podejrzewała go o to, że pozwoli, by diwa operowa w prowokującym stroju stała u jego boku, podczas gdy będzie witał się z Wellingtonem, który miał uświetnić wieczór swą obecnością. Chociaż, o ile wierzyć plotkom, słynący z upodobania do śmiałych kobiet książę najprawdopodobniej z radością powitałby signorę.

Byli już blisko gospodarzy. Rachel uważnie przyjrzała się wysokiej brunetce, której suknia ze szkarłatnego jedwabiu, z wyjątkowo głębokim dekoltem, doskonale komponowała się z mlecznobiałą cerą. Lady Davenport prezentowała się olśniewająco, choć, podobnie jak syn, wyglądała nieco dostojniej niż sześć lat temu. Teraz objęła wzrokiem długą kolejkę gości, zauważając Rachel. W jasnych oczach matki Connora odmalowało się zaskoczenie. Po chwili wdała się w ożywioną rozmowę z kręłą damą i towarzyszącymi jej mężczyznami.

Rachel doszła do wniosku, że nie powinna czuć onieśmienia. W końcu została tu zaproszona przez Connora, nikogo nie prosiła o łaskę.

Gdyby rodzice Connora dowiedzieli się, dlaczego ją tu zaprosił, uznaliby, że jest niezwykle rycerski, okazując szacunek kobiecie, która publicznie go upokorzyła tuż przed jego wyjazdem z kraju. A jeśli by nawet, podobnie jak wszyscy tu obecni, cieszyli się z jej upokorzenia... no cóż, mieli ku temu prawo.

Zacisnęła dłonie w pięści, po czym otarła je o suknię. Chciałaby być teraz daleko stąd. Connor powinien o tym wiedzieć. Doskonale zdawał sobie sprawę, ile musiało ją kosztować robienie dobrej miny do złej gry i udawanie, że zostali przyjaciółmi. Wie też na pewno, że konieczność spotkania z niedoszłymi teściami to dla niej koszmarny przeżycie. Oczywiście nie przejmuje się jej sytuacją. Mógł jednak oszczędzić swoich rodziców. Lady Davenport była zaskoczona obecnością Rachel wśród zaproszonych gości; najprawdopodobniej uda, że jej nie zna. Rachel zasłużyła sobie na taką karę po latach.

- Panna Meredith?

Miły głos z irlandzkim akcentem zabrzmiał znajomo. Rachel wzięła głęboki oddech dla uspokojenia nerwów, pochyliła głowę i uprzejmie dygnęła,

Rosemary Davenport chwyciła drżącą rękę Rachel, po czym zwróciła się do męża, który witał się z Paulem i Lucindą Saundersami.

- Pamiętasz pannę Meredith?

Rachel odniosła wrażenie, że sir Joshua patrzy na nią z niemą wyniosłością. Jest bardzo wysoki, a jego syn jeszcze wyższy, pomyślała, przypominając sobie pogardliwy wzrok Jasona Davenporta.

- Przykro mi, ale nie, kochanie - odpowiedział po dłuższym namyśle sir Joshua, odrywając oczy od pięknej kobiety, zaróżowionej pod uważnym, taksującym spojrzeniem.

- Kto to jest? - zapytał, patrząc na urodziwą żonę.

Rosemary Davenport karcąco poklepała go po ramieniu i uśmiechnęła się przepaszająco do Rachel.

- Czasami zawodzi go pamięć - pośpieszyła z wyjaśnieniem. Z tonu jej głosu wynikało, że nie jest to tylko wymówka. Położyła rękę na szczupłym ramieniu roztargnionego męża i uściśniła go pocieszająco.



Sir Joshua uniósł lornion i uważnie przyjrzał się Rachel, a na jego twarzy odmalował się wyraz głębokiego namysłu. Rachel miała ochotę zapaść się pod ziemię. Była teraz pewna, że sir Joshua rzeczywiście jej nie pamięta. Chociaż, gdyby nie stała przy nim żona, być może i Rachel by go nie poznała. Rosemary prezentowała się równie atrakcyjnie jak sześć lat temu, jednak sir Joshua bardzo się zmienił. Miał teraz siwe, a nie, jak dawniej, jasne włosy, w dodatku mocno przerzedzone, i stracił dawną muskulaturę; wytworny strój krył wymizerowane ciało. Gdy przeprowadzane w milczeniu oględziny się przedłużały, Rachel uświadomiła sobie, że stojący w pobliżu z zainteresowaniem obserwują scenę, rozgrywającą się pomiędzy nią a niedoszłymi teściami.

W końcu sir Joshua z zadowoleniem poklepał się po biodrze.

- Teraz już wiem. Ta urocza dziewczyna to przyjaciółka Jasona z jego młodzieńczych lat spędzonych w Surrey.

- Panna Meredith jest przyjaciółką Connora z czasów, gdy był w wojsku - poprawiła go żona, ciepło ściskając dłoń Rachel. - Panna Meredith i Connor byli zaręczeni... och, wiele lat temu..

Lornion został znów skierowany na Rachel.

- O! Bardzo mi przykro, moja droga. Czy jest pani zamężna?

Rachel w końcu odzyskała głos, widząc, że otaczający ich goście uśmiechają się, wprawieni w dobry humor przez tę przemiłą parę.

- Nie. Wciąż jestem panną Meredith... - Urwała, mając nadzieję, że nikt nie pomyślał, iż chciała być nieuprzejma.

Rosemary Davenport uśmiechnęła się, jakby rozumiała jej zakłopotanie i chciała ją zapewnić, że nie uważa tej wypowiedzi za obraźliwą. Popatrzyła na Paula i Lucindę.

- Mam nadzieję, że później będziemy miały okazję porozmawiać - zwróciła się do Rachel. - Chciałabym się dowiedzieć, jak czują się twoi rodzice i siostry.

- Dziękuję, będzie mi bardzo miło - odpowiedziała Rachel, mając nadzieję, że lady Davenport nie zapyta o Isabel.

Skłoniwszy się uprzejmie, wsunęła rękę pod ramię Paula. Gdy szli w stronę salonu, sir Joshua nachylił się do żony.

- Czy ona zawsze była taka urodziwa?

Skinienie głowy widocznie wystarczyło mu za odpowiedź, gdyż po chwili dodał:

- W takim razie dlaczego ten chłopak się z nią nie ożenił?



## Rozdział dziesiąty

- Muszę powiedzieć, że nie byłam zadowolona, kiedy usłyszałam o tym co się stało z Windrush.

- Ja również nie byłam zadowolona, pani Pemberton -powiedziała Rachel, gratulując sobie opanowania. - Czy jest tu William? - Rozejrzała się, mając nadzieję, że wypatrzy narzeczonego siostry w tłumie gości. Czuła się bardzo samotnie i miała nadzieję, że towarzystwo miłej, przyjaznej osoby poprawiłoby jej nastrój.

W salonie było duszno i gorąco. Lucinda nie czuła się najlepiej i Paul wyprowadził ją na taras, by mogła odetchnąć świeżym powietrzem. Rachel została na sali, nie zamierzając odgrywać roli przyzwoitki. Nie chcąc, by przyjaciele martwili się, że została sama, podeszła do przysłego teścia June.

Alesander Pemberton był niezwykle uprzejmy i starał się ją zabawić licznymi anegdotami na temat dzieciństwa Williama. Trudno było uwierzyć, że ten poważny młody człowiek, który wkrótce miał zostać jej szwagrem, w czasach szkolnych był prawdziwym zawiadkiem. Niestety, po pewnym czasie dołączyła do nich pani Pemberton, natychmiast psując atmosferę i odsyłając męża pod byle pretekstem. Znalazszy się ze swą ofiarą sam na sam, otaksowała Rachel uważnym spojrzeniem i bezzwłocznie przystąpiła m ataku.

- William? Niestety, nie ma go tutaj. Wyjechał na wieś na. parę dni. Coś mi mówi, że wybrał się do Hertfordshire - powiedziała, wyraźnie niezadowolona, że syn pragnie przebywać w towarzystwie ukochanej. - Będzie żałował, że nie skorzystał z zaproszenia. Od czasu tamtej okropnej sprawy bardzo się zaprzyjaźnili z lordem Devane'em.

Pani Pemberton popatrzyła w bok, a jej oczy natychmiast rozbliły ożywieniem. Idąc za jej wzrokiem, Rachel zobaczyła gospodarza przyjęcia w gronie mężczyzn, stojących zaledwie o kilka jardów od niej. Wszyscy towarzysze Connora prezentowali się bardzo wytwornie, tymczasem prym wodził mężczyzna o niezbyt ciekawej powierzchowności. Rachel pomyślała, że księżę Wellington nie prezentuje się najlepiej. Był mniej niż średniego wzrostu, miał haczykowaty nos, a wulgarny, głośny śmiech, którym wyruchał co chwila, nieprzyjemnie ranił uszy.

Było jednak powszechnie wiadomo, że pod tą nieciekawą powierzchownością kryje się charyzmatyczna osobowość. Młodzi mężczyźni, rozbawieni przerywanymi potężnym rechotem opowieściami księcia, czuli się wyróżnieni, mogąc przebywać w jego towarzystwie. Najwyraźniej darzyli go szacunkiem i niekłamanym podziwem. Inni trzymali się nieco z boku, czekając na okazję do wtrącenia słowa lub przyłączenia się do grona wybrańców. Również panie krążyły w pobliżu i, przybierając wdzięczne pozy, zalotnie trzepotały wachlarzami. W powiewnych sukniach z muślinu, pojawiały się to tu, to tam, jak pastelowe motyle. Dbając o to, by nie odlecieć zbyt daleko od światła, szukały miejsca, gdzie mogłyby osiąść, nie doznając przykrości. Rozmawiały z pozorną bez troską, co chwila wybuchały perlistym śmiechem, lecz pilnie wypatrywały ewentualnej zdobyczy.

Uwagę Rachel przyciągnęły szerokie ramiona gospodarza opięte szarym surdudem. Zawsze miał urodę amanta, ale musiała przyznać, że tego wieczoru prezentował się niezwykle atrakcyjnie. Dyskretnie podziwiała jego twarz o mocnych kościach policzkowych i czarne włosy, opadające na śnieżnobiały kołnierzyk. Connor z uwagą słuchał byłego dowódcy, który gestykulował z przejęciem, wywołując salwy śmiechu Jasona.

Rachel zdała sobie sprawę, że nie tylko ona zauważyła, iż Connor wygląda świetnie. Większość kobiet kręcących się w pobliżu wyraźnie zabiegała o jego względy.

- Jak już powiedziałam, wcale nie byłam zadowolona z tego, co się stało.

Rachel przypomniała sobie o obecności pani Pemberton. Nie powinna przejmować się kobietami, które udawały, że przypadkiem wpadły na lorda Devanea. Zauważyła, że Barbara West, siostrzenica Winthropów, celowo upuściła koronkowy wachlarz na but Connera, a przecież była już na tyle dorosła, by znać lepsze sposoby zwracania na siebie uwagi. W tym momencie Rachel uzmysłowiła sobie, że Barbara jest jej rówieśniczką.

- Miałam nadzieję, że ta niefortunna sytuacja, w której znalazł się pani ojciec, przyniesie nam wszystkim jakieś korzyści - ciągnęła Pamela. - Byłam pewna, że w tych okolicznościach ślub odbędzie się w kościele Świętego Tomasza, a przyjęcie weselne - w domu w Londynie. Wiem, że jest niezbyt obszerny i dość skromnie wyposażony, ale przynajmniej znajduje się w mieście, a przecież większość gości nie chciałaby stąd wyjeżdżać. Od początku twierdziłam, że jeśli wesele ma się odbyć w sezonie, to musi zostać zorganizowane w Londynie, inaczej wszyscy zostaniemy narażeni na duże niedogodności. Ale oczywiście nikt mnie nie słuchał. Gdyby pozwolono - włączyć się w przygotowania... a przecież niejednokrotnie proponowałam pomoc...

- Wydaje się pani przekonana, że wesele nie odbędzie się w Londynie, pani Pemberton. Dlaczego? - Rachel udało się przerwać potok wymowy swej rozmówczyni, ledwie zdołała opanować zdziwienie. Jej wzrok znów powędrował ku lordowi Devanebwi.

- Być może pani ojciec nie wyjawiał pani wszystkiego, powinnam więc być dyskretna... Nie chciałabym się wtrącać... W końcu to są sprawy między mężczyznami... - Nie doczekawszy się nalegań ze strony Rachel, Pamela popatrzyła dookoła i zauważyła, że lord Devane spojrzał w ich stronę a panna Meredith natychmiast odwróciła wzrok. - Czy widziała się już pani z lordem Devane'em po powrocie do Londynu, panno Meredith? Chciałabym zapytać... chociaż wiem, że niektóre... starsze damy upierają się przy niezależności... Czy nie byłoby lepiej, gdyby przyjechała tu pani z matką? Albo przynajmniej z siostrą?

- Moja mama i siostra, jak zapewne pani wie, są bardzo zajęte. Przyjechałam tu, by towarzyszyć mojej przyjaciółce, pani Saunders.

- Ach, prawda. - Pamela popatrzyła na taras. - Wiem, o kim pani mówi. Ta dama jest chyba... w odmiennym stanie. Dziwię się, że zdecydowała się wyjść z domu.

- Dlaczego? Czuje się bardzo dobrze, jest zupełnie zdrowa i nie musi odbywać kwarantanny. Po prostu za pięć miesięcy będzie miała dziecko; to nie jest zakaźna choroba.

Pamela zasznurowała zwiędłe wargi i zmrużyła oczy.

- Nie jestem pewna, czy bywanie na przyjęciach w tym stanie jest w dobrym tonie. Ale skoro pani przyjaciółka przybyła tu z mężem, najwyraźniej nie obawia się on o jej zdrowie i reputację. Pewnie zignorują jutrzejsze plotki.

Rachel spiorunowała złośliwą jędrę wzrokiem. To nieprzyjazne spojrzenie przyniosło niespodziewany skutek. Pani Pemberton, z sobie tylko znanych powodów; zdecydowała się zapomnieć o konieczności zachowania dyskrecji i wyjawiała wszystko, co interesowało Rachel.

- Następnego dnia po tej grze w karty William i pani ojciec spotkali się z Devaneem i postanowili, że miejsce ślubu pozostanie niezmienione, chociaż, przepraszam, że się powtarzam, Londyn bez wątpienia jest najodpowiedniejszy na wyprawienie wesela o tej porze roku. Jego lordowska mość nie musiał tego robić i bardzo żałuję, że okazał się aż tak wyrozumiały. Uważam, że jest zbyt pobłażliwy i uczynny, zważywszy na wszystko, co zdarzyło się w przeszłości... i dzieje się obecnie.

Jeszcze zanim Rachel zdążyła się odwrócić, wyczuła, że Connor jej się przygląda. Ich spojrzenia spotkały się tylko na moment, jednak domyśliła się, że chciałby z nią porozmawiać, a jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. Zauważyła, że zamierza opuścić towarzystwo rozbawionych dygnitarzy.

Powinna teraz czekać, aż do niej dołączy. Pomimo tego, co przed chwilą usłyszała na temat uprzejmości, jaką wyświadczył jej rodzinie, czuła strach. Dlaczego nie potrafi poradzić sobie z sytuacją? Od początku przyjęcia Connor snuł się za nią po całej sali.- Czy doprawdy musi upuszczać do tego, by bawił się jej kosztem, a potem okazywał niezadowolenie, że ucieka przed nim jak spłoszona łania z jednej grupki osób do drugiej w nadziei, iż pniechęci?

Musi uważać ją za idiotkę! A jak ona traktuje samą siebie? Przyszła tu z zamiarem porozmawiania z tym mężczyzną. Och, po co w ogóle zdecydowała się przyjąć zaproszenie?

Zmusiła się do opanowania. Przybyła tu, gdyż nie przypuszczała, jak wielkie wrażenie wywrze na niej Connor. ledwie ich spojrzenia się spotkały, oczami wyobraźni ujrzała jego opalone palce na swojej drżącej białej dłoni, po której płynęła strużka herbaty. W jej uszach dzwoniły jego obraźliwe słowa i okrutny śmiech w chwili, gdy zostawiał ją z obnażonym dekoltem; miała wrażenie, że czuje bicie serca jak wtedy, gdy władcym gestem przyciągnął ją do siebie. Jej usta płonęły, rozchylały się jak do pocałunku. Wśród tysięcy zapachów unoszących się w tym dusznym salonie czuła woń zmiążdżonych płatków róż i jego wody kolońskiej.

Jak mogła udawać uprzejmą rozmowę na oczach wszystkich, skoro wcześniej sprawili sobie tyle bólu? Dlaczego jej prześladowca ją tu zaprosił? Czemu po prostu nie przysłał dokumentu, który miała zabrać do domu? Czyżby zamierzał ją jeszcze bardziej upokorzyć przed wyjazdem z Anglii do Irlandii?

Kątem oka widziała jego sylwetkę. Przeprosiła panią

Pemberton, wymawiając się koniecznością poszukania przyjaciół i skierowała się w stronę tarasu.

- Panno Meredith...

Rachel przystanęła i odwróciła się powoli. Widząc wyciągniętą rękę, puściła spódnice, które uniosła w czasie swej pośpiesznej ucieczki.

- Lady Davenport - powiedziała, podając dłoń. - Właśnie... chciałam dołączyć do państwa Saundersów. Myślę, że czekają na mnie na tarasie.

- Wydaje mi się, że z kolei mój syn chciał dołączyć do pani. Ale on może sobie jeszcze chwilkę poczekać.

Rachel uśmiechnęła się, usilnie szukając tematu do rozmowy.

- Doskonale pani wygląda, lady Davenport, zupełnie tak samo jak przed laty. - Zamilkła, zastanawiając się, czy ta uwaga była taktowna.

Usłyszała melodyjny śmiech lady Davenport, która zaraz potem uściśnęła jej dłoń.

- Dziękuję za komplement. Pozwoli pani, że się odwzajemnię. Jest pani teraz jeszcze piękniejsza niż poprzednio. Nigdy pani nie zapomniałam; być może sześć lat temu powinniśmy były lepiej się poznać. Wiem, że wtedy obracałyśmy się w zupełnie innych kręgach towarzyskich, a pani sprawiała wrażenie tak szczęśliwej i popularnej, że nie chciałam przeszkadzać pani i jej młodym przyjaciółom. - Popatrzyła na Rachel ze smutkiem. - Nie wiem, z jakiego powodu tak mnie to dziś prześladowuje. Mam nadzieję, że nie będzie mi miała pani za złe, że o tym wspominam. Kiedy była pani zaręczona z Connorem, chyba nie wydawałam się pani zbyt... wyniosła albo nieprzystępna czy wręcz wrogo nastawiona? Miałam wielką ochotę porozmawiać z panią, "brać się na zakupy albo na przejażdżkę.

- Proszę się o nic nie obwiniać. Nie odniosłam żadnych złych wrażeń.

Rosemary uśmiechnęła się.

- Musiałam o to zapytać. Wiem, że teściowe potrafią być bardzo wścibskie i natarczywe. - Spojrzała w stronę Pameli Pemberton, której buzia nie zamykała się nawet na chwilę; obok niej stał posepny mąż.

Rachel zrozumiała aluzję.

- Owszem - mruknęła.

- Pamiętam, że przerażała mnie matka mojego pierwszego męża - wyznała lady Davenport. - To byli bardzo powściągliwi, bardzo dumni ludzie. Michael był ukochanym synkiem. Był bardzo podobny do Connora. - Odszukała wzrokiem syna w tłumie i uśmiechnęła się do niego. - Coś mi się wydaje, że Connor chciałby, żebym zostawiła panią w spokoju.

- Proszę tego nie robić - powiedziała Rachel błagalnym toem,

- Rozumiem. No cóż, mężczyźni też potrafią być natarczywi. Chyba nie wyglądam na trusią, ale muszę wyznać, że bardzo bałam się ojca. Connora. Oczywiście do czasu.

- Naprawdę?

Rosemary kiwnęła głową.

- Ale tylko na początku. Nie byłam przyzwyczajona do tego, żeby mnie ktoś porywał, do szorstkiego traktowania. Byłam rozpieszczoną, wychuchaną córką hrabiego Devane'a. Przystojny syn irlandzkiego wodza nie zrobił na mnie wrażenia. Jednak podobał się miejscowym młodym Irlandkom, nie musiał więc uczyć się dobrych manier. Potem oczywiście nauczyłam go wszystkiego, co trzeba.

- Została pani porwana? - wyszeptwała Rachel, patrząc na Rosemary szeroko otwartymi oczami.

- Małżeństwo zakończyło trwający od pokoleń spór między naszymi rodzinami. Ponieważ nie reagowałam na zaloty, zdobył mnie siłą. Flinteowie zachowywali się czasem jak barbarzyńcy, byli bardzo porywczy, energiczni, a poza tym niezwykle urodziwi. Pewnie Connor nie opowiadał pani o przodkach ze strony ojca?

Rachel pokręciła głową, jak urzeczona wpatrując się w Rosemary.

- Nie dziwi mnie to. Pewnie uznał, że lepiej będzie wyjawić wszystko po ślubie. Wiem, że wtedy był bardzo przejęty rolą starającego się o rękę. Chciał pokazać, że jest pani wart. I był - dodała z matczyną dumą. - Ale potrafił zachowywać się jak dzikus. Przypominał mi swego ojca. Jego dziadek... mój ojciec czasami był przerażony jego zachowaniem, ale mimo to bardzo się lubili. Boże, co on przeżywał z powodu mojego syna! - Głos Rosemary zadrżał wzruszeniem. - No, dość już wspomnień. I tak powiedziałam za wiele. Panno Meredith, cieszę cię, że

miałymy okazję znów się spotkać i porozmawiać. Widzę, że zaraz będzie podana kolacja. Muszę znaleźć męża i wszystkiego dopatrzeć. - Już na odchodnym dodała: - Mam nadzieję, że wesele pani siostry wypadnie wspaniale. Mimo że jego matka jest trudną osobą, William Pemberton wydaje się bardzo sympatycznym młodym człowiekiem. Proszę pozdrowić ode mnie rodzinę.

- Dziękuję. - Rachel skłoniła się, a lady Davenport pożegnała ją uśmiechem.

Rosemary odeszła, zachęcając mijanych gości, by udali się za nią i skosztowali różnych specjałów w sali jadalnej. Salon powoli pustoszał; jedyną osobą idącą pod prąd był teraz lord Devane. Rachel szybko skierowała się w stronę tarasu, w tej samej chwili zauważając Paula i Lucindę, którzy wracali stamtąd drzwiami w drugim końcu salonu. Rozejrzeli się niezbyt uważnie, po czym przeszli wraz z innymi do sali jadalnej, najwyraźniej przypuszczając, że Rachel też się tam udała.

Przez chwilę zastanawiała się, co począć. Była głodna jak wilk. Zamierzała udać się okrężną drogą do jadalni gdy wtem czyjaś mocna dłoń chwyciła jej nadgarstek. Została siłą wyprowadzona na taras i dopiero tam uwolniona. Z oburzeniem potrząsnęła głową i ruszyła w stronę salonu.

Connor zastąpił jej drogę.

- Jeśli myślisz, że znowu będę cię ścigał po całym pokoju to się mylisz.

- Pozwól mi przejść - poprosiła.

Zaklął pod nosem, lecz zaraz się opanował i uniósł jej podbródek. Natychmiast zaczęła się cofać, ale po paru krokach dotknęła zimnej balustrady. Kurczowo zacisnęła dłonie na żelaznych prętach.

- Rachel, czy gdybym był twoim mężem, też byś tak ze mną walczyła?

- Nie jesteś moim mężem.

- Omal nim zostałem.

- Omal. Gdybyś był moim mężem i tak podłe okazywał mi brak szacunku, sprzeciwiłabym się temu, i to bardzo ostro.

- A gdybyś ty była moją żoną i zwracała się do mnie w ten sposób, bez najmniejszego szacunku mogłoby się okazać, że pierwszy bym cię udusił - podjął wyzwanie.

Rachel oderwała się od balustrady i podeszła do drzwi.

- Tak więc sam widzisz, milordzie, że miałam rację, uciekając ci sześć lat temu. W ten sposób dałam nam obojgu szansę na dożycie później starości.

Znów zagroził jej drogę.

- Odsuń się, idę do domu - powiedziała lodowatym tonem.

- Zanim zdążymy omówić sprawę Windrush?

- Nie ma o czym dyskutować - oznajmiła triumfalnie. - Pani Pemberton powiedziała mi, że rozmawiałeś już na ten temat z moim ojcem i narzeczoną June. Dowiedziałam się też, że pozostajesz w doskonałych stosunkach z Williamem. Nie wierzę, że nie dotrzymałbyś danego słowa teraz, kiedy wszyscy poznali twoją decyzję.

- Przypuszczasz tak dlatego, że mnie nie znasz, Rachel.

- Owszem. Jestem skłonna to przyznać. Nigdy dobrze cię nie znałam.

- W takim razie tu jesteśmy zgodni. Chcesz więc omówić sprawę Windrush czy nie?

Zwilżyła wargi.

- Chcesz powiedzieć, że nie zamierzasz dotrzymać słowa?

- Chcę powiedzieć, że byłem nazbyt wspaniałomyślny i domagam się czegoś w zamian.

- Czego?

- Hm - mruknął. - Zacznę od dobrej wiadomości. Chciałbym, żebyś mi pomogła i przyjęła do siebie na służbę pewną młodą kobietę. Znalazła się w ciężkim położeniu nie ze swojej winy. To dobra służąca. Nie musisz się martwić o jej utrzymanie i tak dalej. Będę jej płacił. Nie chcę tylko, żeby mieszkała w moim domu.

- I to ma być ta dobra wiadomość? - zapytała ironicznie Rachel, powracając na swoje miejsce przy balustradę. - jesteś nieznośny! Jeśli ci się wydaje, że przyjmę którąś z twoich kochanic, zapewne spodziewającą się bękarta, . tylko dlatego, żeby nie dopuścić do skandalu...

- Tak, właśnie dlatego chcę, żebyś przyjęła ją pod swój dach. Ale ze względu na nią, a nie na mnie. Płotki nic mnie nie obchodzą; wkrótce będę w Irlandii. Brat tej dziewczyny utrzymuje, że jest niewinna, chyba więc nie jest w ciąży. Jest jednak bardzo piękna, co stwarza problemy jej i jej bratu, który stara się ją chronić. Zająłem się nimi, a ludzie wyciągają wnioski takie jak ty. Niektórzy celowo sieją plotki. Chcę uciąć domysły, że trzymam w domu czternastoletnią konkubinę. To nie pomoże jej w znalezieniu uczciwej pracy, kiedy będę w Irlandii. Ona i jej brat są u mnie na służbie, ponieważ nie mieli się gdzie podziąć.

- Boże! Czternaście lat! Przecież to dziecko, zaledwie dwa lata starsze od Sylvie! - wykrzyknęła Rachel z oburzeniem. - Nie wystarcza ci ta włoska metresa? Czyżby była dla ciebie za stara? Naprawdę myślisz, że uwierzę ci, iż z dobroci serca zajmujesz się ratowaniem prostytutek i trzymaniem ich w swojej rezydencji? Uważasz, że jestem aż tak naiwna?

- Nie, i wcale nie spodziewałem się, że mi uwierzysz, Rachel. Wiem, że uważasz mnie za zwyrodnialca i łgarza. Ale to nie ma znaczenia. To ma być układ. Chcesz, by twoja siostra miała wesele w Windrush, a ja chciałbym, żebyś oddała mi przysługę. Nic cię to nie będzie kosztowało. Meredithowie zyskają gratis dwoje służących aż do czasu, gdy uznasz, że mogą odejść z dobrymi referencjami. To mój jedyny warunek: daj im odpowiednie referencje.

Rachel przyglądała mu się z rosnącym zdumieniem. Nigdy by się nie spodziewała, że poprosi ją o sprowadzenie na dobrą drogę kurtyzany i jej alfonsa. Jednak Connor wyraźnie upodobał sobie wprawianie jej w oburzenie. Zapewne doskonale bawił się na myśl o tym, że kobieta, która była jego narzeczoną i go odrzuciła, zostanie zmuszona do przyjęcia jednej z jego kochanek. Sam przyznał, że jest mściwym człowiekiem. Upowiedział też, że zamierza wyrównać rachunki. W pewien sposób podziwiała jego przemyślność.

Zaniepokoiły ją słowa matki Connora o tym, że potrafił zachowywać się jak dzikus, a tymczasem miała przed sobą człowieka zepsutego do szpiku kości. Pomyślała o swoich intrygach, mających na celu odzyskanie majątku. Nie czuła już wyrzutów sumienia. Musiała uciec się do niezbyt szlachetnych metod. Zgasła jakakolwiek nadzieja na to, że uda jej się przypochlebić temu draniowi, by osiągnąć porozumienie.

Szybko rozważyła różne możliwości. Przyjęcie propozycji Connora mimo wszystko oznaczało krok naprzód; mogła na tym zyskać.

W obecnej chwili dom przy Beaulieu Gardens cierpiał na niedobór służby. Państwo Grimshaw, którzy go doglądali, byli już za starzy na to, by utrzymywać rezydencję w nienagannym stanie. Jednak był to dom jej ojca, który niechętnie wyraził zgodę na jej pobyt w Londynie. Nie chciała więc podejmować za niego decyzji.

Connor patrzył, jak Rachel marszczy brwi, zastanawiając się nad jego propozycją. Rozważał możliwość wystąpienia we własnej obronie i przekonania Rachel, że nie ma romansu z tą dziewczyną, czuł jednak, że jedynie wzbudziłoby to jej dalsze podejrzenia. Uśmiechnął się do siebie. Jeśli tak gardziła jego szlachetnością, ciekawe, co też powie na następny warunek. Zamierzając przejść do omówienia bardziej osobistych kwestii, powiedział łagodnie:

- Napiszę do twojego ojca i wyjaśnię sytuację jeszcze przed twoim powrotem do domu. Jestem pewien, że nie sprzeciwi się zatrudnieniu tych dwojga w Windrush.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Rachel z goryczą. - Będzie zachwycony, mogąc przyjąć na służbę choćby i kilkanaście twoich odtrąconych kochanek. Czy zrobiłeś kiedyś coś, co nie spodobało się mojemu ojcu?

- To pytanie kieruje rozmowę na drugi temat, który chcę poruszyć...

Rachel poczuła, że jej żołądek kurczy się gwałtownie. Nie podobał jej się podejrzenie słodki głos Connora. Popatrzyła na niego z niepokojem.

- Dlaczego tak nienawidzisz swojego ojca? - zapytał niespodziewanie.

- To nieprawda - wycedziła przez zęby. Wzruszył ramionami.

- Nie uda ci się mnie oszukać.

- Zobaczymy. Niestety, ojcu najwyraźniej się to nie udało. To dlatego stracił Windrush, a ja teraz muszę słuchać, co masz do powiedzenia. Jestem oburzona twoimi wymaganiami.

Uśmiechnął się.

- Nic na to nie poradzę. Teraz wymagam odpowiedzi na pytanie, dlaczego nienawidzisz ojca.

- Pewnie dlatego, że wciąż ma o tobie dobrą opinię.

- Tak właśnie myślałem. Mógłbym to zmienić. Chciałabyś, żeby tak się stało? Zmienisz wtedy zdanie na mój temat, Rachel? Mógłbym doprowadzić do tego, że twój ojciec zacznie mnie nienawidzić.

- Wyrażaj się jaśniej. Nie jestem w nastroju do rozwiązywania zagadek.

Zapanowało milczenie. Rachel trzęsła się z oburzenia. Mógł ją teraz dręczyć do woli, odpowiednio dawkując informacje, tak jak mógł dysponować jej majątkiem według swego uznania. Pomyślała, że jej rodzice zapewne są mu wdzięczni za to, iż wciąż mogą mieszkać w Windrush, a ten podły człowiek syci się zemstą, dając do zrozumienia, że jej los znajduje się w jego rękach.

- Przecież ty nie lubisz mojego ojca. On tak cię ceni, a ty wcale go nie szanujesz.

- Nie mam powodu, żeby go nie lubić. Zawsze dobrze mnie traktował.

- Tylko tyle?! - zawołała. - Traktował cię jak syna. Myślę, że zdajesz sobie z tego sprawę. Spędzaliście ze sobą mnóstwo czasu, jeżdżąc na polowania, bywając w klubach, grając w karty...

- Byłaś zazdrosna o ojca? Roześmiała się nerwowo.

- Nie. Byłam zazdrosna o ciebie. Nigdy w życiu nie poświęcił mi tyle czasu i uwagi co tobie. Gdybym była jego upragnionym synem, wszystko wyglądałoby inaczej. Niestety, rozczarowałam go. Jak widzisz, jestem kobietą.

- Owszem, widzę. Jesteś kobietą. To prawda. Możesz - wierzyć, Rachel, aż nazbyt dobrze zdaję sobie z tego sprawę.

Poczuła, że się czerwieni. Odwróciła się szybko i zapatrzyła na tonący w mroku ogród.

- Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz? Powiedziałeś mi że jesteś gotów unieważnić umowę. Myślisz, że zgodzę przyjąć pod swój dach tych ludzi, nie zobaczywszy najpierw dokumentu?



- Będziesz musiała mi zaufać.

Prychnęła pogardliwie.

- Raczej zaufałabym sędziemu pokoju.

Zaśmiała się gorzko. Nie wiedziała, co mówi, tymczasem on dobrze znał sprawki Arthura Goodwina.

- Wciąż jesteś dzieckiem, Rachel, Pod tym makijażem, którego akurat wcale nie potrzebujesz, kryje się dziewczynka.

- Mam nadzieję, że to nieprawda. To byłoby straszne, skoro wiem już, że aż za bardzo lubisz małe dziewczynki.

Connor podszedł bliżej do Rachel

- W takich chwilach nie wiem, czy powinienem przełożyć cię przez kolano i dać ci klapsa, czy cię pocałować.

- W takim razie pozwól, że zadecyduję za ciebie - oznajmiła, przesuwając się w bok. - Jeśli spróbujesz zrobić jedno albo drugie, zacznę krzyczeć tak, że całe to wytworne przyjęcie zakończy się wielkim skandalem.

Położyła rękę na balustradzie, uniemożliwiając Rachel ucieczkę."

- Nie sądzę, żebyś była w stanie to zrobić - rzekł. - Dobrze wiesz, że zbliża się ślub twojej siostry, a połowa weselnych gości jest tu obecna. Jesteś dziecinna, ale nie głupia.

Rachel obiema rękami chwyciła jego ramię, z całej siły wpijając paznokcie w mankiet batystowej koszuli. Po chwili zrobiła gwałtowny obrót, chcąc uciec w przeciwnym kierunku, jednak udaremnił jej starania, wysuwając drugie muskularne ramię.

- Chcesz to zobaczyć?-Spojrzała mu prosto w oczy.

- Co?

- Dokument. Chciałaś się upewnić, że istnieje.

- Tak - wydyszała, zauważając, że Connor patrzy teraz na jej usta. - Tak - powtórzyła, nacierając na niego w nadziei, że instynktownie usunie się na bok. Nic takiego się nie stało. Zdjął ręce z balustrady tylko po to, by przyciągnąć Rachel do siebie.

Znieruchomiała, przygotowując się na najgorsze. Drżąc na całym ciele, czekała teraz na miazdzący ucisk, brutalny pocałunek. Instynktownie przycisnęła rękę do łona. Connor popatrzył na jej rozcapierzone palce, potem na wysoko zapięty stanik ze skromnym dekoltem.

- Ładna suknia. Włożyłaś ją dla mnie? - zapytał, delikatnie całując Rachel w usta.

Czekała na wybuch pożądania, pamiętając ich wcześniejsze brutalne starcie. Postanowiła pozostać bierna. Connor miał zamknięte oczy, tymczasem Rachel nie spuszczała wzroku z jego twarzy, czekając na ostrzegawczy sygnał. Przeczowała, że ta chwila zbliża się nieuchronnie. Wcześniej poddała się jego woli. Nigdy więcej, powtarzała w myślach, bezwiednie rozchylając wargi i kładąc rękę na jego kamizelce. Uniósł powieki, popatrzył na nią rozmarzonym wzrokiem,- pocałował ją w usta, a potem obdarzył uśmiechem, który tak dobrze zapamiętała June.

- Chodźmy do biblioteki, dam ci ten dokument, żebyś mogła go zabrać do domu.

Skierował się w stronę salonu, gestem ręki zachęcając Rachel, by poszła za nim, lecz minęła dłuższa chwila, nim zdołała się poruszyć.



## Rozdział jedenasty

Po wejściu do salonu Rachel zobaczyła Paula i Lucinę Saundersów, a zaraz potem jej wzrok przyciągnęli wujostwo Chamberlainowie.

Zauważyła, że ciotka Phyllis szybko szepce coś wujowi do ucha. Po chwili pani Chamberlain zdecydowała się obdarzyć swą najstarszą bratanicę uśmiechem, pierwszym od ponad sześciu lat. Rachel nie poczytała jednak tego za wyróżnienie.

Szybko zorientowała się, że jej pojawienie się na sali w towarzystwie Connera wzbudziło powszechne zainteresowanie.

- Jeśli teraz wyjdziemy stąd razem, a potem znów tu się pojawimy, natychmiast zaczną się plotki. Podejdę teraz do Saundersów, a ty pójdz po dokument.

- Nie ma mowy.

Nie miała czasu na dowodzenie swych racji, gdyż ciotka i wuj szli już w ich stronę. Ukarła więc Connora wysunięciem dłoni spod jego ramienia. Jej niepokój wzrósł, gdy zobaczyła, że Paul i Lucinda wcale nie zamierzają do nich dołączyć, zajęci rozmową z przyjaciółmi, którzy wrócili z sali jadalnej.

Ciotka Phyllis, korpulentna siostra ojca, ucałowała Rachel w policzek. Rachel miała ochotę ją odepchnąć. Człapiący z boku wuj Nathaniel sprawiał wrażenie zażenowanego nagłą zmianą zachowania żony. Ostatni raz ciotka Phyllis witała swą bratanicę tak wylewnie, kiedy Rachel miała dziewiętnaście lat i przyjmowała gratulacje z okazji zaręczyn.

Ciotka rozpromieniła się; Rachel odpowiedziała wyduszonym uśmiechem. Przez wiele lat była dla ciotki niegodna zainteresowania, teraz nagle wróciła do łask tylko dlatego, że u jej boku pojawił się Connor. Zapewne ciotka myślała, że ulitował się nad biedną starą panną i w swej szlachetności jej przebaczył. W takiej sytuacji mogła znów zostać zaakceptowana, a nawet wzbudzić zazdrość. Gdy Phyllis znała prawdę, z pewnością zachowywałyby się inaczej. Rachel stłumiła gniew. Przypomniała sobie, jak w ciągu minionych sześciu lat ciotka publicznie okazywała wzgardę wszystkim członkom rodziny Meredithów tylko dlatego, że najstarsza córka odtrąciła Connera Flinte'a. Przeniosła wzrok z ciotki na potulnego wuja.

- Rachel, pięknie wyglądasz w tej niebieskiej sukni. Zawsze było ci dobrze w niebieskim - zachwycła się ciotka Phyllis.

- Dziękuję, ciociu Chamberlain - odpowiedziała oficjalnym tonem Rachel. - Jestem zaskoczona, że mnie poznali, zważywszy na to, ile lat upłynęło od naszej ostatniej rozmowy. - Pozałowała swych słów, widząc, że na policzkach dotle pojawił się szkarłatny rumieniec. Spocony wuj rozluźnił fular i chrząknął.

- No tak - odezwał się, próbując odwrócić uwagę od skonfundowanej żony. - Jak się czują twoje siostry, Rachel? Pewnie są zajęte szykowaniem sukien na wesele. O, mała June będzie piękną panną młodą. A Sylvie też na pewno zaprezentuje się uroczo. Tak, tak. To taka śliczna dziewczynka. Oby dopisała pogoda. - Pokiwał głową w stronę Connora.

- Oby tylko nie było tak gorąco - wtrąciła Phyllis, wachlując się pulchną, błyszczącą od potu ręką. - My, kobiety, chciałybyśmy jak najlepiej zaprezentować się w naszych kreacjach, prawda, Rachel?

- A więc zamierzasz przyjść na wesele? - zapytała ironicznie Rachel. - Kiedy parę miesięcy temu wysłaliśmy zaproszenia i nie otrzymaliśmy odpowiedzi, myśleliśmy, że zmieniliście plany. Zawsze jednak wiedzieliśmy, że to brak czasu, a nie manier, sprawił, iż nie przysłaliście nam żadnych wyjaśnień.

Nathaniel sprawiał wrażenie człowieka, który ma ochotę zapaść się pod ziemię. Tym razem to jego żona szybciej doszła do siebie po ciosie; przeszła Rachel ostrym spojrzeniem.

- Masz rację. Tak właśnie było. Na szczęście udało nam się zmienić plany. W tym tygodniu szybką pocztą wysłałam list do twoich rodziców.

- To miło z twojej strony, ciociu Chamberlain! Mam nadzieję, że znajomi, których nie zaszczycisz w tej sytuacji swą obecnością, jakoś pogodzą się ze stratą. Pani Pemberton będzie zachwycona. Jesteście do siebie bardzo podobne, jak siostry! - Popatrzyła na kościste kończyny i długą, końską twarz Pamelii Pemberton, a potem na pulchną ciotkę.

- Powiedziałaś, że zaproszenie zostało wysłane kilka miesięcy temu? - zapytała urażona Phyllis, dobrze wiedząc, że Rachel ma na myśli podobieństwo charakterów, a nie sylwetek. - To dziwne, bo ja otrzymałam je całkiem niedawno - oznajmiła. - To zapewne wina poczty, list musiał trafić wpierw pod niewłaściwy adres...

- Nie sądzę...

- Myślę, że właśnie tak się stało - podsumował Connor, dając do zrozumienia, że uważa temat za wyczerpany.

Rachel wyczytała ostrzeżenie w jego oczach. Bał się zapewne, że lada chwila może dojść do gwałtownej wymiany zdań na środku jego wspaniałego salonu! Musiała przyznać, że taka ewentualność bardzo ją kusilo. Gdyby nie zbliżający się termin ślubu June, chętnie powiedziałaby tej hipokrytce, co o niej myśli. Popatrzyła zaczepnie na Connora. Nie wtrącaj się w moje sprawy, przekazała mu spojrzeniem.

Nie przeciągaj struny, zasygnalizował w odpowiedzi, chwytając Rachel za łokieć, by poprowadzić ją do biblioteki. Uprzejmie skinął głową państwu Chamberlainom.

Nie chcąc, by uroczy gospodarz uciekł za wcześnie, i pragnąc się dowiedzieć, czy jej podejrzenia są słuszne, Phyllis zapytała:

- Czy będzie pan obecny na ślubie mojej bratanicy, milordzie?

- Wkrótce wyjeżdżam do Irlandii - odpowiedział uśmiechem i odszedł z Rachel.

Phyllis Chamberlain odprowadziła ich wzrokiem.

- To miłe z jego strony, że tak się nią zaopiekował - uznał Nathaniel. - Widziałem, jak wcześniej błąkała się po sali, rozpaczliwie szukając towarzystwa. Zabrał ją na przechadzkę po tarasie.

- Na przechadzkę! - syknęła jego żona. - Jestem pewna, że miał ślad szminki na ustach. Nic ci to nie mówi?

Nathaniel sprawiał wrażenie przerażonego.

- Naprawdę? Nigdy bym nie pomyślał, że Devane jest zdolny do czegoś podobnego! Co za swoboda obyczajów...

Rzuciwszy mężowi spojrzenie przez ramię, Phllis odeszła, by porozmawiać z przyjaciółką.

- Ależ to jędrza! - wydyszała Rachel, kiedy oddalili się na odpowiednią odległość.

- Cii, najdroższa, bo ludzie gotowi pomyśleć, że zadałem się ze złością.

Rachel rzuciła mu gniewne spojrzenie. Miała ochotę powiedzieć, że może w każdej chwili poszukać sobie innej towarzyski. Uspokoiła się jednak, widząc, iż Connor prowadzi ją w stronę Paula i Lucindy.

- Kolacja była wspaniała. Zjadłaś coś? - zagadnęła ją Lucinda. - Szukaliśmy cię, Rachel...-

- Nie... to znaczy... szukałam was na tarasie i spotkałam lorda Devane'a, który wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza.

Paul i Lucinda z trudem opanowali chęć wymiany spojrzeń.

Connor powiedział cicho:

- Mam pewną sprawę do omówienia z panną Meredith i chciałbym przekazać ci dokumenty, Paul. Proponuję, żebyśmy przeszli do biblioteki. To zajmie nam jedynie chwilę. Czy zechciałyby nam pani towarzyszyć, pani Saunders?

Kiedy będę zanudzał pani męża, będzie pani mogła obejrzyć mój zbiór gotyckich powieści.

- To cudownie, bardzo chętnie. Lubię czytać. - Lucinda natychmiast wsunęła rękę pod podane jej przez Connora ramię.

- W większości są to książki mojej matki, sądzę więc, że znajdą się tam i romanse... - usłyszała Rachel fragment rozmowy Connora z Lucinda. Paul poklepał dłoń Rachel wyciągnął do niej rękę. Popatrzyła na jego miłą twarz, przekonana, że ma ochotę coś jej powiedzieć. Jednak zdeprymowany pokręcił tylko głową i poprowadził Rachel za gospodarzem do biblioteki.

- Usiądź, moja droga; poszła tam z nim całkiem chętnie - powiedział Paul Saunders do żony, widząc, że Lucinda zmierza ku drzwiom prowadzącym z biblioteki do gabietu hrabiego.

Lucinda przyłożyła ucho do drzwi, jednak słycać było tylko rzewną melodię dobiegającą z pokoju muzycznego, znajdującego się w drugim końcu domu.

- Myślisz, że Rachel jest... bezpieczna?

- Jeśli nie, wkrótce się o tym dowiemy. Rachel nie zawaha się krzyżeć - zauważył z cierpkim humorem Paul. Przejrzawszy papiery leżące na biurku, uśmiechnął się. Dokładnie przestudiował te same polisy ubezpieczeniowe kilka dni temu w swoim biurze, dokąd dostarczył je sam hrabia. Wykazując męską solidarność, Paul udał teraz szczere zainteresowanie długą listą ewentualnych morskich katastrof.

Lucinda podeszła do ogromnej półki z książkami i sięgnęła po jeden z tomów.

- Rzeczywiście ma wspaniały zbiór.

- Taak... - powiedział Paul, patrząc na apetyczną figurkę żony, idącej z książką w ręku. Odsunął fotel i usiadł na obitej skórą sofie przy kominku. W pokoju było bardzo gorąco, choć w palenisku nie płonął ogień. Paul zdjął surdut i z ulgą wygodnie się rozsiadł. Zauważył, że żona nie ma na sobie szala, który musiał zsunąć się z jej ramion, gdy sięgała po książkę.

- Chodź tu do mnie i pokaż mi, co tam znalazłaś. Miejmy nadzieję, że Connor zachowuje się przyzwoicie.

Lucinda zaczerwieniła się, słysząc dobrze znajomy, uwodzicielski ton w głosie męża. Popatrzyła na drzwi gabinetu.

- Myślisz, że znów składa jej propozycję... ?

- To możliwe... ale wolałbym nie zgadywać jaką. No, chodź - poprosił ze śmiechem. - Odpocznij, będziemy czekać długo...

- Teraz mi ufasz, Rachel?

Popatrzyła na trzymany w ręce dokument, szybko rozłożyła go i przeczytała.

- Mogę go zabrać do domu?

- Tak.

- Dziękuję. - Szybko złożyła go tak, by zmieścił się w jej torebce, jednak wcześniej jej uwagę przyciągnęły inne papiery, zwinięte w rulon, przewiązane czerwoną wstążką i opatrzone czerwoną pieczęcią - akt własności jej domu.

Siedziała w fotelu za biurkiem, w miejscu wskazanym przez Connera. Wyjąwszy dokument pozwalający na użytkowanie domu, nie zamknął szuflady. Rachel była pewna, że leżący tam rulon przewiązany czerwoną wstążką ma stanowić pokusę i przynętę. Prawo własności jej domu znajdowało się teraz na wyciągnięcie ręki. Szczęśliwy, kto posiada, przemknęło jej przez myśl.

Zdecydowała się unieść zwój. Ostrożnie położyła go na mahoniowym blacie, lekko przesunęła, by zobaczyć napis, po czym przeczytała: Tytuł własności domu i dóbr znanych jako Windrush...

- Wyraźnie chcesz, żebym cię o to poprosiła. - Uniosła wzrok. Connor stał przy marmurowym gzymsie kominka nad którym znajdowało się malowidło przedstawiające ogromnego, groźnie wyglądającego psa. - Dlaczego kusisz mnie możliwością przeniesienia prawa własności?

- Jeśli jesteś gotowa do negocjacji, mogę ci powiedzieć, czego żądam w zamian. Na tarasie powiedziałem ci, że chcę dwóch rzeczy.

- Może wcale nie będę o nic prosić - mruknęła Rachel, patrząc na Connora nad migotliwym płomieniem świecy.

- Myślę, że będziesz.

Włożyła akt własności do szuflady, zamknęła ją.

- Wydaje ci się, że jesteś bardzo sprytny. Myślisz, że możesz mną kierować, naginać do swojej woli. Jednak się mylisz...

- Dlaczego nie wyszłaś za Moncura albo tego drugiego fircyka... Featherstonea, o ile się nie mylę?

Zaskoczyła ją ta niespodziewana zmiana tematu.

- To nie twoja sprawa - powiedziała zuchwałe.

- Być może chcę tylko tej odpowiedzi.

- Naprawdę?

- Dlaczego zerwałaś zaręczyny?

Z wyrazem znudzenia na twarzy zaczęła wyjmować gęsie pióra z uchwytu i układać je na biurku.

- Dlatego, że nie chciałam wychodzić za męża. To były pomyłki... nic innego się pod tym nie kryje.

- Zbyt często popełniasz te pomyłki. Kochałaś ich?

- Nie! Tak, oczywiście... Myślę... - Odłożyła ostatnie pióro i zacisnęła dłonie w pięści. Świadoma tego, że jej przyjaciele czekają za drzwiami, opanowała się i wycodziła przez zęby: - To też nie twoja sprawa.

Wykorzystał Paula i Lucindę do tego, by nie urzędzała tu scen, gdy będzie ją dręczył pytaniami! Postanowiła nie dać się sprowokować. Popatrzyła na malowidło przedstawiające olbrzymiego psa, który wyglądał jak wilk. Pomyślała o Rosemary Davenport i o tym, co powiedziała na temat Connera i jego ojca.

- Rozmawiałam z twoją matką. Jest taka, jaką ją zapamiętałam, bardzo miła i uprzejma. Prawie w ogóle się nie zmieniła. Ale twój ojczym, sir Joshua, wygląda dużo gorzej.

- Nie czuje się dobrze. Ostatnio miał silne ataki. Doktor uważa, że mogły osłabić jego pamięć.

- Tak mi przykro...

- Co ci powiedziała moja matka?

Rachel znów miała ochotę odpowiedzieć, że to nie jego sprawa. Głęboko zaczerpnąwszy tchu, doszła jednak do wniosku, że lepiej będzie porozmawiać na bezpieczny temat, niż wchodzić na wojenną ścieżkę.

- Że twój ojciec był synem irlandzkiego wodza i że zmusił ją do małżeństwa, porywając ją, by w ten sposób zakończyć rodzinne waśnie trwające przez wiele pokoleń. Powiedziała też, że jesteś bardzo do niego podobny.

Connor roześmiał się, chwycił szklaneczkę whisky i połknął spory łyk. Dopiero po dłuższej chwili spytał:

- Naprawdę tak powiedziała?

- Owszem. Mówiła też, że byłeś dziki, nieokiełznany i że twój dziadek rozpaczał z tego powodu.

Patrzyła, jak obwodził palcem krawędź szklanki.

- To prawda - przyznał cichym głosem.

- Dlaczego? Co robiłeś?

- Różne rzeczy, które kuszą młodych ludzi ku przerażeniu starszych i mądrzejszych: szastałem pieniędzmi, uprawiałem hazard, byłem rozpustny, wdawałem się w bójki...

Rachel nie spodziewała się po Connorze aż takiej szczerości.

- Nie miałam o tym pojęcia...

- Bardzo się starałem, żebyś się o tym nie dowiedziała. Byłem wspaniałym młodym majorem... I co mi z tego przyszło? Wyczuła w jego głosie głęboki cień ironii i goryczy.

- Biedny dziadek- powiedziała szybko. - Myślę, że nie tak wyobrażał sobie dziedzica. O tym również nie miałam pojęcia. Nigdy mi nie wspomniałeś, że pewnego dnia odziedziczysz tytuł i majątek

- Powiedziałbym ci, gdybym wierzył w to, że mam szansę zostać arystokratą. Pewnie nawet bym się tym chełpił, bo w tamtych czasach bardzo by ci to zaimponowało. Sześć lat temu byłem czwarty w linii: przede mną byli dwaj bracia matki i jeden z ich synów. Cieszyli się dobrym zdrowiem. Jak mogłem przypuszczać, że wszyscy umrą przede mną, i to w odstępie dwudziestu miesięcy jeden po drugim. To dlatego wybrałem wojsko. - Uśmiechnął się i dopił whisky.

- Niemalże znaczenie miał też fakt, że mój dziadek przystawił mi pistolet do głowy i oświadczył, iż kupił mi patent oficerski w regimencie kawalerii, że mam się pakować do wyjazdu.

Rachel podeszła do niego, zaintrygowana.

- Dziadek ci groził?

- Myślę, że tylko mnie straszył. Był u kresu wytrzymałości. Postawiłem go w niezręcznej sytuacji... pozwoliłem sobie na zbyt wiele. Sprawilem mu wielki zawód, gdyż postąpiłem wbrew jego zasadom. Był dobrym człowiekiem. Miał rzadko spotykane poczucie honoru...

- Co takiego zrobiłeś?

Nalał sobie nową porcję whisky.

- Wziąłem zamężną kobietę na kochankę. Przyprawiłem rogi najlepszemu przyjacielowi dziadka. Nie był w nastroju do żartów.

Rachel popatrzyła na Connora.

- Wcale mu się nie dziwię - powiedziała cicho. Odchrząknęła. - No cóż, zapewne byłeś wtedy bardzo młody, a ta cudzołożnica dużo starsza od ciebie. Powinna być od ciebie mądrzejsza. Pewnie to ona cię kokietowała i sprowadziła na złą drogę.

- Dziękuję za te uprzejme słowa, Rachel - odrzekł, przyglądając się jej znad krawędzi szklaneczki. - Miała tyle lat co ty teraz, czyli skończone dwadzieścia pięć, a ja zaledwie osiemnaście, ale dobrze wiedziałem, co robię. Miałem utrzymanki od piętnastego roku życia. - Szybko wypił łyk whisky.

Rachel zwilżyła wargi.

- Aha. - Tylko tyle była w stanie powiedzieć. Po dłuższej chwili zapytała lodowatym tonem: - Miałeś kochankę, kiedy byliśmy zaręczeni? Odstawił szklaneczkę.

- Co byś zrobiła, gdybyś się o tym wtedy dowiedziała? Odtrąciłabyś mnie?

Znieruchomiała.

- Jestem zadowolona, że wiem to teraz. W tej sytuacji nie czuję się tak bardzo...

- Winna? - podpowiedział cicho, gdy nie dokończyła zdania. - Czuj się tak bardzo winna, jak tylko potrafisz. Byłaś wtedy moją jedyną kobietą.

Rachel ruszyła do drzwi.

- Czas na mnie. Paul i Lucinda z pewnością chcą już pójść do domu... Lucinda musi być zmęczona.

- Dlaczego mnie nie zapytasz, czego chcę w zamian za zwrot Windrash?

W milczeniu wpatrywała się w ogromną bestię na obrazie. Miała wrażenie, że wielki pies zaraz na nią skoczy.

- Bardzo zależy ci na tym majątku, prawda?

Ledwie dostrzegalnie pokiwała głową.

- Niech to będzie uczciwa wymiana. Chcę otrzymać coś, czego pragnąłem kiedyś nade wszystko. Czy wiesz, co robiłem w noc poślubną?

Nie była w stanie powiedzieć, że nic jej to nie obchodzi, tak jak nie mogła oderwać od niego wzroku. Wolno pokręciła głową.

Uśmiechnął się drapieźnie, ukazując białe zęby.

- Ja też nie wiem. Nie mam pojęcia, gdzie poszedłem i jak to się stało, że upiłem się do nieprzytomności. Wystarczy powiedzieć, iż kiedy Jason znalazł mnie dzień później na Clapham Common, myślał, że popełniłem samobójstwo. Gdybym spędził tam jeszcze jedną noc w stanie śpiączki, pewnie bym umarł. Dopiero dwa dni po powrocie do domu odzyskałem przytomność, a gorączka spadła po tygodniu. Pamiętam, że okazałem się niewdzięczny - miałem ochotę zabić Jasona za to, że mnie tam nie zostawił. Przez sześć lat snułem fantazje na temat swojej nocy poślubnej. Z początku było to jak obsesja... chciałem, żeby wróciły te stracone nocne godziny, pragnąłem spędzić je tak, jak powinienem - na rozkoszy i namiętności. Potem zacząłem myśleć o tobie, zastanawiać się, co straciłem. Nigdy już nie zaznałem spokoju. Chcę mieć noc poślubną, Rachel. Jesteś mi ją winna.

Nie zdawała sobie sprawy, że podszedł aż tak blisko. Uniósł rękę, lecz ją odepchnęła. Nie ustępował, dopóki nie stanęła nieruchomo, poddając się pieszczotom, delikatnym muśnięciom jego dłoni.

Propozycja była haniebna, przerażająca. Rachel powinna była osunąć się na ziemię, tymczasem nie przeżyła szoku ani nawet zdziwienia. Pamiętała, że jakiś czas temu, w upalne, pachnące jabłkami popołudnie, kiedy spotkali się po latach, zdała sobie sprawę, iż Connor będzie pragnął zemsty.

- Noc poślubna, jak sama nazwa wskazuje, następuje po ślubie - odpowiedziała rzeczowo. - Tymczasem nie było żadnego ślubu. Już na tarasie zwróciłam ci uwagę, że nie jesteś moim mężem. -

- Zabrakło mi do tego dwunastu godzin. Daj mi moją noc poślubną, Rachel, i oboje będziemy wolni. To wszystko zaczęło się od żądy i niech na niej się skończy. Jeśli nawet cię rozczaruję, to przynajmniej zyskasz swój majątek i pewność, że kiedy twój ojciec się o tym dowie, będzie chciał mnie zabić.

- Czyli że jeśli tego nie zrobię, to wystawisz Windrush na aukcję?

- Nie potrzebuję domu w Hertfordshire. Wracam do Irlandii. Ofiaruj mi noc poślubną, a ja dam ci akt własności. Odzyskasz posiadłość prędzej, niż myślisz. Jeśli się zgodzisz... a pragnę twojej pełnej zgody, Rachel... Windrush przypadnie tobie, a nie twojemu ojcu.

- Myślisz, że mogłabym to zrobić? Zatrzymać majątek dla siebie i wrócić do domu z tymi papierami, chwając się mojej rodzinie, że dobrowolnie ci się oddałam, żeby je zatrzymać? Jak śmiesz spodziewać się po mnie czegoś takiego!

- W takim razie zwrócisz prawo własności ojcu. Powiedz mu, że cię uwiodłem. Zresztą opowiadaj sobie, co tylko chcesz. Możesz mieć pewność, iż w każdym przypadku, mnie znienawidzi. A przecież bardzo ci zależy na tym, żeby twój ojciec życzył mi śmierci.

- Tak - wychrypiała, - Powinien był już dawno ci tego życzyć. - Strząsnęła rękę Connora z ramienia. - Bardzo się cieszyłeś z tego, że ukradłeś dom pijanemu mężczyźnie? Nie czułeś wstydu, grając w karty z człowiekiem, któremu alkohol odebrał rozum? Nadawałbyś się do zabierania dzieciom cukierków! A poza tym, czy prawdziwy dżentelmen nie powinien przynajmniej dać rywalowi szansy odegrania się, skoro gra szła o tak wysoką stawkę?

- Dałem mu taką szansę.

- Chcesz mi powiedzieć, że ojciec przegrał dwa razy?

- Nie. Nie doszło do drugiej gry, bo twój ojciec ledwie już widział na oczy, nie był w stanie odróżnić kara od pika.

- Nie dostrzegł też podłego człowieka wśród graczy. No ale nie widział jego podłości także wtedy, gdy był trzeźwy - powiedziała z goryczą w głosie. Connor roześmiał się.

- Nie martw się, teraz przejrzy na oczy. I wcale mu się nie spodoba, że wywróciłem jego plan do góry nogami,

- Jaki plan?

- Był pod wpływem alkoholu, ale mimo wszystko nie ryzykował drugiej gry. Bał się, że tym razem Benjamin Harley może wygrać Windrush, a chciał, żeby majątek przypadł mu. Nie zastawił domu, dopóki nie usiadłem do gry, a kiedy wygrałem, nie chciał się odegrać. Tak więc postąpiłem zgodnie z jego wolą i miałem prawo przyjąć posiadłość. Ale ciebie mogę wziąć tylko na przedstawionych przeze mnie warunkach. Nie jestem w stanie w pełni dostosować się do jego planu połączenia nas w parę.

Rachel poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.



- O czym ty mówisz? - zapytała przerażona.

- Tylko to, moja niegdysiejsza ukochana, że twój ojciec robi, co może ludzając się nadzieją, że wciąż jestem w tobie zadurzony. Myśli, że jestem takim samym honorowym głupcem, jak sześć lat temu. Ubzdurał sobie, że jeśli postawi cię na mojej drodze, ożenię się z tobą i w ten sposób rodzina Meredithów będzie miała swój happy end. Ale nic takiego się nie stanie.

- Nie, jest już na to za późno. Zdecydowanie za późno.

- Cieszę się, że przyznajesz mi rację.

Podeszła do niego.

- O szczęśliwym zakończeniu moglibyśmy mówić tylko wtedy, gdyby twój głupi dziadek znalazł w sobie dość odwagi, by nacisnąć spust, kiedy miałeś osiemnaście lat. Po tych słowach mocno uderzyła go w policzek i gwałtownie się cofnęła.

- Ale to też mnie satysfakcjonuje - syknęła, kierując się do drzwi.

Chwyił ją w pasie i przycisnął do siebie. Szarpnęła się gwałtownie, próbując się wyrwać. Perły wplecione w jej włosy rozsypały się po podłodze jak błyszczący grad. Niespiesznie Connor nakrył jej wargi pocałunkiem, pogłębiając go tak, że jęknęła z rozkoszy. Poddając się nowym doznaniom, pozwoliła, by wsunął język głęboko w jej usta. Ogarniała ją słodka bezwolność, gdy Connor niespodziewanie się odsunął.

- To mi nie wystarcza - wydyszał jej do ucha. - W połowie tygodnia daj mi znać, czy chcesz prowadzić negocjacje na moich warunkach, czy majątek ma zostać wystawiony na aukcję na początku lipca.

Drżąc na całym ciele, popatrzyła w jego oczy, szukając w nich śladu współczucia, dostrzegła jednak tylko zimny błysk.

- I to już wszystko? Wystarczy, że w końcu uda ci się mnie upokorzyć w tak nikczemny sposób? A może wkrótce okaże się, że chcesz czegoś więcej?

- Nie upokorzę cię i nie złamię danego słowa. Pragnę tylko odzyskać spokój. Powiedziałem ci - to wszystko zaczęło się od pożądania i niech się na tym skończy.

- I uważasz, że to mnie nie upokarza?

-Nie.

Chwyił jej nadgarstek, nim zdążyła wymierzyć mu kolejny policzek.

Wyrwała się z jego uścisku, cofnęła o parę kroków, po czym wyprostowała się i dumnym krokiem podeszła do drzwi, by dołączyć do przyjaciół i udać się z nimi do domu.

- Zbliża się tu jakiś jeździec! - zawołała Sylvie do matki. Gloria Meredith podeszła do najmłodszej córki, stojącej przy oknie, i zmrużyła oczy, patrząc w dal na ciemną, rozmazaną sylwetkę.

- Muszę kupić okulary. Nie mam już tego wzroku co dawniej...

- To William - podpowiedziała ze śmiechem Sylvie i popatrzyła na June, która siedziała z podkulonymi nogami, z robótką w ręku.

Dopiero po chwili nieobecna myślami June zorientowała się, że obiekt jej westchnień jest niedaleko. Natychmiast zerwała się na nogi.

- William? Tutaj? W Hertfordshire? Jesteś pewna?

- Sama zobacz - nadąsała się Sylvie, niezadowolona, że starsza siostra nie dowierza jej słowom. Zdaniem Sylvie miłość nie służyła June. Siostra przez większość czasu snuła się po domu jak lunatyczka. Na przykład poprzedniego dnia Sylvie usiadła na igle, którą June bezmyślnie wbiła w fotel. Oczywiście June była tak przerażona niewielkim śladem ukłucia na udzie młodszej siostry, że zaniósła się szlochem i łkała, dopóki Sylvie nie przeprosiła jej za to, że w ogóle poruszyła ten temat, i nie zapewniła bohatercko, że prawie w ogóle nie czuje bólu.

June podbiegła do okna; uśmiech zachwytu rozjaśnił jej twarz. Okręciwszy się radośnie, wybiegła z pokoju.

W holu wpadła na ojca, witającego się z jej narzeczoną. William natychmiast popatrzył na swą ukochaną. Edgar Meredith uśmiechnął się do młodych, przeprosił i wycofał się do gabinetu.

- Nie wiedziałam, że przyjedziesz do Hertfordshire przed weselem - zauważyła June.

Naręczony wzruszył ramionami.

- Czułem się samotnie w Londynie. Philip Moncur, BarFoster i inni koledzy wybrali się do Brighton. Chcieli, żebym z nimi jechał, ale nie miałem na to ochoty. Nie chciałbym też przebywać zbyt często w towarzystwie moich rodziców w ciągu tych ostatnich tygodni przed ślubem... Ojciec jakoś sobie radzi... - Skrzywił się znacząco. - Pomyślałem, że dobrze mi zrobi pobyt na świeżym powietrzu, zanim zacznie się weselne szaleństwo. Zatrzymałem się na kilka dni w gospodzie „Pod Królem”. To miłe miejsce, mają tam dobre jedzenie i piwo. I dzisiaj pomyślałem, że wpadnę by cię odwiedzić... zobaczyć, jak się miewacie...

June nie była już w stanie dłużej znieść tej gry pozorów. Z westchnieniem padła w ramiona narzeczonego, który natychmiast mocno ją przytulił.

- Myślałem, że nie wytrzymam już ani dnia dłużej bez ciebie, nie mówiąc już o trzech tygodniach - wyszeptał jej we włosy.

June wyplątała się z uścisku, chwyciła Williama za ramię - Doprowadziła w stronę pokoju.

- Cóż, musisz jeszcze chwilę poczekać – powiedziała filuternie. - Pewnie będziesz rozczarowany, że wyjechałeś z Londynu. Minałeś się w drodze ze swoją przyjaciółką. Parę dni temu Rachel wróciła do Beaulieu Gardens. Będzie jej ciebie brakowało.

Wkrótce zasiedli w fotelach w salonie, oświetlonym teraz promieniami słońca. Sylvie poszła się przebrać do jazdy na kucyku, rola przyzwoitki przypadła więc pani Meredith.

- Napijesz się jeszcze herbaty, Williamie? - zapytała, unosząc imbryczek.

- Tak, chętnie, dziękuję.

Gloria nalała herbatę i popatrzyła na parę naręczonych, William miał wyraźne trudności z oderwaniem oczu od twarzy June. Przynajmniej jedna córka będzie miała ustabilizowane życie, pomyślała z zadowoleniem pani Meredith: by zaraz zacząć martwić się o Rachel.

Uważała, że najstarsza córka powinna wrócić już do domu, gdyż nie było sensu uganiać się za czymś, co zostało bezpowrotnie utracone. Była pewna, że Rachel udała się do Londynu, by odzyskać posiadłość, a nie z powodu Lucindy Saunders. Mąż też dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Nie rozmawiali jednak o tym; od dnia, kiedy wrócił z Londynu, by poinformować rodzinę o swych haniebnych wyczynach, prawie w ogóle się do siebie nie odzywali. Czasem tylko wymieniali krótkie uwagi na temat gospodarstwa lub przygotowań do wesela. Gloria westchnęła ze smutkiem, ale June i William tego nie usłyszeli. Oznajmiwszy narzeczoną, że idzie zająć się lunchem, pani Meredith wyszła z pokoju.

William pił herbatę z chińskiej filiżanki, która wydawała się bardzo krucha i maleńka w jego dużych palcach.

- Dlaczego Rachel tak szybko wróciła do Londynu? June popatrzyła w stronę drzwi, jakby bała się, że ktoś podsłucha.

- Chodzi o Windrush: papa przegrał majątek na rzecz lorda Devanea - poinformowała szeptem. - Rachel wpadła złość. Chyba jeszcze nigdy dotąd nie była tak wzburzona. Okropnie pokłóciła się z papą. Uparła się, że musimy wziąć ślub tutaj i pojechała do Londynu, żeby stoczyć bitwę : Devane'em. Powiedziałam jej, iż dla mnie to nie ma znaczenia, że możemy wziąć ślub w Londynie...

William zmarszczył czoło.

- Wolałbym mieć ślub w Windrush i powiedziałem to Devane'owi. Zapewnił, że nie musimy zmieniać planów. On wcale nie potrzebuje tego domu.

- Co ty mówisz?! - zdumiała się June. - To znaczy, że Rachel niepotrzebnie pojechała do Londynu. Czy to ty poszedłeś do Devane'a?

- To on zwrócił się do mnie... i twojego ojca. Następnego dnia, ledwie twój ojciec trochę doszedł do siebie, spotkaliśmy się i wszystko omówiliśmy. Zastanawiam się, dlaczego ci o tym nie powiedział

June sprawiała wrażenie wstrząśniętej. Z niedowierzaniem kręciła głową.

- Nie wiem. Z pewnością nie mógł o tym zapomnieć, chyba że alkohol osłabił mu pamięć.

William sposepniał.

- Mam nadzieję, że nie kryje się za tym nic podejrzanego. - Westchnął. - Wydaje mi się to dziwne, ponieważ gotów jestem iść o zakład, że Devane wciąż kocha się w Rachel.

- Ja też tak myślę - potwierdziła June. - I nie wiem, dlaczego miałby pragnąć nam zaszkodzić.

- Chciałbym spokojnie zacząć życie małżeńskie, nie musząc przejmować się jakimiś intrygami, kochanie. - William westchnął. - Nic dobrego nie może wyniknąć z oszustw, zatajania wiadomości, robienia sekretów...

June przeraziła się gwałtownością jego wypowiedzi. Patrzyła na niego tak długo swymi piwnymi oczami, że zarumienił się i przykucnąwszy obok jej fotela, zapytał:

- O co chodzi, kochanie?

- Nie chcę, żebyśmy mieli przed sobą tajemnice. Muszę ci coś powiedzieć, Williamie... o Isabel...



## Rozdział dwunasty

- A niech mnie, to znowu ty. Czego chcesz tym razem?

-Tego samego co ostatnio. - Sam Smith, jak zwykle, miał w zanadru ciętą odpowiedź, jednak tego dnia nie był tak pewny siebie jak poprzednio i ledwie się uśmiechnął, gdy Noreen Shaughnessy popatrzyła na niego spod rudych brwi.

Dziewczyna skrzyżowała ręce na piersiach i znacząco popatrzyła na ślady zdartych buty nowo przybyłych na staranie wyszorowanych schodach.

Dobrze zapamiętała zuchwałego młodzieńca, który jakiś tydzień temu przyniósł tu list od wielkiego pana. Nie znała jednak stojącej za nim drobnej dziewczyny. Kiedy Noreen przechyliła głowę, by dokładniej przyjrzeć się nieśmiałej towarzyszce chłopaka, zauważyła stojący przed domem okazały powóz z wymyślnym herbem na drzwiczkach... i zniszczonym kufrem na dachu. Rozpoznała stangreta. To on siedział na koźle powozu, którym hrabia Devane odwiózł jej panią pierwszej nocy po przyjeździe do miasta. Był to więc powóz jego lordowskiej mości, a chłopak musi być służącym lorda. Dlaczego służący przyjechał tu ze swoim nędznym dobytkiem?

Noreen miała złe przeczucia. Zresztą już od kilku tygodni podejrzewała, że coś się święci. Gdy ledwie dojechali do Londynu i panienka Rachel uparła się, że natychmiast musi zobaczyć majora, Noreen była już pewna, że to coś poważnego. A kiedy przyszedł tu następnego ranka, czarujący niczym księżę z bajki, a jej pani zachowywała się jak debiutantką, marzącą o przyciągnięciu męskiej uwagi, Noreen pomyślała, że Windrusli zostanie odzyskane i wszystko będzie jak dawniej. Tak jak powinno być, gdyby jej pan nie zachował się jak głupiec. Potem drzwi trzasnęły tak, że o mały włos nie wypadły z zawiasów, a Noreen została wezwana przez swoją bladą jak kreda panią do posprzątania szczątek zegara i porcelanowych skorup.

Zdażyła jednak zauważyć, jak major patrzył na panienkę Rachel, a ona na niego... W jej oczach kryła się tęsknota...

Był bohaterem wojennym, a na dodatek lordem, jednak przede wszystkim pozostawał mężczyzną, wpływowym mężczyzną. Noreen pomyślała, że ktoś słabszy mógłby chcieć za wszelką cenę zagrać teraz na nosie kobiecie, która zrejterowała tuż przed ślubem i wystawiła go na pośmiewisko, okazać jej swą przewagę. Trudno byłoby zaprzeczyć, że major Flintę miał mnóstwo powodów, by sześć lat temu czuć się okropnie. Jeśli czekał na właściwy moment do rewanzu, to nie mógł wymarzyć sobie lepszej okazji. Skoro Windrush stało się jego własnością, a panienka Rachel była zdecydowana, że wesele siostry musi odbyć się w rodzinnym majątku, major mógł teraz rozdawać karty.

Noreen wiedziała jednak, że lord Devane jest szlachetnym człowiekiem i przestrzega zasad honoru. Pomyślała, że ona i pan Edgar Meredith mają z sobą coś wspólnego: łączy ich głęboka wiara w szczerą intencję i dobroć Connora Flinte. Człowiek tego pokroju nie mógł skrzywdzić kobiety, którą kiedyś kochał. Noreen była gotowa dać za to głowę.

- Twoja pani na nas czeka - oznajmił z dumą Sam, chcąc rozwiać wątpliwości Noreen. - Lord Devane zapewniał, że rozstaliśmy przyjęci.

Delikatnie pociągnął za rękę dziewczynę, która się za nim chowała.

- Jestem Sam Smith, a to jest moja siostra Annie. Przedstawię cię Noreen, Annie...

- Nie pozwalaj sobie na takie zuchwalstwa! Skąd wiesz, Jak mam na imię? - ofuknęła go Noreen.

- Twoja pani tak się do ciebie zwróciła - wyjaśnił, naśladowując jej akcent. - Panna Meredith powiedziała do ciebie "Noreen", kiedy byłem tu ostatnio z listem od mojego pana .. byłego pana. - Dumnie wypiął pierś, udając, że wcale nie martwi się utratą posady.

Noreen zarumieniła się na wspomnienie jego wizyty rzed tygodniem. Dobrze pamiętała, jak się z nią wtedy droczył.

- Dla ciebie jestem panną Shaughnessy. Coś okropnego, taki z ciebie łobuziak. Jesteś niezdolny jak dziecko!

Kilka dni temu Noreen robiła, co mogła, by ukryć prawdziwe uczucia, gdy panienka Rachel powiadomiła ją, że zamierza przyjąć dwie osoby na służbę. Noreen była wtedy urażona, a zarazem poczuła ulgę. Miała za dużo pracy. Vera i Bernard Grimshaw, starzy służący, którzy doglądali domu, gdy rodzina przebywała poza Londynem, nie na wiele się już mogli przydać. Bernard cierpiał na artretyzm i ledwie się ruszał, a Vera była głucha jak pień i tak gruba, że po przygotowaniu posiłku nie miała już sił na inne prace. Wszystko to oznaczało, że Noreen harowała od świtu do zmierzchu, a bywało, że znacznie dłużej.

Nigdy jednak nie przyszłoby jej do głowy, że ten zuchwalec zostanie jej kolegą w Beaulieu Gardens. Wydawał się jej zbyt duży i niezgrabny, by dobrze pracować, natomiast chowająca się za nim siostra sprawiała wrażenie osoby równie przydatnej jak gruba Vera, jeśli chodzi o rozpalanie ognia w kominku czy szorowanie schodów. Noreen chciałaby zobaczyć twarz dziewczyny osłoniętą rondem kapelusza. Nie wiedziała, czy ta młoda osoba jest bardzo słaba, zmęczona czy onieśmielona. Pomyślała jednak, że skoro najęła się tu do pracy, będzie musiała się wykazać.

Sam zauważył krytyczne spojrzenie Noreen i uśmiechnął się blade. Kobiety nigdy nie lubiły Annie. Biedna dziewczyna nie musiała niczego mówić ani robić, żeby im się narazić. Nienawidziły jej za sam wygląd.

- Przywitaj się z panną Shaughnessy, Annie - zwrócił się do niej Sam, unosząc jej podbródek, by zaspokoić ciekawość Noreen.

Siostra posłusznie spełniła jego prośbę.

Noreen szeroko otworzyła oczy, oczarowana urodą tej smutnej dziewczyny. Po chwili jednak zakiełkowało w niej podejrzenie.

Dziewczyna miała niezwykle urodziwą, bladą twarz. Pasemka włosów, które wymknęły się spod kapelusza, lśniły jak mocna sherry. Ogromne piwne oczy co chwila znikwały pod długimi czarnymi rzęsami. Sam również miał kasztanowe włosy, jednak na tym wszelkie rodzinne podobieństwa się kończyły. Miał szare oczy i skórę lekko tylko usianą piegami, co akurat świadczyło na jego niekorzyść. Dlaczego jego piegów prawie w ogóle nie było widać, podczas gdy Noreen była nimi obsypana jak indyjskie jajo?

- To twoja siostra, tak? - rzuciła szorstko w stronę

Westchnął, słysząc niedowierzanie w jej głosie, i otoczył Annie ramieniem. Przedstawił referencje, które tego dnia napisał Joseph Walsh, oczywiście na prośbę lorda Devane'a.

- To moja siostra - uciał. - Powiedz swojej pani, że już przyjechaliśmy.

Sposepniała Noreen spełniła jego prośbę.

Na szczęście Rachel nie musiała się wysilać, by miło przyjąć parę służących, podesyłanych jej przez śmiertelnego wroga. Bała się, że może mieć ochotę na wyładowanie na nich złości. Jednak gdy weszli do salonu, używanego przed południem, zawstydziała się. Myśl o tym, że ta zalężniona, nerwowa dziewczynka mogłaby być kochanką wytwornego lorda Devane'a, wydała jej się niedorzeczna. A przecież oskarżyła Devane'a o perwersyjne zainteresowania!

Włoska sopranistka ochryplaby chyba ze śmiechu, gdy-by ktoś jej powiedział, że ta nieobyta służąca mogłaby być jej rywalką.

Annie, choć piękna, była bardzo nieśmiała. Brat był dla niej wszystkim, całym światem. Gdy Noreen prowadziła ich na spotkanie z Rachel, Annie trzymała go za rękaw. Teraz też stała w cieniu brata, ściskając, jak talizman, kawałek ciemnej tkaniny jego kurtki i co chwila patrzyła, na Sama, najwyraźniej szukając otuchy. Od czasu do czasu zerkła na Rachel, wzdrygając się, kiedy ich spojrzenia się spotkały, jakby spodziewała się ciosu lub mocnego słowa. Zauważywszy, że Annie znów na nią patrzy, Rachel uśmiechnęła się serdecznie, co przeraziło dziewczynę tak, że schowała się za brata.

- Twoja siostra jest bardzo... nerwowa. Czy ja ją onieśmielam?

- Annie boi się wszystkich kobiet, milady.

- Dlaczego? - zapytała Rachel, szczerze zdumiona.

Sam poczuł się skrepowany. Nie powinien pozwalać sobie na wypowiedanie gorzkich słów przy tej damie. Zdobył się jednak na szczerość.

- Bo ich mężczyźni lubią na nią patrzeć...

Rachel przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, po czym przeniosła wzrok na bladą twarz dziewczyny. Być może okazała się naiwna i zbyt pochopnie uznała, że ta młoda istota nie stanowi zagrożenia dla innych kobiet. Sam mówił na podstawie doświadczenia.

- Czy to znaczy, że twoja siostra przyciąga uwagę mężczyzn? I że kobiety jej za to nie lubią? Obwiniają Annie? - zapytała łagodnie, świadoma, że chłopak zapewne żałuje szczerości.

Sam uśmiechnął się gorzko i poklepał dłoń siostry, kurczowo trzymającej się jego ramienia.

- Tak, milady - powiedział ostrożnie. Popatrzył na Rachel i pomyślał, że lada chwila i ona zacznie coś podejrzewać. Nie cierpiał lorda Devane'a za odebranie mu złudzeń i marzeń, musiał jednak uczciwie przyznać, że gdyby nie

Annie zapewne byłaby już kochanką Arthura Goodwina. A potem, kiedy sędzia pokoju by się nią znudził... jaki los by ich czekał?

Wszystko to była jego wina. To on, jej brat, naraził ją na niebezpieczeństwo grożące jej teraz ze strony tego tłustego wieprza. Stracił panowanie nad sobą w dniu kolizji powozów i niepotrzebnie zwrócił na siebie uwagę. Gdyby nie to, Arthur Goodwin zapewne nigdy by się nimi nie zainteresował. Sam postanowił powiedzieć prawdę na temat Devanea tej kobiecie, którą jego były pan kochał. Potem nigdy już nie pomyśli ani o nim, ani o wilczarzach, ani o rozpoczęciu nowego życia w Irlandii.

- Lord Devane był dla nas bardzo miły i dobry. Annie nabiła go. Ja też. Chętnie byśmy u niego zostali.

Rachel nie poczuła się urażona deklaracją, że Sam i jego siostra woleli Berkeley Square od Beaulieu Gardens. Prawdę mówiąc, byłaby zadowolona, gdyby zostali na służbie u Devane'a. Nie chodziło jej o osobiste porachunki z lordem. Martwiło ją, że nigdy nie stworzy młodym służącym takich warunków i możliwości, jakie miałiby u poprzedniego chlebodawcy.

Nie wiedziała, co przyniesie jej los, nie mogła więc zagwarantować im bezpieczeństwa. Sam potwierdził słowa lorda: Devane nie uwiódł Annie Smith, lecz chronił ją i jej brata. Z tego, co mówił Sam, domyśliła się, że jacyś zbrodniecy nękali jego siostrę, chcąc wykorzystać ją do swych podłych celów. Wiadomość o wspaniałomyślności Connora i jego troskliwej opiece nad Smithami zaniepokoiła Rachel. Ostatnio potraktował ją haniebnie, wiedziała jednak, że dawniej był człowiekiem honoru. Rzeczywiście był wspaniałym młodym majorem, choć teraz mówił o tym kpiącym tonem. To ona sprawiła, że pożałował swojej dobroci.

A przecież kiedyś była w nim zakochana.

Gdy byli zaręczeni, wystarczyło, że na niego spojrziała, a już miękły jej kolana, a serce zaczynało bić w przyspieszonym rytmie.

Jednak po kilku miesiącach, w czasie których częściej przebywał w towarzystwie jej ojca, zaczęła uważać Connora za nudziarza. Ojciec twierdził, że jej narzeczony jest wspaniały. Cudowny towarzysz... Wkrótce będzie jego synem. .. Będzie mógł chwalić się nim przed kolegami... Rachel czuła się urażona z powodu nieobecności Connora. Zaczęła nawet przypuszczać, że jest słaby i uległy.

Zła, że narzeczony tyle czasu spędza z ojcem, zaczęła robić Connorowi wymówki, jednak nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi. Ostentacyjnie flirtowała z innymi mężczyznami - przyjmował to ze spokojem. Nie było jej w domu, gdy przychodził, by zabrać ją na umówioną przejażdżkę po parku lub na wizytę u przyjaciół - uśmiechał się wyrozumiale. Marzyła o namiętym, energicznym kochanku, tymczasem całował ją niemal jak siostrę, a pieścił ostrożnie, bojąc się jej uchybić. Nie chciała pięknej męskiej wydmuszki, pozbawionej autentycznych emocji. Kokietowała innych mężczyzn i dręczyła go, pragnąc wywołać u niego zazdrość i pożądanie, którego nie byłby w stanie kontrolować. Była pewna, że to wszystko gdzieś w nim drzemie. Nie ustawała w próbach obudzenia w nim tygrysa. Connor był żołnierzem, oficerem odznaczonym, jak mówiono, za odważne wypadki na tyły wroga na półwyspie. Jednak trudno było w to uwierzyć, patrząc na jego rachowanie. Denerwowała ją jego skromność, kiedy leni-wie przeciągając słowa, próbował przekonać wszystkich, że zupełnie przypadkiem znalazł się w centrum wojennych zdarzeń. W końcu uznała, że jej narzeczony jest zapewne łowcą posagów i bardziej interesuje się majątkiem, który kiedyś miał należeć do niej, a tym samym do jej męża, Co za ironia losu! Teraz miał Windrush, dumę i radość, i wcale nie chciał go zatrzymać. Nie potrzebował jej posiadłości, gdyż odziedziczył znacznie bardziej okazałą.

Jak na ironię, kiedy potrzebowała jego wyrozumiałości i szacunku, odkrył przed nią gwałtowną stronę swej natury. Okazywał jej teraz pogardę albo gniewne pożądanie. wciąż jednak musiał w nim drzemać troskliwy, łagodny mężczyzna, skoro zapewnił byt tym dwojgu młodym ludziom. Tęskniła za Connorem. Gdyby tak potrafiła stworzyć sobie ideał z różnych cech jego charakteru, może znów by się w nim zakochała.

Przeraziła się własnych myśli, co musiało uwidocznić się na jej twarzy. Sam i jego nieśmiała siostra przyjrzeni się jej zdziwieni. Szybko zmusiła się do opanowania.

- Umiesz obchodzić się z końmi, Samuelu? - zapytała szybko, przebiegając wzrokiem referencje od Josepha Walsh. Zastanawiała się, czy Connor musiał odgrywać farsę z referencjami, skoro i tak zgodziła się przyjąć tych dwoje na służbę. Jednak Devane zadbał o pozory, mimo iż twierdził, że plotki nic a nic go nie obchodzą, jako że wkrótce zamierza wyjechać do Irlandii. Czyżby miał na względzie reputację Rachel?

- Tak, milady. Mogę pracować i w stajni, i w kuchni. Joseph Walsh - skinieniem głowy wskazał list - uczył mnie usługiwania do stołu.

- A Annie? - Rachel popatrzyła na dziewczynę, która tym razem zerknęła na nią spod swych wspaniałych rzęs. - Tu jest napisane, że dobrze sobie radziłaś jako pomywaczka i że wykonywałaś robótki na zlecenie gospodyni.

Otrzymawszy lekkiego kuksańca od brata, Annie wyszeptała:

-Tak, milady.

- To dobrze. Potrzebujemy wszechstronnych i sumiennych służących w Beaulieu Gardens - powiedziała nowa pracodawczyni. - Noreen zaprowadzi was do kuchni i przedstawi służbie. Możecie się posilić, a potem Noreen pokaże wam, gdzie będziecie spać. O pierwszej zaczynacie pracę. Ralph Turner, stangret, przydzieli wam prace w stajni lub w ogrodzie, a Noreen - prace w domu i będzie waszą bezpośrednią przełożoną.

Rachel nagle poczuła zmęczenie; miała ochotę zostać sama ze swymi myślami. Nie była w stanie radzić sobie w tym dniu z ewentualnymi konfliktami wśród służby. Postanowiła więc zignorować wyzywające spojrzenie, jakie irlandzka służąca rzuciła młodej dziewczynie.

Samotność Rachel nie potrwała długo. Już o drugiej zasiadła w salonie z Lucindą. Nie była zaskoczona tą wizytą, a nawet spodziewała się jej wcześniej. Minęło już kilka dni, odkąd wyszła z Connorem z jego gabinetu w podłym nastroju.

Wiedziała, że przyjaciółka z niecierpliwością czeka na wyjaśnienie, co było powodem ochłodzenia stosunków między Rachel a Connorem. Prawdopodobnie zaciekawienie Lucindy potęgował fakt, że jego lordowska mość miał wtedy ślad po uderzeniu w policzek.

Paul Saunders uniemożliwił żonie zadawanie pytań w drodze powrotnej do domu. Ilekroć Lucinda pochylała się ku Rachel, by czegoś się dowiedzieć, jej mąż rozpoczynał rozmowę na temat pięknej muzyki towarzyszącej przyjęciu albo wspaniałych potraw podanych tego wieczoru. Konsekwentnie ignorował błagalne spojrzenia żony : tak Rachel znalazła się w Beaulieu Gardens, nie dzieląc się z przyjaciółmi bulwersującymi wiadomościami o tym, co zaszło pomiędzy nią a lordem Devane'em. Teraz jednak czuła, że Lucinda nie da jej spokoju, dopóki się nie dowie, dlaczego Connor tak wtedy nalegał na rozmowę w cztery oczy.

- Odwiedziłabym cię już wczoraj, ale było mi trochę duszno. Mam wrażenie, że dzidzius szuka sobie wygodnego miejsca w moim brzuszku albo trenuje akrobacje. -Masując brzuch, wygodniej rozsiadła się w fotelu. - Mam nadzieję, że uda mi się namówić cię na plotki. Na pewno wiesz, że umieram z ciekawości...

- Przynieś nam herbatę, Noreen - przerwała szybko Rachel, zauważywszy, że służąca stoi przy drzwiach i waha się, czy powinna pomóc małemu Alanowi w zbieraniu zabawek z podłogi.

-Tak, milady.

Ledwie za Noreen zamknęły się drzwi, Lucinda powróciła do tematu.



- Kiedy Connor zaprosił cię na rozmowę, pomyślałam, że zapewne będzie chciał ci się oświadczyć. Paul powiedział jednak, że Connor może zaproponować co innego. Wiem, że jestem nazbyt wścibska, Rachel, ale przecież jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Poprosił cię o rękę? Znow go odrzuciłaś? To dlatego oboje byliście tak... tak... ?

- Rozgoryczeni? - podsunęła Rachel. Nie wiedziała, czy powinna mówić Lucindzie o haniebnym zachowaniu Connora. Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Wszyscy wiedzieli, że kiedyś został okrutnie potraktowany przez Rachel. Teraz najwyraźniej chciał wyrównać rachunki; upokarzał ją, kusząc możliwością zwrotu aktu własności Windrush. Nie powinna więc mieć oporów, by wyjawić prawdę.

- Istotnie złożył mi propozycję, tyle że nie małżeńską. Wystarczy powiedzieć, że zmieniłam zdanie na temat statusu utrzymanki. Uważam, że nie ma w tym nic atrakcyjnego. Nie powinnam była wtedy tak mówić o Philipie Moncurze, nawet w żartach, bo to porządny człowiek. No cóż, obawiam się, że mówienie i robienie głupstw to moja specjalność.

Lucinda, nie kryjąc oburzenia, zapytała:

- Lord Devane zaproponował ci, żebyś została jego kochanką?

- Jeśli nawet, to nie na długo - odparła z przekąsem Rachel. - Jasno dał mi do zrozumienia, że wkrótce wraca do Irlandii. Odniosłam wrażenie, że wystarczy mu jedna noc. - Poczowała łzy pod powiekami. Szybko uśmiechnęła się do Alana, bawiącego się żołnierzykami, posadziła go sobie na kolanach i zaczęła głaskać po miękkich włoskach. - Pokazał mi akt własności Windrush - ciągnęła zduszonym głosem. - Leżał w szufladzie jego biurka... był na wyciągnięcie ręki. Powinnam była chwycić dokumenty i rzucić się do ucieczki. Zapewne tego oczekiwał i szybko udaremniłby tę próbę. On nie chce zatrzymać Windrush. Jeśli przystanę na jego propozycję, odda mi akt własności jeszcze przed swoim wyjazdem. W innym wypadku sprzeda posiadłość. Taki mam wybór. Wielki łaskawca!

Lucinda drgnęła, słysząc rozgoryczenie w głosie przyjaciółki. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w Rachel. Po chwili twarz Lucindy się wypogodziła.

- Jestem pewna, że to tylko okrutny żart – próbowała pocieszyć Rachel.

- Nie. On chce mnie ukarać. Wie, że nie mogę znieść myśli o tym, że obcy ludzie przejmą Windrush. To dziwne, ale dopóki majątek jest w jego rękach, nie tracę nadziei. Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo przeżył zerwanie przeze mnie zaręczyn. Wiedziałam, że to nie było miłe, ale... - Stłumiła gorzki śmiech. - Co za eufemizm. To oczywiste, że nie byłam dla niego miła. Nie wiedziałam tylko, że on naprawdę cierpiał z tego powodu. Nic dziwnego, że jego przyrodni brat Jason mnie nienawidzi. Jestem wręcz zaskoczona, że w tej sytuacji jego matka w ogóle chciała ze mną rozmawiać, a nawet była dla mnie bardzo uprzejma. Teraz już wiem, jak go to musiało przygnębić. - Zorientowała się, że nie powinna zdradzać tych wszystkich szczegółów. Dodała cicho: - Proszę cię, żebyś w tej chwili nikomu o tym nie mówiła. Po ślubie June i po wyjeździe Devane'a do Irlandii możesz powiedzieć Paulowi, jeśli cię będzie bardzo korciło.

- Nie powinnam była cię o nic pytać. Po co byłam taka wścibska? - Rozpromieniła się nagle i zmarszczyła nos.

-Jeśli Paul mnie teraz o to zapyta, udzielię wymijającej odpowiedzi. - Z czystym już sumieniem powróciła do tematu

-Teraz rozumiem, dlaczego go spoliczkowałaś. Nie mieściło mi się w głowie, że mogłabyś tak zareagować na oświadczyzny. Connor wydaje się dżentelmenem w każdym calu, jest taki... taki...

- Uczciwy? - podpowiedziała ironicznym tonem Rachel.

- Co teraz zrobisz?

- Oczywiście się zgodzę.

Lucinda aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Zgodzisz się?

- Tak, ale mam w zanadru pewien plan - odrzekła Rachel i poczuła ulgę. Nie powinna mieć wyrzutów sumienia z powodu tego planu, gdy w grę wchodzi dobro rodziny. - On nie wygra tej potyczki - wyjawiała. - Gdyby obraził tylko mnie, może nawet uznałabym to za zasłużoną karę. Na szczęście June i William mogą wziąć ślub w Windrush; mam na to jego pisemną zgodę.

-Wzięła głęboki oddech, by uspokoić skołatane nerwy.

- Myślałam, że potem będę mogła tam mieszkać z rodzicami i Sylvie. - Rozejrzała się po przytulnym salonie, patrząc na brokatowe zasłony, błyszczące w łagodnym popołudniowym słońcu. - June przeprowadzi się do domu Williama w Richmond, chociaż cały czas mówią o chęci kupna domu na wsi... - Urwała.

Żal jej było ojca. Wiedział teraz, że ośmieszył się w jej oczach. W swej naiwności zaufał człowiekowi, który na to nie zasługiwał. Czowała, że narasta w niej gniew.

- Co za łajdak! - wycodziła przez zęby. - Miał czelność powiedzieć mi, że ojciec celowo przegrał do niego Windrush, licząc na to, że w ten sposób nasze drogi znów się zejdą. Wyjaśnił nawet, że nie zamierza wypełnić planu ojca, który chciał, byśmy ponownie się zaręczyli. Ten wstręt-ny egoista śmiał się, że nie będzie żadnego szczęśliwego zakończenia. Tak jakbym uważała, że ten ewentualny mezalians można by uznać za możliwy. Poza tym on również lekceważy mojego ojca. Kiedy pomyślę o tym, że papa tak go lubił, co ja mówię, wciąż go lubi, zbiera mi się na płacz. Ojciec nie ma pojęcia, że Connor śmieje się z niego za jego plecami. Boże, gdzie jest ta Noreen z herbatą! - krzyknęła, zrywając się na nogi.

Otworzyła drzwi i zobaczyła służącą w drugim końcu korytarza, przy schodach prowadzących w dół, do kuchni. Rachel westchnęła. Zastanawiała się, co też mogło ją zatrzymać aż tak, że spóźniła się z wykonaniem polecenia akurat teraz, gdy Rachel tak bardzo potrzebowała chwili odprężenia przy herbacie.

Noreen postawiła imbryk na kuchni i szybko umieściła na tacy porcelanowe filiżanki i talerzyki, srebrne łyżeczki, cukiernicę i dzbanuszek ze śmietanką. Wykonując te czynności, ani razu nie podniosła głowy. Mocno zaciskała usta, by powstrzymać drżenie warg, i mrugała, żeby się nie rozplakać. Nie było jej smutno. To tylko złość, wmawiała sobie, gdy pieczenie pod powiekami stało się nie do zniesienia. Szybko otarła oczy wierzchem dłoni.

Siedzący w końcu sosnowego stołu Sam Smith odłożył srebrny widelec, który przed chwilą doczyścił do połysku, i sięgnął po łyżkę. Obrócił ją w palcach, spoglądając z ukosa na Noreen. Jeśli nawet zdawała sobie sprawę z jego obecności, nie dała tego po sobie poznać. Popatrzyła na imbryk. Sam czuł, że Noreen marzy teraz o tym, by woda jak najszybciej się zagotowała, a ona mogła zalać herbatę i wyjść z kuchni.

- Vera i Bernard wyszli do jej siostry. Podobno bardzo źle się czuje. Vera wróci tu, żeby przygotować obiad. Annie posprzątała salon i bawialnię. Powiedziałem jej, żeby zaczęła sprzątać pokoje na piętrze.

Noreen pokiwała głową. Była w rozpacz. „A to mi jaśnie pan” - wymamrotała pod nosem, czując ucisk w gardle. Potwór! Diabeł wcielony! Dobrze, że się o tym dowiedziała.

Gwałtownie chwyciła parszający wodą czajnik i krzyknęła z bólu. Wrzątek prysnął jej na rękę.

Sam wstał ze stołka i podszedł do Noreen.

- Pokaż, co sobie zrobiłaś...

Noreen cofnęła dłoń.

- Nie dotykaj mnie! Miałam już gorsze poparzenia...

Chwycił jej dłoń, jednocześnie odpychając jej drugą ręką. Oparzony kciuk przybrał czerwoną barwę. Sam zauważył, że wargi Noreen drżą.

- Rzeczywiście, nic poważnego, miałaś rację - powiedział, - W każdym razie nie ma powodu do płaczu. Dostałaś kiedyś burę od swej pani?

Popatrzyła na niego zamglonym wzrokiem.

- Nie, ale ty dostaniesz, jeśli nie przestaniesz tyle gadać i nie będziesz trzymał rąk przy sobie.

Sam wrócił na swoje miejsce przy stole, uniósł łyżkę i zaczął ją wolno polerować.

- Jesteś kwaśna jak ocet, Noreen Shaughnessy. Co się stało, że jesteś w tak złym humorze? Straciłaś ukochanego?

Noreen przeszła go morderczym spojrzeniem, a po chwili wybuchnęła histerycznym śmiechem.

-Typowy mężczyzna. Myślisz, że jeśli kobieta się martwi, to na pewno dlatego, że porzucił ją narzeczony. Nie potrzebuję mężczyzny. Nigdy nie potrzebowałam. I nie życzę sobie współczucia ze strony jakiegoś młokosa!

-To nie jest żadne współczucie młokosa - bronił się Sam. Przyjrzał się błyszczącej łyżce i nie uniósł wzroku, gdy Noreen popatrzyła na niego zaczerwienionymi od łez oczami.

-A więc masz ukochanego, który czeka na ciebie w Hertfordshire. Windrush to posiadłość Meredithów, prawda?

- Była posiadłość - odpowiedziała Noreen z goryczą. Mam nadzieję, że nie jest jeszcze bezpowrotnie utracona, pomyślała.

Wiedząc, że Sam bacznie ją obserwuje, dodała szybko:

- Mam tam siostrę. Jeśli chcesz wiedzieć, siostrzane uczucie w zupełności mi wystarcza. Jestem z nią bardzo związana. - Uniosła tacę, dając do zrozumienia, że rozmowę uważa za zakończoną.

- Jak ma na imię?

- Mary.

- Jest od ciebie młodsza?

Noreen nie odpowiedziała; mruknęła tylko coś pod nosem, wyraźnie zniecierpliwiona.

- Masz z nią kłopoty?

- A co cię to obchodzi?

- Nic. Moja siostra sprawia mi mnóstwo problemów.

- Wiedz, że moja siostra nie kręci pupą przed mężczyznami, jeśli ubrdałeś sobie, że są podobne.

- Moja też nie - odpowiedział lodowatym tonem Sam.

- Myślisz, że jestem głupia? - warknęła Noreen. - Ten podły łajdak ją wyrzucił, bo pewnie się w nim zakochała.

Przysłał was tu, żeby nikt nie widział, jak Annie traci swą zgrabną figurę i rośnie jej brzuch,

- Mylisz się. Annie nie jest w ciąży, a lord Devane nie jest łajdakiem. To dobry człowiek.

- Naprawdę? - wycodziła Noreen. - To się okaże. - Odwróciła się, zamierzając odejść. - Szkoda, że Annie nie jest prostytutką. Może wtedy lepiej by wam się wiodło.

- Jak możesz tak mówić! - wybuchnął Sam. - To uczciwa dziewczyna. Zadbam o to, żeby zawsze tak było, by miała co jeść i w co się ubrać.

- Gdzie mieszkają wasi rodzice?

- Nie żyją.

- Moi też nie.

- Tak myślałem. Masz bliskich oprócz Mary?

- Interesujesz się moim drzewem genealogicznym? - zapytała złośliwie.

- Nie. Nie chcę też zajrzeć ci pod spódnicę, jeśli tego się obawiasz.

Noreen z impetem odstawiła tacę na stół, zaczerwieniona po czubki uszu. Oburzenie odebrało jej mowę.

- No tak. Teraz już jestem pewien, że tak myślisz. Uważasz, że chcę cię pościć, Noreen Shaughnessy? Wybacz, że będę brutalnie szczery, ale gdybym chciał się z kimś przespać, poszedłbym prosto do domu rozpusty i wybrał kobietę, która nie jeży się jak kot, kiedy na nią patrzę.

Noreen szybko poprawiła ustawienie filiżanek i spodków na tacy i wytarła rozlaną śmietankę.

- W takim razie tam idź. Znajdź sobie dziewczynkę do zabawy. Nigdy nie dorośniesz do tego, żeby zadawać się z prawdziwą kobietą. Żaden z ciebie mężczyzna. Jesteś dzieckiem.

Sam roześmiał się.

- Gardzę mężczyznami, którzy lubią małe dziewczynki, i podoba im się Annie. Na samą myśl o nich robi mi się niedobrze. Tylko że Annie nie jest małą dziewczynką. Sądzę, że pod wieloma względami jest starsza od ciebie. Widziałem cię jakiś czas temu i patrzę na ciebie teraz. Jesteś dla mnie stworzona, chociaż nie wiem, dlaczego jestem tego taki pewny. A ja jestem mężczyzną dla ciebie, Noreen Shaughnessy, i dobrze o tym wiesz.



## Rozdział trzynasty

*Przypuszczam, że masz już upatrzone miejsce na sfinalizowanie naszej umowy. Proszę, daj mi znać, kiedy i gdzie ma się to odbyć. Nie chcę wydać Ci się zbyt niecierpliwa, ale czy mogłoby to nastąpić jak najszybciej? Byłabym bardzo wdzięczna, choćby dlatego, że przyspieszyłoby to mój powrót do domu i Twój wyjazd do Irlandii.*

Connor ponownie przebiegł wzrokiem linijki schludnego damskiego pisma. List zionął nienawiścią. W każdym zdaniu kryła się głęboka pogarda, widoczna także w braku formuły powitalnej i podpisu - Rachel nie opatrzyła listu choćby inicjałami. Uważała, że nie zasłużył na to, a jednak zdecydowała się ustąpić.

Złożył list, uroczyście wniesiony na srebrnej tacy przez Josepha Walsha, i roześmiał się z groteskowości sytuacji. Rozsiadł się w fotelu i zamknął oczy.

- Co cię tak bawi?

- Nic.

Jason Davenport, który leniwie przechadzał się po pokoju, przystanął przy kominku i popatrzył na obraz przedstawiający irlandzkiego wilczarza. Rozluźnił fantazyjnie związany fular, chcąc ochłodzić spoconą szyję, i przeniósł wzrok za okno. Chociaż było późne majowe popołudnie, na dworze panowała duchota. Gwałtownie nalał sobie szklaneczkę whisky.

- W takim razie tylko pięćset... do następnego miesiąca, kiedy dostanę uposażenie.

- Nie.

- Jesteś cholernym skąpcem. Wiem, że wczoraj wieczorem wygrałeś tysiąc pięćset funtów u Whitea. Harley mi powiedział. Wciąż nie może ochłonąć po tym, jak przegrał do ciebie majątek Meredithów.

- Wiem - mruknął Connor, patrząc na brata znad złożonych dłoni.

- Czy to Harley puścił plotkę, że sypiałeś z tą Smithówną? - zapytał z pozorną obojętnością Jason.

- Nie, ale zadbał o to, żeby się rozniosła.

- Gdzie ich ukryłeś? Już od paru dni nie widzę u ciebie słodkiej Annie ani jej brata. - Jason wykrzywił się. - Boże! Mam nadzieję, że w tych plotkach nie ma ani cienia prawdy, Con. Chyba nie umieściłeś jej gdzieś w Cheapside? Przecież to jeszcze dziecko. Gdyby za parę lat wyglądała równie uroczo, sam bym się nią zainteresował.

Connor zacisnął dłonie na krawędzi biurka i wstał.

- Jason, zrób mi przysługę i zejź mi z oczu, bo będę musiał wykopać cię za drzwi.

- Trzysta? - Jason szybko zmienił temat, głuchy na prośbę przyrodniego brata. - Jak mogę pokazać się w Palm House z paroma funtami? Wyjdę na idiotę, jeśli od razu zastawię ruchomości.

Connor wzruszył ramionami i zapatrzył się na ogród.

- Myślę, Jason, że niesłusznie uważasz mnie za osobę, której zależy na tym, żebyś nie utracił wiarygodności.
- Zmierzył brata spojrzeniem niebieskich oczu. - Chyba nie powiesz mi, że znów prosiłeś ojca o pieniądze?

Jason wypił tęgi łyk whisky.

- Powiedziałem ci, że tego nie zrobię - wychrypiął, czując, jak alkohol pali mu przetyk. - Wiem, że twoje stajnie są przepelnione, ale mam bardzo ładny komplet srebrnych wiaderek na lód, wygrałem je w wista od Franka Cornwallisa. Wspaniale pasowałyby do tak eleganckiego domu jak ten. Są sporo warte, a ja sprzedam ci je za dwieście pięćdziesiąt. To prawdziwa okazja.

Connor uśmiechnął się. Zastanawiał się, czy ma wyrzucić brata z domu, czy poradzić mu, żeby upił się do nieprzytomności w towarzystwie chętnych kobiet.

Powrócił na fotel i powoli rozłożył list. Przeczytany po raz trzeci, nie poprawił mu humoru. Wrzucił pergamin do szuflady i zamierzał ją zamknąć, gdy jego wzrok padł na lśniący klejnot, leżący wśród dokumentów. Nie wyjmując go, delikatnie pogładził oszlifowany szafir. Nie wiedział, dlaczego wyjął pierścionek z pudełeczka i ciągle mu się przyglądał. Teraz starannie przywiązał go do czerwonej wstążki przy akcie własności Windrush. Uśmiechnął się, lecz po chwili zaklął pod nosem i zatrzasnął szufladę.

Pochylił głowę i wsunął palce we włosy. Co go opętało, żeby zaczynać tę sprawę, skoro nie wiedział, jak ją zakończyć, nie wychodząc na idiotę? Zresztą, jakie to miało znaczenie? Rachel już teraz nie mogła na niego patrzeć. Być może powinien ją zapytać, czy widzi jakieś rozwiązanie sytuacji; jak mogliby zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło, i żyć dalej tak, jakby nigdy się nie spotkali i nie wyrządzili sobie tyłu krzywd. Gdyby nie kolizja powozów, zapewne nie zobaczyłby Rachel i wrócił do Irlandii, nie myśląc o tej wrażliwej, a jednocześnie niezłomnej kobiecie. Uśmiechnął się. Zapewne ojciec Rachel dopilnowałby tego, by się spotkali. Był sprytny i dobrze znał swoją córkę. Znał również Connora.

Rachel zawsze była piękna i elegancka. Teraz w jej sposobie bycia pojawiła się pewna szorstkość, którą Rachel maskowała wrażliwość. Ci, którzy ją znali, wiedzieli, że wciąż nie może przeboleć utraty Isabel. Poruszyło to także Connora, któremu Rachel była kiedyś droższa nad wszystko.

Stała się niepopularna. Zbulwersowała towarzystwo, brutalnie odrzucając go jak kapryśne dziecko. Nie okazała potem skruchy, nie błagała o przebaczenie, nie okazywano się jej współczucia. Mimo że udawała, że nic jej to nie obchodzi, brak ludzkiej sympatii głęboko ją ranił.

W wieku dziewiętnastu lat była otoczona przyjaciółmi, zapraszana na niezliczone przyjęcia. Teraz przyjmowano ją w towarzystwie tylko ze względu na rodzinę, a jedynymi przyjaciółmi pozostali Saundersowie. Była bardzo samotna w tłumie. Wciąż miał przed oczami jej przerażenie i bezradność na schodach u Pembertonów. Ze wzruszeniem przypominał sobie, jak próbowała wtedy ukryć prawdziwe uczucia.

Rachel była zbyt dumna, by udawać, że zapomniała o doznanych przykrościach, o tym, że unikano jej towarzystwa. Oburzyła ją nienaturalna serdeczność ciotki Chamberlain. Connor wiedział, że ponosi winę za tamtą sytuację.

Gdyby wtedy nie towarzyszył Rachel, ciotka wciąż by ją ignorowała. Być może była narzeczona nie lubiła go również za to, że jest teraz wpływowym arystokratą, pieszczoszką dam. Nie wiedziała, że nie ma to dla niego żadnego znaczenia, i marzy tylko o tym, by zyskać jej szacunek... by ją mieć.

Tymczasem niegodziwie wymusił na niej pozwolenie na spędzenie z nią jednej nocy.

- Pewnie jesteś w takim podłym nastroju i rozczulasz się nad sobą z powodu tej blondynki, Meredith? - zapytał Jason, rozzuchwalony pod wpływem alkoholu, którego sobie nie żałował, i poirytowany faktem, że jego prośby o pożyczkę spotkały się z odmową.

Nie zdawał sobie sprawy, że Connor wstał, jednak aż za dobrze poczuł, jak jego dłoń zaciska mu się wokół szyi.

- Uważaj na słowa, Jason - wycedził Connor. - Posłuchaj: mam powyżej uszu ciebie i twojej rozrzutności. Twój ojciec jest poważnie chory, wpędzasz go do grobu swoim zachowaniem. A moja matka jest nieszczęśliwa, bo martwi się o zdrowie męża.

Gwałtownie puścił brata, widząc, że jego twarz robi się sina. Cofnął się i unióśł dłonie w przeproszającym geście.

- Po prostu uważaj na słowa, Jason. To wszystko.

Jason, który masował obolałą szyję, zaśmiał się nerwowo.

- Uspokój się, Con. Powiedziałem to, żeby cię rozzłościć. Na Boga, zrób to wreszcie! Zaręcz się z nią znowu, bo przecież tego chcesz, a ona jest już w tym wieku, że na pewno cię nie odrzuci.

Prawie już pusta karafka roztrzaskała się o palenisko z takim hukiem, że Jason pomyślał, iż jego brat trochę inaczej podchodzi do kwestii tych zaręczyn.

- Nigdy już się nie zaręczę - oznajmił Connor z diabelskim uśmiechem.

Jason cofnął się. W białej koszuli z podwiniętymi rękawami ukazującymi muskularne, śniade ramiona, z czarnymi rozwichrzonymi włosami i ostrymi rysami twarzy, Connor wyglądał groźnie jak ktoś przepełniony żądzą krwi.

Jason wzruszył ramionami. Chciał drżącą ręką poprawić Mar, lecz mu się to nie udało.

- Przykro mi - powiedział Connor. - Zawiązanie tak misternego węzła musiało ci zająć mnóstwo czasu.

Jason rozsypał węzeł.

- Strasznie tu gorąco - Uśmiechnął się, chowając fular do kieszeni. - To co, między nami zgoda?

Connor uśmiechnął się przyzwalająco.

- Może wybralibyśmy się do pani Crawford? Postaram się zapomnieć o Palm House, dopóki nie będę miał więcej gotówki.

- No jasne, po co miałbyś tam iść z paroma funtami, skoro dostaniesz pensję i będziesz mógł przegrać więcej - dogryzł mu Connor, podchodząc do okna. Zacisnął palce na parapecie i spojrzał na ogród.

- Nie rób mi wykładów umoralniających, Con. Nie masz do tego prawa. Boże, co ja słyszałem na twój temat. Co ty wyprawiałeś w wieku osiemnastu lat. Straszny był z ciebie bandyta - powiedział Jason, nie kryjąc podziwu.

- To wszystko prawda, ale nie masz już osiemnastu lat, Jason. O ile się nie mylę, masz dwadzieścia sześć.

- Idę do Cornwallisa - powiedział szybko Jason, nie zwracając większej uwagi na słowa brata. - Dziś o drugiej jakiś wspaniały koń biegnie na Epsom Heath. - Wyszedł z gabinetu przygaszony, ze zwieszoną głową. Jego brat był zakochany. Miłość! Zaklął pod nosem. Prędzej już przegra w karty wszystko, co posiada. Tam przynajmniej miał szansę na wygraną...

Przeszedł przez westybul. Jego kroki rozchodziły się echem na marmurowej posadzce. Znajdzie Cornwallisa i postara się wcisnąć mu z powrotem komplet wiaderka do lodu. Może sprzeda mu je okazyjnie, za dwieście funtów.

- Jak ci się mieszka w Beaulieu Gardens, Sam?

- Dobrze, milady, dziękuję.

Siedząca przy sekretarzyku Rachel popatrzyła na młodzieńca, którego wezwała do salonu. Sam stał przed nią pełen szacunku.

- Dobrze ci się pracuje?

- Tak. Noreen, to znaczy panna Shaughnessy, bardzo uczciwie przydziela zadania.

Rachel ze zdumieniem dostrzegła rumieniec na policzkach Sama.

- A twoja siostra, Annie, jest zadowolona?

- Nawet bardzo. Dobrze jej się układa z Noreen... z panną Shaughnessy...

- Noreen powiedziała, że Annie bardzo sumiennie wykonuje swoje obowiązki i że ma duże zdolności do robótek. Siostra Noreen również wspaniale sobie z tym radzi.

- Noreen jest szczególnie dumna z jej prac koronkarskich. Podobno robi ładniejsze koronki niż słynne Francuzki - dopowiedział Sam z uśmiechem i zaraz umilkł, zauważając, że jego pani sprawia wrażenie zaskoczonej.

- Noreen ma powody, by być dumną z Mary. Myślę, że jej opinia wcale nie jest przesadzona - stwierdziła Rachel, przypuszczając, że jej służąca miała zapewne na myśli prace wyniosłej madame Bouillon.

Była zadowolona, że powściągliwa zazwyczaj Noreen przyjęła nowych współpracowników na tyle serdecznie, iż nawet wtajemniczyła ich w sprawy rodzinne. Popatrzyła uważnie na Sama. Był z niego młody mężczyzna co się zowie, a chociaż miał jeszcze dziecinną twarz, mógł się podobać. Zapewne Noreen tak właśnie uważała... Rachel postanowiła nie bawić się w zgadywanki.

- W takim razie nie żal ci posady przy Berkeley Square?

- Nie aż tak, jak myślałem, milady.

- O ile sobie dobrze przypominam, wiozłeś jakieś beczki, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam. To chyba twój wóz szepił się kołami z dorożką przy Charing Cross?

- Tak, tylko że to był wóz wuja - poprawił odważnie Sam. - Dorożkarz chciał się przepchnąć i nie czekał na swoją kolej. Powiedziała mu to pani. Myślę, że wykazała się pani dużą odwagą, przeciwstawiając się temu obleśnemu... wielmożnemu panu Arthurowi Goodwinowi.

Rachel uśmiechnęła się.

- Widzę, że nie muszę zadawać ci następnego pytania. Chciałam zapytać, czy przypominasz sobie ten wypadek.

- Oczywiście. - Sam kiwnął głową. - Nigdy nie zapomnę tego dnia.

- Domyślam się, że to dlatego, iż spotkałeś tam lorda Devane'a. Czy potem sam go odszukałeś, żeby zatrudnił ciebie i Annie?

- Tak - przyznał z dumą Sam. - Nie będę ukrywał, że miałem nadzieję, iż go jeszcze kiedyś spotkam. Tego dnia pomyślałem, że to prawdziwy dżentelmen. Pomógł mi wtedy naprawić koło. Kiedy zobaczyłem, jak wychodzi z eleganckiego domu... - Sam zawahał się, przypominając sobie kobietę, która uwiesiła się wtedy Devane'owi u ramienia. Odchrząknął. - Zobaczyłem go i powiedziałem, że byłbym zaszczycony, mogąc mu służyć. Wiedziałem, że Annie będzie u niego bezpieczna. A potem nas zwolnił. - Przez twarz Sama przemknął cień smutku, jednak po chwili chłopak uśmiechnął się. - Jestem mu bardzo wdzięczny, że znalazł nam pracę u tak wspaniałej chlebodawczyni jak pani.



Rachel schyliła głowę, w ten sposób dziękując za komplement. Czowała się nieswojo, gdyż z początku wcale nie chciała zatrudnić Annie i Sama. Zastanawiała się, jak poprowadzić rozmowę, by wydobyć ze służącego to, co chciała wiedzieć na temat Devane'a.

- Pewnie musiałeś przyzwycząić się do tego, że w takim wielkim domu wszystko odbywa się według ustalonego porządku.

- Tak, milady.

Rachel uśmiechnęła się i okręciła złocisty lok wokół palca.

- Twój pan... lord Devane... zapewne dopasował twój porządek dnia do swojego. Czy przez większość wieczorów jadał obiad w domu? - zapytała jakby od niechcienia, rozglądając się dookoła.

- Tak mi się wydaje.

- Ale nie jesteś pewien? - Niezupełnie...

- A po obiedzie można go zastać w domu?

- Myślę, że tak, przez większość wieczorów... Ale nie w środy. W środy regularnie dość wcześnie wyjeżdżał z domu ze swoim bratem, panem Davenportem, w tym wspaniałym powozie.

- Środa... dzisiaj jest środa - zauważyła Rachel.

- Tak - potwierdził Sam, przyglądając się uważnie chlebodawczyni.

Zorientowała się, że służący zaczyna coś podejrzewać.

- Jestem zadowolona, że się tu zdomowiłeś - powiedziała szybko. - Chociaż nie jestem w stanie sama zaproponować ci stałej posady w Hertfordshire. Muszę to uzgodnić z moim ojcem. Jeśli zostaniesz zatrudniony, myślę, że będzie ci tam dobrze. - Uśmiechnęła się. - Dziękuję, Sam. Możesz wrócić do pracy.

Kiedy za Samem zamknęły się drzwi, Rachel mocno zacisnęła powieki. Dzisiaj! Jeśli w ogóle miała to zrobić, musi to stać się dzisiaj! W przeciwnym razie będzie musiała zaczekać tydzień, a na to nie może sobie pozwolić; powinna być już wtedy w Windrush. Zbliżał się dzień ślubu June i matka z pewnością zastanawia się, dlaczego Rachel tak długo nie wraca.

Connor miał już jej zgodę na spędzenie z nią nocy, musiała jednak jeszcze otrzymać odpowiedź co do miejsca i czasu spotkania. Wyobrażała sobie, że podobne schadzki odbywają się w odosobnionych miejscach poza miastem: w domkach myśliwskich lub w wiejskich gospodach. Z pewnością nie mogli spotkać się w wiadomym celu w którymś z ich domów. Wiedziała, że - zważywszy na jego bujną przeszłość- może liczyć na doświadczenie Connora w organizowaniu schadzek. Była pewna, że uwierzył w jej uległość. „Bardzo zależy ci na tym majątku, prawda?” - szydził z niej. Przystała na jego warunki, chcąc, by myślał, że ją pokonał. Zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni! Tego dnia zakończy grę raz na zawsze.

Znała już rozkład jego domu; wiedziała, gdzie znajduje się salon, biblioteka, gabinet... a także akt własności Windrush. Connor trzymał go w szufladzie biurka, otwieranej za pomocą klucza, leżącego na podstawce na kałamarz i pióra.

Znała też ochmistrza, a Joseph Walsh znał ją i wiedział, że lord Devane ją wyróżnia. Niezależnie od tego, co ochmistrz o niej myślał, traktował ją z szacunkiem należnym najbliższemu przyjacielom milorda. Devane emablował ją na wieczorku muzycznym u Pembertonów i na wydanym przez siebie przyjęciu. Widzieli to wszyscy obecni; powinno jej to teraz pomóc.

Zastanawiała się, czy kiedy wróci do domu z aktem własności Windrush, i powie, że jej były narzeczony ulitował się nad nią i oddał jej majątek jako prezent pożegnalny przed wyjazdem do Irlandii, zabrzmiałoby to przekonująco. Wiele szanowanych osobistości było świadkami tego, że szukał jej towarzystwa. Widzieli to też jego rodzice. Powiedział ciotce Phyllis, iż zamierza wkrótce wrócić do Irlandii; szybkie pozbycie się Windrush przed wyjazdem nie powinno więc w tych okolicznościach nikogo dziwić, podobnie jak nietypowe pożegnanie i okazana wielkoduszność. Connor był bogaty, majątek nie był mu potrzebny, a wszyscy, poczynając od jej ojca, a skończywszy na służących, usiłowali jej wmówić, że jest człowiekiem honoru. Zaśmiała się histerycznie. Jej plan był niezwykle prosty i właśnie dlatego miał wielkie szanse powodzenia.

- Dobry Boże! Powiedz mi jeszcze raz dokładnie, co mówiła - poprosiła Noreen, z niepokojem patrząc na twarz Sama.

Odciągnęła go na bok, z dala od Very, wałkującej ciasto na oproszonym mąką stole. Vera była zupełnie głucha, jednak Noreen uważała, że należy zachować ostrożność, by wiadomość się nie rozniosła.

Nigdy by nie przypuszczała, jak ważne okaże się zbieranie ołowianych żołnierzyków, które mały chłopiec porzucił w korytarzu w dniu, w którym pani Saunders przyszła na herbatę. Z początku żałowała, że podsłuchiwała wtedy rozmowę. Teraz była niezmiernie zadowolona, iż po chwili wahania zdecydowała się zostać pod drzwiami.

- Spokojnie - poprosił Sam, niemal podskakując z emocji. Położył spracowaną dłoń na ramieniu Noreen. - Panna Meredith chciała wiedzieć, kiedy lorda Devane'a nie będzie w domu. Oczywiście nie zapytała o to wprost. Próbowwała nawet sprawić wrażenie, że chce go tam zastać.

- Myślę, że chce, żeby nie było go w domu - powiedziała cicho Noreen.

„Powinnam była chwycić dokumenty i rzucić się do ucieczki. Zapewne tego oczekiwał i szybko udaremniłby tę próbę”. Te słowa rozchodziły się echem w głowie Noreen. Panienska Rachel chciała, żeby go nie było... żeby nie mógł jej przeszkodzić!

- Czy mogę ci zaufać? - Popatrzyła na Sama. W ciągu dwudziestu pięciu lat jej życia żaden mężczyzna nie traktował jej tak jak on, z zachwytem i szacunkiem, co sprawiało, że jednocześnie czuła się krucha jak szkło i silna jak wół.

- Jeśli musisz o to pytać, to znaczy, że nie możesz - odpowiedział krótko.

- Nie wiesz wszystkiego o naszej pani i tym niegodziwcu.

- Nie mów tak o nim. To dobry człowiek.

- Są rzeczy, o których nie masz pojęcia! Sama usłyszałam prawdę na jego temat, i to z ust panienski Rachel! - syknęła, rzucając podejrzliwe spojrzenie na starszą kobietę robiącą ciasto. - Tak więc zanim opowiem ci, co odkryłam, muszę wiedzieć, czy jesteś odpowiednim dla mnie mężczyzną, Samie Smith! Czy zaufasz mi, kiedy powiem ci prawdę? Czy zrobisz to, o co cię poproszę? Bo jeśli ona planuje to, co myślę, i to się nie powiedzie... Matko Boska! Wszystko przepadłoby na zawsze. Panienska Rachel byłaby bardzo nieszczęśliwa... ona i jej siostry. A przecież panienska June wkrótce wychodzi za mąż.

Zapadła przedłużająca się cisza. Noreen patrzyła na Sama błagalnym wzrokiem, lecz chłopak nie mógł się zdecydować. I kiedy w końcu Noreen zamierzała odejść, padła odpowiedź.

-Tak.

- Panna Meredith!

Gdy wytwornie ubrana blondynka uśmiechnęła się i schyliła głowę w powitalnym geście, Joseph Walsh natychmiast wprowadził ją do holu. Poprzednim razem otrzymał reprimendę od swego pana za to, że nie był dość gościnnie dla tej kobiety, i nie chciał powtórzyć błędu, kazać jej czekać w westybulu.

Po tamtej dziwnej wizycie, kiedy panna Meredith przyszła tu rozczochrana i nastawiona bardzo wojowniczo, przeprowadził prywatne śledztwo na jej temat. Wiedział więc już, że panna Meredith i jego pan byli niegdyś zaręczeni, a sądząc po zachowaniu lorda Devane'a w jej obecności, Joseph wcale by się nie dziwił, gdyby wkrótce znów zostali parą. W tej sytuacji wolał się nie zastanawiać, dlaczego ta dama jeszcze raz zaryzykowała narażenie na szwank reputacji, przychodząc tu samotnie i bez uprzedzenia.

- Lord Devane poprosił mnie o spotkanie – oznajmiła wesoło panna Meredith, wprawiając ochmistrza w zdumienie. - Czy moi przyjaciele, państwo Saundersowie, już przybyli? - dodała, potęgując konsternację Josepha.

Ochmistrz zakaszłał i zmusił się do opanowania.

- Nie, panno Meredith. Nie sądzę, by pan spodziewał się ich wizyty - powiedział. - Lorda Devane'a nie ma w domu - oznajmił, przykładając palec do warg i unosząc siwe brwi, jakby się zastanawiał nad tym, czy aby czegoś nie pomylił. Nagle doznał olśnienia: prawdopodobnie wina leżała po stronie lorda Devane'a. Mógł zapomnieć o wcześniejszych ustaleniach. Mógł ulec namowom przyrodniego brata i jak w każdą środę udać się na hulankę. Wydawało się to tym bardziej prawdopodobne, że tego dnia obaj dżentelmeni, a nie tylko młodszy, wychodząc z domu o szóstej, byli na rauszu. Joseph widział, jak szybko odjeżdżali dwukółką.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć tej urodziwej kobiecie, która została wprowadzona w błąd dlatego, że lord Devane zapomniał, iż zaprosił ją i jej przyjaciół. Szybko przypomniał sobie, że umiejętność radzenia sobie w takich sytuacjach należy do podstawowych zadań ochmistrza służącego w domu lekkomyślnego arystokraty.

- Jestem przekonany, że niedługo wróci - zapewnił Joseph. Pomyślał, że jak najszybciej wyśle lokaja, by odwiedził prawdopodobne miejsca pobytu pana, szukając charakterystycznego powozu.

- Mogę zaczekać? - Rachel wskazała krzesło, na którym siedziała poprzednio. Miała wrażenie, że od tego czasu minęły wieki; tak wiele się wydarzyło.

- Zapraszam do różowego salonu. Proszę spocząć w wygodnym fotelu - poradził z troską Joseph. - To ulubiony pokój lady Davenport - oznajmił uprzejmie, prowadząc Rachel do drzwi pustym korytarzem. - Kiedy przyjadą państwo Saundersowie, poproszę, by dołączyli do pani. Tymczasem przyniosę herbatę.

-Nie, dziękuję. Nie rób sobie kłopotu, Joseph - powiedziała szybko Rachel. - Niedawno jadłam - dodała przepaszając. Jeśli jej plan miał się powieść, musiała zostać sama i nie mogła sobie pozwolić na to, by ochmistrz wrócił tu nie wiadomo kiedy.

Joseph skłonił się uprzejmie. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Rachel usiadła w wyściełanym różową tkaniną złoconym fotelu. Przez chwilę rozkoszowała się świadomością, że udało jej się tu wejść pod błahym pretekstem. Oby tylko Joseph nie wpadł w tarapaty za to, że mnie wpuścił, pomyślała.

Czuła, że poca jej dłonie zaciśnięte na poręczach fotela. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zdenerwowana. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Dziwiła się, iż ochmistrz nie zauważył jej stanu i nie zdemaskował jako oszustki. Wzięła głęboki oddech, usiłując opanować wewnętrzne drżenie.

Pomyślała, że chociaż nie powiedziała całej prawdy, wcale nie okłamała Josepha, twierdząc, że lord Devane prosił ją o spotkanie, a poza tym zapytała tylko, czy państwo Saundersowie już przybyli, nie mówiąc wcale, że się ich spodziewa.

Na szczęście Joseph był tym wszystkim tak zdezorientowany, że nie zapytał wprost, czy została zaproszona. Zrobiło jej się miło na myśl o tym, że ochmistrz wyraźnie uznał jej prawo do przebywania w tym domu. Było już powszechnie wiadomo, że lord Devane okazuje jej zainteresowanie.

Szybko rozejrzała się po kwadratowym salonie. Istotnie był śliczny, bardzo kobiecy, z ciemnoróżowymi zasłonami i meblami oraz puszystym kremowym dywanem na parkiecie, którego wąski pasek było widać tylko tuż obok boazerii. Meble z ciemnoczerwonego mahoniu na cienkich, długich nogach dopełniały wrażenia przytulności i elegancji.

Ochłonawszy z podziwu, postanowiła skupić się na czekającym ją zadaniu. Musiała uzbroić się w cierpliwość i dać Josephowi Walshowi czas na powrót do pracy. Potem zamierzała wyjść na korytarz. Miała tylko jedną szansę i nie mogła jej zmarnować.

Starannie dobrała strój na ten wieczór, wkładając ciemnoniebieską jedwabną suknię i okrywając ją czarnym koronkowym szalem. Miała nadzieję, że wkrótce zajdzie słońce; ciemność była jej sprzymierzeńcem. Nie chciała zostać zauważona w korytarzach. Nie mogła też jednak czekać, aż służący zaczną zapalać świece. Gdyby została przyłapana na krążeniu po domu, jej śmiała eskapada szybko by się skończyła.

Wołała nie wyobrażać sobie takiej ewentualności; musiała wierzyć w powodzenie akcji. Popatrzyła na zegar na ścianie. Dwadzieścia po ósmej. Na zewnątrz wciąż było dość widno, chociaż zniknęły już ostatnie promienie słońca. Był piękny wieczór; zza otwartego okienka dochodził ją śpiew kosów. Rozmarzona, zapatrzyła się na lekko kołysane wiatrem różowe aksamitne zasłony.

Szybko powróciła do rzeczywistości i zerwała się z fotela, bezszelestnie podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Dookoła panowała cisza; słyszała tylko swe szybkie tętno. Chwyciła masywną mosiężną gałkę i uchyliła drzwi o cal, potem o jeszcze jeden, o kolejny, aż mogła się upewnić, że westybul jest pusty.

Gdy była już jedną nogą na korytarzu, usłyszała odgłos kroków i męskie głosy. Szybko się cofnęła, zostawiając małą szparkę w drzwiach.

Joseph Walsh i lokaj w liberii, wyłoniwszy się niespodziewanie z głębi domu, szli w stronę drzwi frontowych. Lokaj wysłuchał dokładnych instrukcji Josepha, po czym kiwnął głową i wyszedł. Rachel domyśliła się, że ochmistrz, zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością swego pana, próbował powiadomić go o tym, że ma gości.

Przerażona, zamknęła drzwi i zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić.

Zanim lokaj ustali miejsce pobytu lorda Devane'a, powinno upłynąć trochę czasu. Musiała jednak natychmiast przystąpić do działania.

Odczekała, z duszą na ramieniu, kilka minut, by dać Josephowi czas na udanie się do kuchni, po czym znów uchyliła drzwi.

Myliła się! Joseph nie ruszył się z westybulu. Tym razem to, co zobaczyła, sprawiło, że krew odpłynęła jej z twarzy, a gwałtownie zaczerpnięty oddech uwiązał w gardle. Ochmistrz zamykał drzwi, wpuściwszy nowego gościa. Joseph dobrze go znał, jako że jeszcze niedawno byli kolegami z pracy.

Sam Smith i Joseph Walsh, miło sobie gawędząc, szli w stronę różowego salonu. Zajęci rozmową, nie zauważyli, jak Rachel zamyka drzwi.

Czekała w napięciu na chwilę, w której ucichnie odgłos kroków i drzwi zostaną otwarte. Nierówne uderzenia o marmurową posadzkę były coraz głośniejsze, po czym ucichły i oddaliły się. Rachel skamieniała na krawędzi fotela, z palcami wbitymi w brokatowe obicie. Bała się, że mężczyźni wrócą i wejdą do salonu.

Po kilku minutach spędzonych w absolutnej ciszy pomyślała, że Sam Smith mógł tu przyjść, by powiedzieć, że pod jej nieobecność coś stało się przy Beaulieu Gardens. Odrzuciła jednak tę możliwość jako nieprawdopodobną. Gdyby tak było w istocie, Sam i Joseph weszliby do różowego salonu. Poza tym służący nie wiedzieli, dokąd się wybiera. Nikt nie miał pojęcia, że Rachel jest teraz w rezydencji lorda Devane'a. Uznała, że im mniej osób będzie zaangażowanych w tę sprawę, tym lepiej. Przyjechała tu dorożką i zamierzała w ten sam sposób wrócić do domu z łupem.

Nie powinna się dziwić temu, że Sam Smith zdecydował się odwiedzić kolegę. Nie ukrywał przecież, że bardzo lubił pracę w tym domu. On i Joseph sprawiali wrażenie zaprzyjaźnionych. Sam służył teraz w Beaulieu Gardens, jednak po wykonaniu swych zadań mógł robić, co mu się żywnie podoba. To tylko zbieg okoliczności sprawił, że akurat dzisiaj zachciało mu się złożyć wizytę w domu, w którym jego nowa pani zamierzała dokonać kradzieży.

Popatrzyła na mahoniowy zegar. Była za piętnaście dziewiąta. Musi wykonać jakiś ruch, zdobyć się na odwagę i wypełnić misję albo stchórzyć i wziąć nogi za pas.

Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi i lekko je uchyliła. Wysunęła nogę na korytarz, lecz znów natychmiast ją cofnęła, ponieważ usłyszała niewyraźne męskie głosy dobiegające z głębi domu. Przestała wierzyć, że uda jej się kiedykolwiek wyjść z tego uroczonego salonu. Bliska hysterii popatrzyła na korytarz, lecz nie było w nim nikogo, choć w domu panowało coraz większe poruszenie; słychać było różne głosy, męskie i kobiece, aż w końcu zapanowała istna kakofonia dźwięków.

Do westybulu zbiegli się ze wszystkich stron lokaje w liberii. Dwie służące przemknęły obok uchylonych drzwi; Rachel poczuła prąd powietrza na rozpalonej skórze. Wśród wielu głosów rozpoznała irlandzki akcent Josepha Walsh'a i ostry cockney Sama Smitha.

Dopiero wtedy zorientowała się, dlaczego tak dobrze słyszy swego służącego. Został zatrzymany! Widziała go teraz, prowadzonego przez dwóch krzepkich lokajów. Joseph niemiłosiernie rugał Sama, wymachując rękami. W pewnej chwili zwinął dłoń w pięść i potrzęsął nią groźnie tuż przed nosem chłopaka.

Rachel szybko wymknęła się na korytarz i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Dlaczego wszyscy rzucili się na Sama? - taka była jej pierwsza myśl. Dlaczego nic nie może być proste? - to była myśl druga. Trzecia kazała jej ostrożnie się rozejrzeć. Niezależnie od tego, co zrobił Sam, zamieszanie, które wybuchło z jego powodu, było jej bardzo na rękę.

Wzięła głęboki oddech i popatrzyła na kłębiących się w westybulu lokajów w czarnych uniformach, po czym pomknęła w przeciwną stronę.



## Rozdział czternasty

- Panno Meredith! Szukałem pani. Rachel szybko odsunęła się od otwartej szuflady. Miała ochotę ją zasunąć, ale w ostatniej chwili się przed tym powstrzymała. Odruchowo ukryła za plecami pistolet, trzymając go w obu rękach. Na miękkich nogach odeszła od wielkiego mahoniowego biurka, żeby stawić czoło Josephowi Walshowi.

Joseph pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Zorientowała się pani, że w domu panuje zamieszanie, i przyszła sprawdzić, co się dzieje. Co za dziwny zbieg okoliczności, że znalazłem panią akurat tu, gdzie wszystko się zaczęło.

- Ja... rzeczywiście usłyszałam podniesione głosy. Naprawdę zaczęło się w tym pokoju? - Rachel udawało się zachować ton zwykłej rozmowy, choć w głowie miała gonitwę myśli.

Joseph podszedł bliżej; wyraz zatroskania złagodził jego ściągnięte rysy.

- Nic dziwnego, że się pani przestraszyła i przyszła sprawdzić. Ależ narozrabiał ten łobuz! Próbował uciec, ale Weeks i Crewe, moi dwaj najsilniejsi lokaje, już się nim zajęli. Nie musi się pani obawiać, że pod naszym dachem grasuje przestępca. - Nagle na twarzy Josepha odmalowało się przerażenie. - Wielkie nieba! Czyż to nie pani sama, panno Meredith, w swej dobroci zatrudniła Samuela Smitha i jego siostrę, kiedy stąd odeszli? A ja zaopatrzyłem ich na odchodnym w doskonałe referencje. Lord Devane będzie wściekły, kiedy się dowie, że przedstawił znajomemu takich zbrodniarzy. Chociaż nie powinienem zbyt pochopnie oskarżać tej dziewczyny. Ona mogła być uczciwa.

- Zbrodniarzy? Co masz na myśli? - spytała Rachel szeptem.

W jej głowie zaświtała przerażająca myśl. Odruchowo spojrzała na pustą szufladę, którą przeszukiwała na próżno. Już kiedy niepostrzeżenie weszła do pokoju, od razu wyczuła, że coś jest nie tak. Szuflada była niedomknięta, klucz tkwił w zamku, a w środku znajdował się jedynie pistolet, który bezmyślnie wyjęła, żeby sobie ułatwić sięgnięcie głębiej. Teraz broń tkwiła w jej schowanych za plecami dłoniach. Rachel nie mogła odłożyć pistoletu na miejsce, nie wzbudzając podejrzeń Josepha.

- Hrabia okazał Samuelowi Smithowi łaskawość, dając jemu i siostrze godziwe zatrudnienie, a ten łajdak odpłaca mu, wracając tu, żeby go okraść! Wszedł do domu, mówiąc, że chce zabrać jakieś ubrania zostawione przez siostrę. Muszę przyznać, że od razu wydało mi się to podejrzane, bo nie znaleźliśmy żadnych rzeczy Annie, choćby jednej zapomnianej pończochy. Pozwoliłem mu jednak wejść i zabrać to, po co przyszedł, cały czas uważnie go obserwując. Przyłapałem go, jak się wymykał z miejsca przestępstwa, wynosząc rzeczy należące do naszego pana.

Widząc, że panna Meredith pobladła, wyraźnie przestraszona nowiną, ochmistrz dodał ze współczuciem:

- Bardzo się pani przejęła i nic dziwnego. Pewnie się pani obawia, że pani własny dom nie jest już bezpieczny. Nawet teraz, kiedy tu rozmawiamy, jego siostra może się dobierać do pani kosztowności.

- Co zabrał?

Szybko rzucone pytanie mogło się wydać impertynenckie, ale towarzyszące mu westchnienie, które przypominało tłumiony szloch, jeszcze pogłębiło współczucie Josepha. Panna Meredith najwidoczniej była w szoku i miała wszelkie powody do obaw, skoro jedno z tego rodzeństwa nikczemników znajdowało się pod jej dachem, a wiadomo, do czego było zdolne takie złodziejskie nasienie.

-Smith miał w kieszeni dokumenty i pierścionek. Bardzo drogi pierścionek, zabrany stąd. - Joseph wskazał palcem na pustą szufladę. Kiedy jego wzrok również podążył w tamtym kierunku, Rachel szybko wykorzystwała okazję i przesunęła się w bok, uwalniając ścierpnięte dłonie od pistoletu, który wsunęła do swojej torebki.

- Pierścionek! - wychrypięła, kiedy już pozbyła się kłopotliwego obciążenia.

- Szafir otoczony brylantami. Wyjątkowo piękny - dodał ochmistrz, jakby wciąż porażony swym odkryciem.

- Gdzie one teraz są? Te skradzione rzeczy? - Rachel zadała pytanie stanowczo zbyt natarczywym tonem, ale panowanie nad głosem i ciałem chwilowo przekraczało jej możliwości.

Cała się trzęsła. Wargi jej zeszywniały, ledwie była w stanie nimi poruszać. W głowie kłębiło się tysiące pytań: skąd Sam się tam wziął i dlaczego ją uprzedził, wykradając dokumenty? Czy to możliwe, że zabrał także pierścionek, według opisu przedstawionego przez ochmistrza do złudzenia przypominający ten, który Connor dał jej podczas zaręczyn sześć lat temu? Czy Sam rzeczywiście był złodziejem? A może jego głównym celem był właśnie pierścionek, a dokument zabrał tylko dlatego, że akurat nawinał mu się pod rękę? Jak mogła się czuć w porządku? A ona sama? Przecież była gotowa popełnić kradzież! Gdyby Sam zostawił papiery w szufladzie, spróbowałaby je stamtąd zabrać. Złośliwość losu sprawiła, że zamiast tego wpadł jej w ręce pistolet.

Odpowiedź okazała się prosta i natychmiast uspokoiła jej wzburzony umysł. Sam nie był złodziejem, tylko aniołem stróżem. Była prawie pewna, że zrobił to dla niej, żeby ją chronić. Jakimś cudem odkrył jej plan i odważnie próbował ją ratować przed jej własnymi zamiarami.

Nagle do gabinetu wpadła przejęta służąca. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na piękną nieznaną kobietę i zwróciła się do swego przełożonego:

- Proszę mi wybaczyć, panie Walsh, ale pan Weeks mówi, że przyjechał konstabl i że sędzia pokoju zaraz tu będzie.

Ochmistrz odpowiedział kiwnięciem głowy, a dziewczyna dygnęła pośpiesznie i oddaliła się, szeleszcząc białoczarnym strojem.

Joseph uspokajająco wyciągnął rękę do Rachel.

- No proszę. Władze już przystępują do pracy. Widzę, jaka pani jest poruszona, panno Meredith. Wszystko będzie dobrze, zapewniam panią. Lord Devane wkrótce wróci i zajmie się tą sprawą. Smith został przyłapany na gorącym uczynku i musi zostać ukarany. Rzeczy, o które pani pytała, są w bezpiecznym miejscu. Stanowią dowody rzeczowe. - Przyjrzał jej się z troską. - Rozumiem, że pilno pani wrócić do domu, by sprawdzić, czy Annie Smith nie dobrała się do pani własności. Wystarczy, że powie pani jedno słowo, a któryś z moich ludzi natychmiast wezwie dla pani dorożkę.

Rachel próbowała się uśmiechnąć zdrewniałymi wargami, jednocześnie powstrzymując łzy rozczarowania, cisnące się pod powieki. Ryzykowała wszystko, tymczasem złośliwy los pozostawił ją z niczym. Na nic się zdał jej chytry plan, mogła jedynie wykorzystać okazję i uciec niczym zbity pies. Wyjechać, pozostawiając Sama w opałach, samotnego w obliczu nieuniknionej kary.

Connor miał wkrótce wrócić do domu. Domyśli się bez trudu, dlaczego jej niezapowiedziana wizyta zbiegła się z próbą wykradnięcia aktu własności Windrush. Będzie wiedział, dlaczego tak tchórzliwie uciekła. Czy będzie ją ścigał za współudział w przestępstwie? Zechce ją postawić przed sądem wraz z Samem? Czy po prostu wzgardzi nią za nikczemne knowania i nie oskarży jej z braku wystarczających dowodów? Może świadomość, że jej nieudolny podstęp został tak łatwo udaremniony, wystarczy mu za zemstę.

Zamrugła gwałtownie powiekami, żeby odgonić napływające do oczu łzy. Młody człowiek, który ledwie ją znał, narażał się dla niej. Wyrzuty sumienia zatrułyby jej życie, gdyby chociaż nie spróbowała ulżyć mu w niedoli. Nie miała wprawdzie pojęcia, jak się do tego zabrać, lecz wiedziała, że musi przynajmniej z nim pomówić, i spróbować go uwolnić.

- Chciałabym się zobaczyć z moim służącym Samuelem Smithem. Bardzo proszę, Josephie. - Ignorując zdziwione spojrzenie ochmistrza, Rachel z uniesioną głową wyszła z gabinetu.

- Możesz zostawić nas samych.

Konstabl zrobił taką minę, jakby chciał zaprotestować, ale władcze kiwnięcie palcem sprawiło, że posłuchał.

-Wyjdz. Muszę przesłuchać oskarżonego w cztery oczy. Zawołam cię, jeśli będziesz mi potrzebny.

Jeszcze raz obejrzawszy się przez ramię, policjant poczłapał holem do grupki służących, dla których niecodzienne wydarzenie stanowiło pewną rozrywkę, ociągali się więc z odejściem, korzystając z tego, że Josepha Walsh nie ma w pobliżu.

Sam Smith podniósł głowę, po czym znów ją pochylił i popatrzył na swoje skrepowane sznurem przeguby. Poruszył się niespokojnie na twardym drewnianym stołku, na którym usadzono go naprzeciw różowego salonu. Wszystkie lampy były zapalone; łagodny blask oświetlał przestrzeń za na wpół otwartymi drzwiami.

- Czy mam się czuć zaszczycony, że przyjechał pan osobiście, by mnie odstawić do aresztu? - spytał zaczepnie Sam.

- W istocie powinieś, młody człowieku - odpowiedział Arthur Goodwin głosem podobnym do szelestu urzędowej togi, w którą był odziany. Nie miał na głowie sędziowskiej peruki; łysina okolona jedynie po bokach mysimi włosami błyszczała w świetle padającym z kinkietów. - Oderwałeś mnie od kolacji, od dobrze zasłużonego odpoczynku w towarzystwie mojej drogiej małżonki. Ale nie jestem zły. Nie, nie. Przeciwnie, bardzo jestem rad, że spotykamy się w takich... sprzyjających okolicznościach. Słodki los przyłożył rękę do dzisiejszych wydarzeń - dodał z zadowoleniem, oddalając się o parę kroków. Odwrócił się, by z rozbawieniem popatrzeć na swoją ofiarę, jednocześnie obmyślając, jak najskuteczniej dawkować ból, który zamierzał zadać.

Ten młody człowiek złośliwie stawał mu na drodze, kiedy chciał zdobyć tę anielsko śliczną dziewczynę. Obrażał go, drwił z niego. Członek sądu królewskiego, mężczyzna cieszący się bogactwem i wysokim statusem, zaszczycił uwagę nędzną dziewczkę, a oni mieli czelność odrzucić jego opiekę! Znał ich powody: chcieli podbić cenę tej małej. Teraz ten smarkacz za to zapłaci! Ta mała o oczach łani także, kiedy ją w końcu posiadzie... Grubym paluchem otarł krople potu zbierające się nad wydatną górną wargą, myśląc o ulubionej rozrywce: brutalnym pozbawianiu dziewictwa niewinnych dziewcząt.



- Sesja niespodziewanie przedłużyła się do późna i dzięki temu miałem szczęście być jeszcze w sądzie, gdy Weeks przybył z wiadomością, że niejaki Samuel Smith został złapany na gorącym uczynku, kiedy okradał lorda Devane'a. Wiesz, jaka była moja pierwsza myśl w chwili wejścia do tej wspaniałej rezydencji? Wyrzekłbym się na miesiąc kolacji i małżeńskich praw, żeby cię zobaczyć w takim stanie: związanego, z piętnem złodzieja. I z pewnością bardzo, ale to bardzo chętnego mnie przekupić, bym cię łagodnie potraktował.

Sam Smith podniósł błyszczące nienawiścią oczy na nalane oblicze przysunięte do jego twarzy.

- Żebyś poszedł prosto do piekła, ty podły draniu. Nie będę cię prosił o żadne względy.

Arthur Goodwin odsłonił w uśmiechu żółte zęby.

- Och, sądzę, że jednak będziesz. Ponieważ to ode mnie zależy, czy pójdziesz prosto do piekła. Nie jesteś aż tak młody ani aż tak głupi, żeby nie wiedzieć, w jakie bagno wdepnąłeś. Jednak na wypadek gdybyś jednak okazał się głupi, pozwól, że cię oświecę, przedstawiając ci szczegóły sprawy, którą prowadziłem dziś wieczorem.

Sam pogardliwym gestem odwrócił głowę w stronę służących zebranych w dalszej części holu. Wpatrywali się w niego, szepcząc między sobą. Ogarnęła go wściekłość na samego siebie za to, że dał się schwytać. I za to, że nie zastanowił się dobrze wcześniej, co będzie, jak zostanie złapany. Było mu wstyd, bo po raz pierwszy w życiu od czasu śmierci mamy postawił inną kobietę przed Annie. Myślał wyłącznie o Noreen, kiedy się w to wplątał. Nie był dla niej wystarczająco dzielny mężczyzną. Zawiódł ją. Annie także zawiódł. Ten obleśny typ z triumfem uświadamiał mu, jak bardzo nie sprawdził się w roli brata i opiekuna.

- Dziś wieczorem, zaledwie godzinę temu, wysłałem młodego człowieka, mniej więcej w twoim wieku, do kolonii karnej. Je teraz w areszcie kolację składającą się z chleba i wody. Jutro będzie w drodze na jeden z więziennych statków. Słyszałeś o panującej na nich gościnności? Chętnie ci objaśnię, czego możesz się spodziewać na najlepszym z tych przepelnionych ścieków. Mam ci powiedzieć, jakie przestępstwo popełnił ten młody człowiek? - Zbliżył się do krzesła, na którym siedział Sam, obszedł je dookoła i stanął z tyłu. Chwycił Sama za ucho, potarł lekko, niemal pieszczotliwie małżowinę, a potem gwałtownie ją wykręcił. Następnie Arthur Goodwin przysunął usta do miejsca, które ścisnęły jego palce. - Najpierw chciałbym się czegoś dowiedzieć. Jak się miewa twoja urocza mała siostrzyczka? - Wzmocnił uścisk. - No dalej, powiedz mi, co słychać u mojej słodkiej Annie. Nie słyszę...

Z zaciśniętych ust Sama wydarł się jęk bólu, kiedy paznokcie oprawcy przebiły skórę.

- Ten młody urzędnik, który wkrótce zazna śmierci za życia, oczekując swojej kolejki do przejścia na tamten świat, przywłaszczył sobie tysiąc funtów swojego pana, kiedy dla niego pracował. - Arthur Goodwin zerknął w stronę stołu, na którym leżały dowody przestępstwa popełnionego przez Sama. - Według mnie sam szafir jest wart więcej niż dwa tysiące. Do tego trzeba jeszcze dodać kradzież cennych dokumentów. Jak sobie radzisz z chodzeniem po rozkołysanym pokładzie? A może powinienem cię raczej wysłać do Newgate? Jak myślisz, co kochająca Annie będzie skłonna zaoferować, żeby ratować twoją skórę?

Sam Smith gwałtownym szarpnięciem oswobodził ucho z uścisku palców sędziego i poderwał się na nogi, popychając swego prześladowcę, który zatoczył się do tyłu o kilka kroków. Stołek z łoskotem przewrócił się na ziemię. Sam, który miał związane nogi, stracił równowagę i także upadł. Leżąc na ziemi, u stóp przekupnego sędziego, wysyczał z wściekłością:

- Jest bezpieczna. Jest tam, gdzie jej nie dosięgniesz swoimi brudnymi łapami.

- Samuelu? Jesteś ranny?

Obaj, Sam Smith i sędzia Arthur Goodwin, odwrócili zdumione oblicza w stronę, z której dochodził cichy, pełen troski głos.

Sam wsparł się na łokciu, a potem niezdarnie się pozbierał.

- Nic mi nie jest, proszę pani - wymruczał, nie czując się na siłach spojrzeć w oczy Rachel ani Josephowi Walshowi, który podążał za nią korytarzem.

- Chcę porozmawiać z moim służącym w cztery oczy - rzuciła Rachel ostro do Arthura Goodwina. Następnie odwróciła się do ochmistrza i poleciła: - Rozwiąż, proszę, Samuelowi nogi, żeby mógł przejść do różowego salonu.

- Nie wydaje mi się to rozsądne, panno Meredith - powiedział Joseph Walsh takim tonem, jakby się zwracał do rozkapryszonego dziecka. - Każę któremuś z lokai wezwać dla pani dorożkę. Czas, żeby odjechała pani bezpiecznie do domu. Sędzia da już temu łobuzowi odpowiednią nauczkę, nie mówiąc o tej, jaką otrzymał ode mnie. Nie musi się pani obawiać, że podły występki ujdzie mu na sucho.

Arthur Goodwin wypiął pierś pod togą, żeby podkreślić niepodzielną władzę nad więźniem.

- Istotnie, ma pan całkowitą rację. Czas odstawić złoczyńcę pod właściwy nadzór. Watson! - warknął w stronę policjanta, obrzucając przy tym Rachel taksującym spojrzeniem. Nie interesowała go tak jak Annie Smith; uważał, że jest dość ładna, ale za stara i stanowczo zbyt pewna siebie, by obudzić w nim lubieżnego samca. Patrzył na nią dlatego, że przypominał sobie, iż już kiedyś ją spotkał. Wówczas również była nieprzyzwoicie zuchwała.

Miała za wiele do powiedzenia tamtego popołudnia, kiedy wynajęta przez niego dorożka zahaczyła kołem o wóz Smitha. Uważał wtedy, że potrzeba jej mężczyzny, który był jej dobrze przetrzepał skórę. Teraz też by jej się taki przydał. Przyszło mu do głowy, że być może Devane o nią zabiega. Pamiętał, z jakim zachwytem ten Irlandczyk na nią patrzył. Jeśli przed tamtym wypadkiem jeszcze się nie znali, to obecnie musiało być inaczej. Najwyraźniej czuła się całkiem swobodnie w tym domu, wydawała polecenia.

Ale co robiła w domu lorda pod jego nieobecność i w dodatku bez przyzwoitki? Powiedziała, że ten młodzieniec jest jednym z jej służących. Zatem Smithowie przestali pracować u lorda Devane'a...

Arthur Goodwin miał dociekliwy umysł; natychmiast zaświtało mu pewne podejrzenie. Choć z pozoru mało prawdopodobne, jednak bardzo przypadło mu do gustu. Czyżby odwracała uwagę Josepha Walsh, podczas gdy jej człowiek dopuszczał się kradzieży? Ściągając w zadumie usta, sędzia podszedł do stołu, by zbadać odzyskane dowody rzeczowe.

- Czy jest pani znana posiadłość o nazwie Windrush, panno Meredith?

- Owszem - odparła krótko Rachel, odwracając się ponownie do ochmistrza. - Proszę uwolnić Samuelowi stopy albo zrobię to sama.

Joseph z westchnieniem pochylił się, żeby rozwiązać sznur.

- To jest absolutnie niedopuszczalne! Chwileczkę, panno Meredith! - zawołał sędzia, kiedy Rachel wprowadziła Samuela do ślicznego różowego pokoju.

Odwróciła się w progu, zagrządzając mu drogę swą drobną, gibką postacią.

- Porozmawiam przez pięć minut w cztery oczy z moim służącym - oznajmiła, zamykając drzwi tuż przed brzydką, spoconą twarzą sędziego.

Kiedy zostali sami w różowym salonie, Rachel spojrzała na Sama z czułością. On jednak unikał jej wzroku.

- Umyślnie ukradłeś ten akt własności, Sam? - wyrzuciła z siebie.

- Tak, proszę pani.

- I pierścionek z szafirem także?

- Nie! - Popatrzył jej prosto w oczy. - Nie miałem pojęcia, że pierścionek jest przywiązany do wstążki na papierach, słowo daję. Leżał na spodzie szuflady. Po prostu chwyciłem rulon i wybiegłem.

- Dlaczego?

- Chciałem się stamtąd wydostać jak najszybciej.

Rachel wydała z siebie nieokreślone parsknięcie, ni to śmiech, ni szloch.

- Dlaczego ukradłeś papiery, które dla ciebie nie przedstawiały żadnej wartości?

- Dla pani nie są bezwartościowe.

- Zrobiłeś to dla mnie?

- Nie, proszę pani - powiedział Sam cicho, z rozbrajającą szczerością. - Dla Noreen.

- Ukradłeś akt własności Windrush dla Noreen?

Po chwili milczenia, podczas której Sam wyraźnie zmagał się z myślami, wreszcie wybuchnął:

- Noreen podsłuchiwała, jak pani rozmawiała z przyjaciółką o tym, że lord Devane chce się na pani podle zemścić. Z tego, co pani mówiła, Noreen domyśliła się, że jest pani gotowa odzyskać prawo własności do swojego domu za każdą cenę. Powiedziałem jej, że kiedy rozmawiałem z panią dziś rano, była pani ciekawa, kiedy lorda nie będzie w domu. Uknuliśmy spisek, a potem czekaliśmy, żeby się przekonać, czy będzie pani próbowała się wymknąć i przyjechać tutaj. Noreen powiedziała, że muszę zabrać ten akt własności, zanim pani to zrobi. Ona się boi o pani całą rodzinę. Poszedłem więc za panią i schowałem się na ulicy. Kiedy jeden z lokajów rozmawiał z Josephem przy drzwiach, jakby nigdy nie wszedłem na schody, jakbym właśnie tamtędy przechodził i postanowił wstąpić po zapomnianą koszulę Annie. Joseph Walsh powiedział mi, że jaśnie pana nie ma w domu, i wtedy już wiedziałem, że poszła tam pani tylko z jednego powodu. - Przerwał, nerwowo pocierając grzbiet nosa. - Najszybciej jak mogłem, wśliznąłem się do gabinetu, żeby zdążyć tam przed panią. Noreen wyjaśniła mi, gdzie dokumenty są przechowywane. To też usłyszała, kiedy pani rozmawiała z przyjaciółką. - Zaczerwienił się i przestępował z nogi na nogę. - Noreen wcale nie podsłuchiwała, przystanąła tylko w korytarzu, żeby podnieść jakąś zabawkę tego chłopczyka i usłyszała o lordzie coś, w co trudno jej było uwierzyć. - Potrząsnął głową ze smutkiem. - Jaśnie pan zawsze był dobry dla mnie i dla Annie. Ten sędzia chce doprowadzić Annie do zguby.

Konieczność chce mnie usunąć z drogi, żeby się do niej dostać. Kiedy powiedziałem lordowi Devanebwi, że Goodwin nas prześladowuje i nie mamy się gdzie podziać, zgodził się nas przyjąć. I to nieprawda, tylko podłe plotki, że zrobił to z lubieżności. Nigdy nawet palcem nie tknął Annie. - Westchnął ciężko. - Noreen mówiła mi o pani siostrze Isabel. Wyjawiała mi wszystko...

-Wszystko? - powtórzyła jak echo Rachel.

-Tak, proszę pani. I dlatego to zrobiłem. Rozumiem lepiej niż inni, w jaką niedolę potrafią wpędzić bogaci panowie, którzy nie godzą się z odmową. Goodwin chciałby mnie zobaczyć na stryczku, a potem zostawić Annie z brzuchem. .. a ona nie ma jeszcze nawet piętnastu lat. Nienawidzę takich typów, bo przecież mogą przebierać w kobietach chętnych pójść za wypchanym portfelem. - Znów poczerwieniał, zawstydzony swoją szczerością. -

Muszę panią o coś spytać, panno Meredith. Noreen obiecała, że gdyby mi się coś stało za to, co zrobiłem, będzie się opiekowała Annie. Zatrzyma je pani obie u siebie, prawda?

Nim Rachel zdążyła rozwiać jego obawy, drzwi nagle otworzyły się tak gwałtownie, że Sam się wzdrygnął. Do pokoju z szelestem togi wtoczyła się krepą postać sędziego, a tuż za nią Joseph Walsh. Sam zrozumiał, że wybiła dla niego czarna godzina. Zostanie zabrany, może już nigdy nie zobaczy Annie ani Noreen. Wiedział, że czeka go stryczek albo wygnanie. Za parę dni może go już nie być. Na jego twarzy odmalowało się nieklamane przerażenie, gdy sobie uświadomił, że szubienica może być lepsza od piekła, jakie przedstawił mu sędzia. Samuel słyszał o tych pływających więzieniach i wiedział, że Goodwin nie przesadził ani trochę, opisując panujące na nich straszliwe warunki. Nagle pożałował, że dane mu było cieszyć się życiem zaledwie przez siedemnaście lat.

- Miała pani swoje pięć minut, panno Meredith. Czas zabrać winnego tam, gdzie jego miejsce.

Rachel odpowiedziała dobitnie:

- Jeszcze nie jesteśmy gotowi do wyjścia.

Joseph bezradnie zwiesił głowę, a kiedy w pełni do niego dotarło, co Rachel ma na myśli, opuścił też ramiona. Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się przewrócić.

Arthur Goodwin tylko się uśmiechnął.

- Cóż za niepotrzebna szczerłość, moja droga. Mogła się pani łatwo wywinąć. Choć muszę przyznać, że miałem pewne podejrzenia. Wydało mi się doprawdy dziwnym zbiegiem okoliczności, że była pani tu obecna akurat wtedy, gdy jeden z pani służących kradł rzeczy o wielkiej wartości. Zwykły złodziejasek mógł zabrać pierścionek, choć każdy głupiec wie, że trudno spieniężyć tak oryginalny klejnot, ale akt własności byłby mu zupełnie nieprzydatny. Potem przyszło mi do głowy, że sprawca kradzieży mógł nie wiedzieć, że pierścionek jest przywiązany do rulonu dokumentów i po prostu porwał łup i uciekł. Głowiłem się nad tym i w końcu przypomniałem sobie plotkę, że lord Devane ostatnio wygrał w karty jakąś posiadłość w Hertfordshire. Niech zgadnę: ta posiadłość to Windrush, a pani tam mieszka, prawda? Poza tym, gdzie są ci pani przyjaciele, Saundersowie? Zapowiedziała pani ochmistrzowi Walshowi, że wkrótce się zjawią. Czyżby się spóźniali? Hm... - Uszczypliwej uwadze towarzyszył drwiący uśmieszek. - Wynośmy się stąd, zanim lord Devane wróci do domu. Wątpię, by ten szacowny dżentelmen chciał mieć do czynienia z kimś takim jak wy dwoje...

- Już ma do czynienia, Goodwin - dobiegł głos od drzwi.

W różowym salonie zapadła pełna napięcia cisza. Connor stał w progu w swej zwykłej pozie, na lekko rozstawionych nogach, z jedną ręką w kieszeni bryczesów. Kołnierzyk koszuli miał rozchełstany, jakby fular, który był tam na początku wieczoru, został gwałtownie zerwany. Elegancki czarny frak zaczepiony niedbale na palcu zwiślał przerzucony przez ramię. Lekko poszarzała cera zdradzała udział w długotrwałej hulance, a zmęczone oczy sprawiały wrażenie, jakby resztką sił walczyły z sennością. Krótko mówiąc, „szacowny dżentelmen” wyglądał jak uosobienie rozwiązłości.

Connor obejrzał się przez ramię do holu, po czym wyciągnął rękę z kieszeni i leniwie oparł się o framugę. To, co następnie powiedział, dowodziło, że jest pijany, ale świadomy sytuacji.

- Joseph, czyżbym za dużo wypił? - spytał lekko zachrypniętym głosem.

Ochmistrz patrzył na swego pana wytrzeszczonymi oczami; choć poruszał ustami, nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

Hrabia uniósł pytająco brwi.

- Czyżbym za dużo wypił? - powtórzył znudzonym tonem, który zabrzmiał dziwnie złowieszczo.

- Nie sądzę, milordzie - wydukał w końcu Joseph.

- Zatem powiedz mi, proszę, dlaczego dopiero co spotkałem co najmniej siedmiu służących, którzy sprawiali wrażenie, jakby nie mieli nic lepszego do roboty niż gapienie się na mnie? Nie powinni przypadkiem być już w łóżkach?

Joseph odchrząknął, przestępując z nogi na nogę.

- To ja... tego... pójdę sprawdzić, dobrze?

- Tak zrób - poradził Connor ze znaczącym uśmiechem. - Sprawdź, zanim ja to zrobię i zwolnię cię z pracy razem z nimi.

Joseph pośpieszył do drzwi, na odchodnym jeszcze raz spojrzął na grupę ludzi zastygłą niczym postacie na portrecie w przytulnym różowym pokoju. Connor przepuścił go na korytarz, usuwając się na bok, a potem gestem zdradzającym zmęczenie odepchnął się od framugi i wszedł do środka. Spojrzął ciężko spod opuszczonych powiek na Arthura Goodwina.

Popatrz na mnie, błagała go w duchu Rachel. Proszę, popatrz na mnie. Usłuchał jej niemej prośby i zmierzył ją od stóp do głów surowym wzrokiem. Przeraziła się. Jest bardzo pijany i niewiarygodnie zły, pomyślała w popłochu.

Arthur Goodwin postąpił krok naprzód i skłonił się z powagą.

- Obawiam się, że dziś wieczorem pod pańską nieobecność, milordzie, doszło tu do kradzieży. Jednak skradzione przedmioty zostały odzyskane, a sprawcami należy się odpowiednio zająć.

- Oczywiście... Ja się nimi zajmę.

- Zostało popełnione przestępstwo, kradzież, muszą więc się nimi zająć powołane do tego osoby urzędowe, milordzie - tłumaczył sędzia obłudnie przymilnym tonem.

- Co zostało skradzione?

Arthur Goodwin rzucił się do wyjścia i prawie natychmiast powrócił z dokumentami i wciąż przytroczonym do nich pierścieniem. Zaprezentował Connorowi dowody rzeczowe oraz swą połyskującą łysinę, kiedy pochylił się w ukłonie.

- Znalezione to u tego łotra. Próbował wydostać się z domu i uciec z łupem. Pański ochmistrz był świadkiem zdarzenia.

- To moja wina... to przeze mnie. Samuel przyszedł tu z mojego powodu... - Głos Rachel drżał, ale głowę trzymała wysoko i patrzyła prosto w oczy Connora, spodziewając się w nich ujrzeć oburzenie. Wstrzymała oddech, kiedy przyszło jej do głowy, że mógłby po prostu odwrócić się i odejść, pozostawiając ją na łasce tego tłustego sędziego. Choć nie odrywała od Connora spojrzenia, zauważyła, że jego przyrodni brat Jason wszedł do pokoju i stanął z boku, opierając się niedbale o ścianę.

Connor ruszył przez pokój, jednostajnie uderzając końcem rulonu o otwartą dłoń. Mimo najlepszych chęci Rachel nie była w stanie dłużej znieść jego spojrzenia. Im bardziej się do niej zbliżał, tym czuła się słabsza. Opuściła ją pewność siebie, na jej miejsce wdarł się wstyd. Okazała się podła i tchórzliwa. Gdyby zgodziła się na jego propozycję, oddałby jej te papiery osobiście i bez świadków. Ale ona chciała wszystkiego: nagrody i zwycięstwa. Pragnęła go pokonać w tej bolesnej grze, w którą się wdali. Chciała podstępnie wygrać, ponieważ utraciła to, czego

tak naprawdę pragnęła... jego.

Teraz wszystko przepadło, łącznie z reputacją jej rodziny, i to w przededniu ślubu June. Choć nie była w stanie jasno myśleć, rozumiała znaczenie tego, co się stało, i miała świadomość, że dopiero nazajutrz ujawni się cała groza skutków jej postępków. Najpierw jednak musiała znieść upokorzenie. Z zadartą dumnie głową, tak że widać było mięśnie pod perłową skórą szyi, kiedy nerwowo przelykała ślinę, próbowała się opanować. Zaciśnęła powieki, lecz łza wymknęła się spod nich i zawisała na rzęsach; szybko odwróciła głowę, żeby ją otrzeć.

Connor chwycił jej uniesioną dłoń i zacisnął jej palce na rulonie dokumentów, a następnie musnął jej chłodny policzek szybkim, zdawkowym pocałunkiem.

- Nie popełniono żadnego przestępstwa. Marnuje pan tu swój cenny czas, Goodwin.

Rachel poczuła, jak powiew ciepłego oddechu przesyconego zapachem alkoholu, porusza jej włosy przy uchu. Zerknęła spod wilgotnych rzęs na twarz Connora i natychmiast uciekła wzrokiem, dostrzegłszy jego ironiczną minę i obietnicę wyrównania rachunków wypisaną w jego oczach. Obudziła w nim tygrysa. Ale przecież tego właśnie chciała... Chciała silnego mężczyzny, by odpowiedział na jej wyzwanie z namiętnością, której nie będzie mógł i nie będzie chciał tłumić.

- Trudno mi w to uwierzyć, milordzie - zaprotestował Arthur Goodwin, rzucając wściekłe, chytre spojrzenie na Sama Smitha. Już poczuł, że ten chłopak i jego siostra wymykają mu się z rąk. Dodatkowo zirytowany radosnym uśmiechem oskarżonego, wyrzucił z siebie ze złością: - Ona przyznała się do współudziału w przestępstwie.

- Ona? Ma pan na myśli moją przyszłą żonę? - Connor wbił w sędziego spojrzenie pełne przesadnego zdumienia. - I w co trudno panu uwierzyć? W moje słowo? Nazywa mnie pan kłamcą? Proszę uważnie słuchać, bo nie będę wyjaśniał drugi raz: właśnie wręczyłem mojej przyszłej żonie ślubne prezenty. Najwidoczniej zabrakło jej cierpliwości i sama przyszła je odebrać. Powinienem być się tego spodziewać... po tej małej szelmie.

Sam uniósł związane dłonie do twarzy, żeby zasłonić uśmiech od ucha do ucha. Widząc ostrzegawcze spojrzenie Connora, szybko opuścił wzrok na podłogę.

- Przykro mi, że został pan tu ściągnięty na próżno, Goodwin. Niechże pan nie traci więcej czasu i jedzie do domu. - Widząc, że jedyną odpowiedzią na jego polecenie są ceglaste wypieki wypełzające na oblicze sędziego, dodał lodowatym tonem: - Chciałbym zostać sam z moją przyszłą żoną. Skoro służba zrobiła już sobie nieplanowane wakacje, mógłbyś odprowadzić pana Goodwina, Jasonie?

Jason Davenport wykonał jeden zdecydowany, choć nieco chwiejny krok w stronę sędziego, co wystarczyło, by ten zaciskając pięści, ruszył do drzwi. Już w progu obejrzał się na Sama Smitha. Jego wzrok był zdecydowanie wrogi. Sam odpowiedział mu bardzo nieprzyzwoitym gestem, który szybko zmienił w modlitewne złożenie dłoni pod ostrzegawczym spojrzeniem swego wybawcy.

- Zajmę się tobą innym razem. Wracaj do domu. - Connor nie musiał dwa razy powtarzać tych słów. Uśmiechnięty Sam, nie tracąc ani chwili, pognął do wyjścia.

Rachel również skierowała się w tamtą stronę. Choć wiedziała, że musi przeprosić, błagać o wybaczenie, okazać wdzięczność, nie była na to gotowa. W każdym razie nie teraz, kiedy Connor był w takim nastroju, tak pijany, że czuła bijący od niego słodkawy zapach alkoholu.

Nie uszła więcej niż krok, kiedy zatrzymał ją, chwytając ją władczym gestem.

- Ty nie, skarbie. Ty tu zostaniesz, żebym mógł się tobą zająć od razu. - Puścił ją, zadziwiająco szybko i pewnie podszedł do drzwi, zamknął je i zaczął jej się przyglądać z poważną miną.

- Nie musisz karać Sama, bo zrobił to dla mnie... i dla Noreen, mojej służącej. Stali się sobie bliscy... - Nie doczekawszy się odpowiedzi, Rachel powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy: - Wysłałam do ciebie list, ale mi nie odpisałeś. - Natychmiast przekleła się w duchu za głupotę. Jak mogła o tym mówić, skoro był w takim stanie...

Jej ojciec upijał się czasem i bywał albo zbyt jowialny, albo płaczliwy. Nigdy nie wiedziała, jak się wobec niego zachowywać, gdy był pod wpływem alkoholu. Czasem się dąsał, czasem krzyczał, a kiedy indziej zadreślał rodzinę, każąc jej grać w głupie gry i zabawiać się sztuczkami. Dlatego słuchała rady matki, żeby schodzić ojcu z drogi, póki znów nie będzie sobą. Jej matka była inteligentną kobietą.

- Moglibyśmy porozmawiać o tym jutro? Proszę...

Grzeczna prośba spotkała się z odmową w postaci ironicznego uśmiechu.

- Chciałaś, żebym odpowiedział na twój list? - odezwał się Connor głosem, który wydał się Rachel jeszcze bardziej chrapliwy.

- Tak... nie.

- Więc jak, moja droga? Tak czy nie?

- Ładny ten pokój. Tylko wystrój jest bardzo kobiecy... w odcieniu i formie. Domyślam się, że dlatego tak się podoba twojej matce. Joseph twierdzi, że to jej ulubiony pokój.

Cofając się przed Connorem, Rachel dotknęła pięknego inkrustowanego stolika w kształcie półksiężyca. Położyła na nim akt własności Windrush i pogładziła końcami palców atłasowo gładką powierzchnię rulonu.

Connor przeszedł do innego stolika, wziął do ręki kieliszek, zdjął korek z karafki.

- Co robisz? - przeraziła się Rachel.

- Nalewam sobie coś do picia.

- Ale nie możesz! Przecież już jesteś pijany! Parsknął ostrym, gardłowym śmiechem. Odwrócił się wolno, wyciągając w jej stronę kieliszek i karafkę.

- Powiedz szczerze, Rachel, czy zamierzasz mi w ogóle na coś pozwolić? Nie wolno mi ukarać Sama Smitha. Nie mogę mieć tego, co uczciwie wygrałem od twojego ojca, nie mogę mieć nocy poślubnej... A teraz mi mówisz, że również nie mogę się napić?

Rachel nerwowo zwilżyła usta. Żałowała, że nie może opuścić domu Connora i poczekać, aż znów stanie się tym honorowym dżentelmenem, którego odrzuciła. Z drugiej strony jednak, choć mogło się to wydać dziwne, pragnęła być bliżej niego. Miała ochotę podejść, pocieszyć go, otoczyć ramionami i przytulić, bo pod jego uszczypliwością wyczuwała ból, który mu zadała przed sześciu lat i który wciąż trwał, przysparzając mu cierpienia.

- Wybierz jedno - odezwał się zjadliwym tonem, zabijając w niej współczucie. - Wybierz jedną rzecz, którą mogę mieć, albo ja wybiorę. No dalej, skarbie, powiedz, na co mi pozwalasz...

- Nie będę z tobą rozmawiać, kiedy jesteś pijany - odparła drżącym głosem.

Uśmiechnął się do niej z przewrotnym zadowoleniem.

- Wybieram to samo. Coś, co możemy robić bez konieczności rozmawiania. - Karafka i kieliszek powróciły na stół, a frak, dotąd zwisający mu z ramienia, został niedbale odrzucony na krzesło. Connor zaczął się powoli do niej zbliżać.

Rachel cofnęła się za półkolisty stół i poczuła, jak zapomniany pistolet ukryty w torebce uderza ją w nogę. Przyciągnęła torebkę do siebie, żeby mieć do niej dostęp.

- Zachowujesz się niemądrze, Connor. - Reprimenda, która miała zabrzmieć surowo, wypadła blado, wypowiedziana przez szcękające zęby. Rachel stanęła za fotelem, na którym wcześniej siedziała. - Nie ruszaj się albo będę krzyknąć. A jak zacznę krzyknąć, John Walsh przyjdzie mi na pomoc. Zrobi się jeszcze większe zamieszanie, a tego byś chyba nie chciał. - Tym razem przemawiała do niego jak do krnąbrnego dziecka.

- Zatem krzycz. Po dzisiejszym wybryku Joseph będzie głuchy na twoje krzyki, podobnie jak reszta domowników. Zaslługujesz na karę i oni wszyscy o tym wiedzą.

Rachel przesunęła się w bok, tak że oddzielała ich od siebie pasiasta różowo-kremowa sofa. Strach zaczął ustępować złości.

- W takim razie pomyśl o swojej godności i manierach - rzuciła. - Czyż nie wspominałeś mi kiedyś o tym, jak bardzo cię znudziło grzeszenie w niewygodnych pozycjach? - To go powstrzymało. Odchylił głowę do tyłu, odsłonił białe zęby w drapieżnym uśmiechu. Przyjrzał jej się spod na wpół przymkniętych powiek.

- Skorzystamy z jakiegoś wygodnego mebla. Nie mam nic przeciwko temu. Poza tym, Rachel, jestem pijany, jak słusznie zauważyłaś. Moja godność i maniery i tak już dziś ucierpiały, więc co za różnica? - zakpił.

Rachel odwróciła się tak gwałtownie, że złociste pukle zafalowały jej wokół twarzy. Kiedy znów stanęła zwrócona przodem do Connora, w zbiegających, drżących dłoniach trzymała pistolet wymierzony w jego głowę.





## Rozdział piętnasty

- Zamierzasz do mnie strzelić, Rachel?

Ton głosu nie pozostawiał wątpliwości, że Connor uważa za mało prawdopodobne, by Rachel znalazła w sobie dość odwagi.

Zwilżyła usta końcem języka, zaciskając mocniej ręce na wykładanej srebrem broni.

- Chcesz mnie do tego zmusić? Jeśli okażesz rozsądek i pozwolisz mi stąd wyjść, spotkam się z tobą jutro, jak będziesz w lepszym stanie. Zdaję sobie sprawę, że musimy omówić wiele istotnych spraw i że wiele rzeczy muszę ci powiedzieć. Wtedy cię przeproszę, przysięgam.

- Przychodzi mi do głowy coś istotnego, co powinno być omówione natychmiast. Mogę powiedzieć?

Rachel kiwnęła głową, starając się ignorować rozbawiony, kpiący ton Connora.

- Jest naładowany? - Wskazał ruchem głowy na pistolet.

Rachel, zaskoczona, także spojrzała na trzymaną przez siebie broń.

- Nie wiem - przyznała, okazując stanowczo za daleko posuniętą szczerość. - To twoja broń. Znalazłam ją w szufladzie biurka. To chyba ty powinieneś wiedzieć, czy jest naładowany?

- Rzeczywiście, powinienem. Wydaje mi się, że nie jest. Dlatego jeśli mnie zastrzelisz, to będzie moja wina - powiedział spokojnie, zbliżając się do Rachel.

Uniosła pistolet wyżej, jednocześnie wysuwając go w stronę Connora. Nie zdejmując palca ze spustu, cofnęła się pod ścianę.

- Podajesz w wątpliwość już nie tylko mój charakter, ale i pamięć, Rachel? Pociągnij za spust. To jedyny pewny sposób, żeby się przekonać. - Kopniakiem odepchnął na bok kozetkę o cienkich nóżkach, zakończonych czymś w rodzaju kozich kopytek. Teraz Rachel chronił już tylko pistolet i łzy spływające strużkami po policzkach.

Connor wyciągnął rękę i zacisnął palce na drżącej lufie, przejmując ją z taką samą swobodą, z jaką kiedyś odebrał z rąk Rachel rozchybotaną filiżankę, nad którą nie potrafiła zapanować.

Rachel oddała mu broń i ukryła twarz w dłoniach.

- Nie jest naładowany, prawda?

- Przekonajmy się...

Przeraźliwy huk zagłuszył jej pelen przerażenia okrzyk. Oskoczyła pod ścianę i oderwała ręce od twarzy, żeby zatkać sobie uszy. Zapach prochu drażnił jej nozdrza. Oslupiała spojrzała na Connora, a następnie, podążając za jego wzrokiem, popatrzyła na wspaniałą kandelabr. Na jednej świecy pozostał jedynie dymiący knot. Kryształki rozpraszające światło kołysały się na boki, unikając dzięki temu zniszczenia, kiedy bryła sztukaterii nagle oderwała się od sufitu i z głuchym łomotem wylądowała na dywanie.

Rachel lekko się wzdrygnęła.

- Celowałeś w tę świecę? - spytała szeptem, ponieważ mówienie sprawiało jej trudność.

- Nie. Tylko w płomień.

Spojrzeni sobie w oczy. Connor uśmiechnął się, a potem niedbałym ruchem odrzucił pistolet na pasiastą kozetkę.

- Po trzeźwemu też bym tak potrafił - pochwalił się z szelmowskim błyskiem w oku. Dotknął podbródka Rachel, a potem jej policzka, delikatnie ścierając ślady łez. - Obawiam się, że wciąż cierpię za błędy młodości. To jeden z powodów, dla których nie przedstawiłem cię mojemu nazbyt szczeremu dziadkowi. Uznałby za swój obowiązek ci o nich opowiedzieć. A bałem się, że mnie opuścisz.

Joseph wsunął głowę przez uchylone drzwi i zajrzał do środka. Wytrzeszczył oczy ze strachu. Odsunawszy się od Rachel, Connor powitał ogłupiałego ochmistrza pytającym uniesieniem brwi.

- Proszę wybaczyć, milordzie, ale zdawało mi się, że słyszałem eksplozję. Jakby wystrzał z pistoletu...

- Owszem, słyszałeś. Panna Meredith uważa, że różowy salon ma trochę zbyt kobiecy styl. Dodajemy kilka męskich akcentów... Każ podstawić powóz - zakończył rzeczowo, biorąc z krzesła frak i wkładając go na siebie ze zmysłowo nonszalancką swobodą.

Joseph przybrał komicznie zdumioną minę i dopiero po chwili, otrząsnawszy się nieco, poszedł spełnić polecenie pana.

Connor patrzył, jak ochmistrz się oddala, po czym przeniósł wzrok na Rachel.

- Przykro mi, jeśli cię przestraszyłem. Chciałem dodać, że nie miałem takiego zamiaru, ale bym skłamał. Chciałem cię przestraszyć, z początku... - Uśmiechnął się kącikiem ust. - Pewnie z ulgą się dowiesz, że już trochę doszedłem do siebie. - Urwał, spoglądając na sufit, jakby oceniał zniszczenia.

- Rzeczywiście wyglądasz, jakbyś trochę wytrzeźwiał - przyznała Rachel cicho.

- Wojskowe przeszkolenie. Żołnierz zazwyczaj odzyskuje zdolności bojowe na widok wycelowanej w niego broni i odgłosu wystrzału.

Zamilkł, pocierając czoło między brwiami.

- Chodź, odwiozę cię do domu - rzekł spokojnie.

Podczas niedługiej podróży ulicami do Beaulieu Gardens Rachel parokrotnie zerkała na Connora z nadzieją, że wciągnie go w rozmowę. Sprawiał wrażenie, jakby specjalnie unikał jej wzroku. Skulony w kącie powozu naprzeciwko niej, wpatrywał się w ciemność. Rachel domyśliła się, że musi być około północy, bo ulice świeciły pustkami. Żadnych nawoływań stróżów, żadnych włóczęgów dobijających się do drzwi powozu, żeby wyżebrać parę miedziaków, jedynie kilka innych pojazdów, wiozących do domu różnych nocnych marków.

Rachel uniosła skórzaną roletę zasłaniającą okno po jej stronie i wyjrzała przez okno. Za minutę lub dwie miała się znaleźć w domu. Connor zatrzyma powóz, pomoże jej wysiąść. .. i już nigdy go nie zobaczy.

Naprawdę chciała się z nim spotkać nazajutrz, żeby przeprosić, podziękować i powiedzieć mu wiele rzeczy, ale czuła, że on będzie tego unikał. Wiedziała to tak samo, jak wcześniej była pewna, że Sam Smith ryzykował życie, by jej pomóc i chronić reputację jej rodziny.

Powóz zaczął zwalniać. Connor poruszył się, jakby czując, że dotarli już na miejsce.

Rachel złożyła ręce na kolanach i spojrzała na jego urodziwy profil przez ciemne wnętrze powozu.

- Zobaczymy się jutro? - spytała, choć znała odpowiedź.

-Nie.

Pokiwała głową, przygryzając wargę. Mając świadomość, że to, co proponuje, jest wysoce niestosowne, zapytała zduszonym głosem:

- Wejdiesz ze mną do domu, żebym mogła ci powiedzieć to, co muszę powiedzieć?

- Nie.

- W takim razie czy mogę ci zająć jeszcze parę minut i powiedzieć to teraz? Proszę.

Connor wreszcie na nią spojrzał. Bardzo chciała zobaczyć wyraz jego oczu, ale było to niemożliwe, bo twarz miał ukrytą w głębokim cieniu.

- Co chcesz mi powiedzieć, Rachel? Że jest ci przykro, wstyd i Że jesteś mi wdzięczna? Ja to wiem. - Pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach i wsuwając rozpostarte palce we włosy. - Jeśli to ci pomoże uspokoić sumienie, to ja czuję się tak samo. Przykro mi, że kiedyś chciałem zataić przed tobą swoją przeszłość. Wstydzę się, że chciałem cię zwabić do swego łóżka, i jestem ci wdzięczny, iż przywołałaś mnie do porządku, celując we mnie z pistoletu, zanim dopuściłem się czegoś, z czego żadne z nas już nigdy by się nie otrząsnęło. Idź do domu. A jutro wracaj do Windrush, do swoich rodziców.

- Windrush należy do ciebie.

- Dałem ci je. Oddałem ci akt własności w obecności świadków. Nie chcę go.

- Nie mogę go wziąć - wyznała, z trudem wstrzymując łzy. - Zostawiłam dokument na twoim stole. - Sięgnęła do klamki, chcąc odejść, zanim zostanie odprawiona.

-Tak bardzo pragnęłaś odzyskać Windrush, że byłaś gotowa zaryzykować więzienie. A teraz nagle rezygnujesz? A co z Isabel i jej synem?

Rachel odwróciła się gwałtownie, rozpaczliwym gestem ocierając łzy z oczu.

- Co powiedziałaś?

- Słyszałaś. Myślę, że chciałaś mieć Windrush dla Isabel i jej syna.

Rachel zamarło serce.

-Tak - przyznała, siłąc się na spokój. - Po ślubie June, a potem Sylwie, kiedyś w przyszłości, gdy nie będzie już trzeba tak się martwić o wymogi etykiety, gdy nie będzie na świecie moich rodziców i będę bardzo samotna... byłoby miło zamieszkać z Isabel i moim siostrzeńcem. Wiem, że być może nigdy do tego nie dojdzie, ale czasami tak sobie o tym marzę. - Po dłuższej chwili dodała: - Ciotka Florence podupadła na zdrowiu, jest już stara i prawie niewidoma, a Isabel nie ma nikogo bliskiego w Yorku. Ma dwadzieścia cztery lata i żyje jak samotnica, ale nigdy się nie skarży. - Pochyliła głowę. - Kto ci o tym powiedział? Mój ojciec?

- Nie. Dzisiaj odwiedził mnie William Pemberton, który właśnie wrócił od twojej siostry z Hertfordshire. Uznał, że powinienem wiedzieć o Isabel.

Zwiesiła głowę jeszcze niżej.

- June powiedziała o tym Williamowi? Nie wolno jej było tego robić. Jeszcze nie teraz.

- Nie wolno jej było tego robić?! Przecież oni wkrótce będą małżeństwem! Uważasz, że powinna zachować to w tajemnicy, ryzykując, że różne kłamstwa i półprawdy położą się cieniem na ich życiu? Wiem coś na ten temat, bo sam zrujnowałem nasz związek.

Rachel uniosła głowę, lecz ledwie widziała twarz Connera przez łzy.

- To była sprawa rodzinna. Poza tym wcale nie kłamaliśmy. Pozwoliliśmy jedynie, żeby ludzie wyciągali własne wnioski na temat nieobecności Isabel. Nasza wina polega tylko na tym, że nie prostowaliśmy niewłaściwych domysłów.

- Myślałem, że moja przyszłość też powinna pozostać rodzinną tajemnicą. Nie chciałem, żeby ludzie wiedzieli, iż kiedyś w życiu liczyły się dla mnie tylko przyjemności, że wyzwiałem starszego człowieka na pojedynek z powodu jego żony, której pożądałem, ale do której nie miałem prawa. Wyczułaś, iż otacza mnie podejrzana atmosfera. Miałeś rację, że byłaś ostrożna i odrzuciłaś mnie. Nie mogłaś też przewidzieć, że twoja siostra zostanie zgwałcona w Yorku.

- Powiedziała, że oddała się dobrowolnie. Gdyby została zmuszona do tego siłą, rodzicom chyba łatwiej byłoby znieść wstyd. - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Tymczasem wolą udawać, że wierzą w jej śmierć. W Yorku rzeczywiście wybuchła epidemia szkarlatyny. Nie zachorowaliśmy, ale musiałyśmy odbyć kwarantannę. Kiedy mogliśmy wreszcie wrócić do domu, Isabel była już pewna, że jest w ciąży, chociaż nie ujawniła żadnych szczegółów na ten temat nawet mnie, a zawsze byliśmy sobie bardzo bliskie. Przypuszczano, że nie wróciła ze mną do Hertfenshire, ponieważ umarła na skutek choroby. Ludzie doszli do takiego wniosku, gdyż mijały miesiące, a Isabel się nie pojawiała, w domu schowano jej podobizny, a członkowie rodziny zaczęli płakać na wspomnienie o niej... - Urwała, nie była już w stanie mówić. I tak chyba musiałyby przestać, gdyż wyjawiała za dużo. Miała jednak wielką ochotę opowiedzieć mu szczegółowo o tych sześciu latach bólu i cierpienia z powodu sytuacji Isabel.

- Sylvie myśli, że jej siostra nie żyje. Miała wtedy dopiero sześć lat; była zbyt młoda, żeby to zrozumieć. Teraz ma dwanaście lat, ale mama nie chce jej powiedzieć prawdy. Uważa, że Syhde jest jeszcze zbyt niedojrzała, za szczerą i bezpośrednią, by dochować tajemnicy, i jednym nieopatrznie wypowiedzianym słowem mogłaby zrujnować swoją przyszłość. Saundersowie również o niczym nie wiedzą. Rodzice zabronili June i mnie mówić o tym komukolwiek, nawet najbliższym przyjaciołom. Moi rodzice znaleźli się w kłopotliwym położeniu. Bardzo kochają Isabel, ale mając trzy córki na wydaniu, mogą jedynie dyskretnie wspierać ją finansowo. Gdyby wieść o naszej hańbie rozniosła się w towarzystwie, nie byłoby mowy o zamążpójściu którejkolwiek z nas i rodzice musieliby utrzymywać cztery stare panny. Isabel rozumie tę sytuację i nie chce nawet zbliżyć się do Hertfordshire w obawie, że wybuchnie skandal i będziemy zgubieni. Tymczasem to ja wywołałam skandal. Moja egoistyczna postawa w wieku dziesiętnastu lat przyniosła tyle cierpień tak wielu ludziom. - Rachel uniosła skórzaną roletę w okienku, by popatrzeć na swój dom. - Nie wiem, dlaczego William ci to wyjawił - odezwała się niespodziewanie. - Mam nadzieję, że nie powie nikomu innemu. Gdyby jego matka usłyszała choć słówko na ten temat... - Rachel urwała, przerażona wizją tego, co by się mogło stać. - Wierzę, że mogę liczyć na twoją...

- Przyzwoitość? Dyskrecję? - zapytał ironicznie.

- Błagam cię, żebyś nikomu nic o tym nie mówił - poprosiła go cicho.

- Wiem, że uważasz mnie za łajdaka, Rachel, ale odniosłem wrażenie, iż zawsze bardzo lubiłaś Williama. Czy taki kryształowo uczciwy człowiek powierzyłby mi tajemnicę, gdyby mi nie ufał?

- Nie mam pojęcia, dlaczego ci o tym powiedział.

- Ostrzegł mnie, że jeśli moje interesy z tobą w sprawie Windrush doprowadzą do tego, iż znajdziesz się w takiej sytuacji jak Isabel, będę miał z nim do czynienia.

Rachel gwałtownie zaczerpnęła tchu. Connor odpowiedział śmiechem.

- Nie przyszło ci do głowy, że w noc poślubną można począć dziecko, skarbie?

- Oczywiście, że zdawałam sobie sprawę... z ryzyka. Ale dlaczego William wyobrażał sobie, że mogłabym...  
- Nie sędzę, by wąpił w twą moralność. Chodziło mu o mnie i o moją skłonność do uwodzenia. Być może powinno mi to pochlebić - stwierdził z przekąsem. - Nie musisz się obawiać, że powie coś swojej matce. Jest zdecydowany ożenić się z June i chronić cię jako jej siostrę.  
- To wspaniały człowiek. Moja matka powinna być szczęśliwa, że będzie miała takiego zięcia.  
- Jestem pewien, że to docenia.  
- Też tak myślę. - Po chwili milczenia Rachel dorzuciła: - Postawiłeś się w kłopotliwym położeniu.  
- Dlaczego?  
- Dałeś do zrozumienia, że jesteśmy zaręczeni. Oświadczyłeś to przy świadkach.  
- Nigdy już się nie zaręcę. To również oznajmiłem przy świadkach.  
- Powiedziałeś, że mamy się pobrać i że dałeś mi ślubne prezenty. Słyszał to sędzia pokoju, a także Sam i twój ochmistrz.  
- Rzucę cię. To będzie najlepsze rozwiązanie. W ten sposób koło się zamknie. - Opadł na oparcie. - Ogłoszę w dzienniku urzędowym, że mamy się pobrać pod koniec tygodnia, a potem publicznie cię odtrączę. Wzbudzisz lawinę współczucia, a ja zostanę znienawidzony. W ten sposób wyrównamy rachunki i uzdrowimy sytuację. Możesz zabrać akt własności Windrush do domu. Każdy adwokat uzna to za dowód niedotrzymania obietnicy małżeństwa, a ja nie będę się niczego wypierał.

Popatrzyła na niego przez łzy.

- Rozumiem. Dziękuję. To na pewno wszystko uzdrowi.  
Czuła się niechciana; miała wrażenie, że niepotrzebnie go zatrzymuje. Chwyciła już klamkę u drzwi, kiedy nagle nagromadzone emocje dały o sobie znać.

- Mylisz się, uważając, że miałam przeczucie, iż jesteś łajdakiem i dlatego cię porzuciłam. Przysięgam, o niczym nie siedziałam. Wierzyłam, że jesteś uczciwy, porządny... aż do znudzenia. Dobrze grałeś swoją rolę. Uciekłam dlatego, że...

- Dlaczego? - przynaglił.

- Miałam nadzieję, że za mną pojedziesz - odparła zduszonym głosem, - Myślałam, że jeśli naprawdę mnie kochasz, to przywieziesz mnie z powrotem. - Rachel szybko wysiadła i pobiegła do domu.

Kilkakrotnie zastukała kołatką. Po chwili Sam Smith, zapinając kamizelkę, zerknął zza uchylonych drzwi, by zaraz otworzyć je szeroko. Wprowadziwszy Rachel do holu, chciał je zamknąć, lecz zostały przytrzymane czyjąś ręką i nogą tak mocno, że się zatoczył.

- Marsz do łóżka! - polecił Connor chłopakowi.

Sam nie zawahał się spełnić polecenia. Kiwnął tylko głową, szybko objął wzrokiem Rachel i Connora, po czym oddalił się do części domu zajmowanej przez służących; ku ciepłym ramionom Noreen.

- Czyj to służący? - zapytała płacząco Rachel, trzęsąc się na całym ciele. Objęła się ramionami, jakby chciała się rozgrzać. - Twój czy mój?

- Nasz - odpowiedział, podchodząc bliżej.

Odwróciła głowę, unikając natarczywego wzroku Connora.

- Idź sobie, Connor. Jestem zmęczona. Jutro wyjadę do domu i zniknę ci z oczu, obiecuję.

- Powtórz to.

- Jutro jadę do domu, obiecuję - wykrztusiła, starając się go wyminąć, lecz uniemożliwił jej ucieczkę, odgradzając jej drogę. Stała tuż przy drzwiach, mając jego ramiona po obu stronach głowy.

- Nie to! Jeszcze raz mi powiedz, dlaczego uciekłaś.

Odwróciła głowę, by ukryć zmieszanie.

- Nie - wyszeptała.

- Powiedz mi...

- Zabrzmiało to jak groźba.

- Chciałam... chciałam, żebyś za mną pojechał. Chciałam, żebyś naprawdę mnie kochał...

- Naprawdę cię kochał?! - wykrzyknął z taką gwałtownością, że aż się skuliła ze strachu. - Bóg mi świadkiem, że kochałem cię do utraty zmysłów. - Pochylił głowę i owionął Rachel ciepłym oddechem. - Czy ty wiesz, ile mnie kosztowało, żeby być dla ciebie delikatnym, łagodnym i opanowanym? Doprowadzałaś mnie do szaleństwa. Myślałem, że zwariuję, tak bardzo cię pragnąłem, a jednak pozostałem ci wierny. Nie wziąłem sobie kochanki, bojąc się, że uznasz mnie za rozpustnika, jeśli dowiesz się o jej istnieniu. Prawdę mówiąc, prawie mnie to nie kusilo; pragnąłem tylko ciebie. Przez cztery miesiące żyłem w celibacie. Czekałem, tolerując twoje flirty, prowokujące zachowanie. - Ujął w dłoń jej twarz. - A teraz śmiesz mi mówić, że to nie była prawdziwa miłość? Nigdy w życiu nikogo tak nie kochałem!

- Kochałeś ją...

- Kogo? Marię Laviolę? - zapytał z niedowierzaniem i rozbawieniem.

- Nie... - Rachel wyczytała z jego oczu, że nie miał pojęcia, o kim mówi. - Chodzi mi o żonę przyjaciela twego dziadka. Musiałeś ją bardzo kochać, prawda?

- Z początku może i tak, jeśli wtedy w ogóle byłem zdolny do takiego uczucia. Nie była to jednak prawdziwa miłość. Bernadettę była żoną arystokraty, zadowoloną ze swego małżeństwa, dopóki ja się nie pojawiłem i nie wciągnąłem jej w romans. Byłem bezczelny, samolubny i nie potrafiłem sobie niczego odmawiać. Na początku broniła się przed tym związkiem, ale to tylko zaostrzyło mój apetyt. Ze wstydem przypominam sobie, że kiedy mój dziadek po pół roku położył temu kres, poczułem ulgę, ponieważ Bernadettę stała się zaborcza i wymagająca. Mąż przyjął ją z powrotem, ale ten skandal położył się cieniem na ich małżeństwie. A przecież to ja byłem wszystkiemu winien. Miałem tego świadomość, ale niewiele mnie to wówczas obchodziło. Już po miesiącu miałem inną kobietę. Bernadettę pisała do mnie, ale nawet nie otwierałem jej listów.

Patrząc na ściągniętą bólem twarz Connera, Rachel zdała sobie sprawę, że jego też dręczą wyrzuty sumienia. Connora Flintea, bohaterskiego majora huzarów, właściciela tytułu i wielkiego majątku, cieszącego się nieposzlakowaną opinią, dręczyły upiory przeszłości. Dawniej myślał tylko o sobie, podobnie jak Rachel. Nieśmiało pogładziła go po policzku. Jego ciepła, lekko szorstka skóra była przyjemna w dotyku. Odpowiedział na pieszczotę, odwracając głowę i muskając pocałunkiem wewnątrz jej dłoni.

- W wieku osiemnastu lat szukałem wyzwań, chciałem się sprawdzić. Jako dziecko byłem psuty przez mojego szalonego ojca, który w wieku trzydziestu sześciu lat wiedział, że nie dożyje czterdziestki. Kiedy miałem trzynaście lat, lekarze powiedzieli mu, że ma nieuleczalnie zniszczone płuca, i odtąd, przez trzy lata, zanim umarł tuż przed moimi szesnastymi urodzinami, próbował nadrobić stracony czas. Dawał mi pieniądze, dużo pieniędzy, tolerował moje wybryki, a czasami nawet je podziwiał. Zachęcał mnie do korzystania z przyjemności życia, aż uwierzyłem, że wszystko jest w zasięgu ręki. Ciągłe powtarzał, że jestem do niego podobny. Niestety, miał rację. Porwał kobietę,

której pragnął, a ja chciałem zaciągnąć do łóżka ciebie. Pożalowania godni adoratorzy z rodziny Flinteow - dodał. - Jaki ojciec, taki syn. Pomimo swych wad był silną osobowością. Kochałem go. Moja matka też go kochała, wręcz uwielbiała, chociaż znała jego słabość do kobiet i hulaszczego trybu życia. On również ją kochał; była jedyną ważną kobietą w jego życiu, jedyną, która miała na niego wpływ.

Zerknął ukradkiem na Rachel. Słuchała go z widoczną uwagą, co zachęciło go do dalszych zwierzeń.

- Po tej sprawie z Bernadettę przez rok używałem sobie do woli, dopóki wojskowy rygor i kazania dziadka nie przywołały mnie do porządku. Przez całą moją burzliwą młodość dziadek nie ustawał w wysiłkach, by przekazać mi swoją życiową mądrość. Chociaż było mi to nie w smak, musiałem coś niecoś zapamiętać z jego nauk, a z czasem w pełni je doceniłem. Jako dzieciak uważałem go za starego zrzędcę, który prawi morały na temat wstrzemięźliwości i poczucia obowiązku. Mimo to bardzo go kochałem. Teraz dziękuję Bogu, że miał na mnie wpływ nie mniejszy niż ojciec. Wielokrotnie groził ojcu, że go zabije. Tylko perswazjom matki zawdzięczali to, że nie skoczyli sobie do gardeł. Przypuszczam, że twój ojciec zachowałby się wobec mnie podobnie. Gotów byłby sprzymierzyć się z Pembertonem, żeby mnie dopaść, gdybym cię uwiódł.

- Nie pozwoliłabym im na to - powiedziała Rachel. - Nie teraz, kiedy już wiem.

- Co wiesz, Rachel? Że jestem żaloszny?

- Wiem, że mnie kochasz. Bo wciąż mnie kochasz, prawda?

Drgnął i opuścił ramiona.

- Skąd wiesz? - spytał zduszonym głosem, cofając się o kilka kroków.

- Och... po prostu wiem. Mówią mi to te twoje drobne, czułe gesty skierowane w moją stronę. Dotrzymujesz mi towarzystwa, gdy czuję się smutna i samotna, uspokajasz mnie, kiedy jestem zdenerwowana i wszystko leci mi z rąk. Pocieszałeś mnie, gdy płakałam z tęsknoty za Isabel, i przyszedłeś mi z pomocą, kiedy ta wstrętna Pamela Pemberton i moja ciotka złośliwie mi dokuczały. Poza tym robisz wszystko, żeby mnie chronić, począwszy od dnia, w którym doszło do kolizji powozów i byłam świadkiem okropnej awantury. Uratowałeś mnie przed podłym Arthurem Goodwinem i przed więzieniem, mówiąc nieprawdę na temat istoty naszej znajomości. Znalazłeś się przez to w kłopotliwej sytuacji; bo chociaż wcześniej deklarowałeś, że nigdy się nie zaręczysz, przedstawiłeś mnie jako swoją przyszłą żonę. Są też inne dowody, że ci na mnie zależy: widzę to w twoich oczach, słyszę w twoim głosie i czuję to, gdy mnie całujesz. Wiem, że mnie kochasz, Connorze. Nie wyprzesz się tego. - Zaśmiała się, kiedy odwrócił się, jakby chciał uciec.

- Wcale nie żartowałem. Nigdy już się nie zaręczę - oświadczył wyraźnie poruszony.

Uśmiechnęła się.

- Ja też nie. To nie zmienia faktu, że mnie kochasz. Wiem, że przejąłeś Windrush tylko dlatego, żeby ten chytry lord Harley go nie dostał. Gdyby tamtej nocy to on wygrał, odebrałby nam dom i nic by go nie obchodził nasz los. Bez namysłu zgodziłeś się, by June miała ślub i wesele w Windrush. Dzięki tobie jej plany nie legły w gruzach mimo nieroztropności papy. Zwróciłeś nam Windrush, nie biorąc nic w zamian, rezygnując nawet z nocy poślubnej. A wszystko to zrobiłeś dla mnie, tylko dla mnie, ponieważ mnie kochasz.

Głos jej się załamał. Miała wielką ochotę podejść do Connora i zarzucić mu ręce na szyję, jednak musiała mu coś jeszcze powiedzieć.

- Zapytałeś mnie kiedyś, dlaczego odtrąciłam moich innych narzeczonych. Nie mogłam ci wtedy udzielić właściwej odpowiedzi, ponieważ aż do tej chwili jej nie znałam. Nie mogłam wyjść za Philipa Moncura ani pana Featherstonea, ani nikogo innego, ponieważ nikt tobie nie dorównywał. W głębi serca czułam, że pewnego dnia po mnie wrócisz. - Popatrzyła na jego nieprzeniknioną twarz. - Nie ma znaczenia, że wolisz pozostać kawalerem - prowokowała, chcąc, by na nią spojrzął. Wolno zbliżyła się, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się. - Jestem przy tobie, Connorze, i patrzę na ciebie, ponieważ twoja odpowiedź jest dla mnie ważna. Nie szkodzi, że się ze mną nie ożenisz. Wystarczy mi noc poślubna... jedna, druga i następne. A rano nadal będę cię kochać.

Connor przyjrzał się z ukosa Rachel. Niespodziewanie się roześmiał, chwycił ją w pasie i przycisnął mocno do siebie.

- Co zrobisz, jeśli będę chciał cię trzymać za słowo?

Rachel zaczerwieniła się, zachichotała i oparła głowę na jego ramieniu, ocierając się policzkiem o miękką wełnę fraka.

- Co roku, w dzień świętego Michała, odwiedzam Isabel w Yorku, zabierając ze sobą Noreen. Ona zna prawdę o Isabel, ponieważ od dawna wraz z siostrą służy w naszej rodzinie. Z każdą wizytą Isabel wydaje mi się bardziej pogodna. Ma swoje wspomnienia, ma syna. Twierdzi, że jest zadowolona. Też chciałabym być spokojna i zadowolona. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby zostać twoją kochanką. Tylko mnie nie zostawiaj, Connorze. Błagam cię, nie rób mi tego.

Nachylając się nad nią, powtórzył zduszonym głosem:

- Chciałbym wiedzieć, Rachel, co zrobisz, jeśli powiem, że ci nie wierzę?

- Nie zrobisz tego.

- Chciałbym...

- Wiem, że chciałbyś, ale się nie odważysz.

- Mógłbym...

- Nie zrobisz tego.

- Jesteś bardzo pewna siebie... i mnie, panno Meredith. Jak to się dzieje, że od sześciu lat jestem twoim niewolnikiem? - Nakrył jej usta delikatnym pocałunkiem, który podziałał na nią tak, że zapragnęła bliższego kontaktu. Z jękiem poddał się pieszczotom jej warg, zachwycony jej śmiałością.

Rachel odchyliła głowę, aby przyjrzeć mu się spod rzęs. Musiała poznać odpowiedź na jeszcze jedno pytanie.

- Kochałeś ją?

- Kogo? Bernadette?

- Nie! Tę włoską sopranistkę. Tę bezwstydną ladacznicę, która publicznie pokazuje bieliznę, flirtuje z wszystkimi dokoła i krzywo na mnie patrzy tymi swoimi dziwnymi, czarnymi ślepiami,

- Ach, o nią ci chodzi - powiedział Connor, rozbawiony jej złośliwością. - Rozumiem, że nie spodoba ci się, jeśli powiem, że tak?

Rachel zaczerwieniła się, zdając sobie sprawę, że zbyt otwarcie dała wyraz zazdrości.

- Nie, nie kochałem jej - zapewnił, delikatnie gładząc

Rachel po zaróżowionym policzku. - Prawdę mówiąc, nie jestem pewien nawet tego, czy ją lubiłem, odkąd się przekonałem, jaka potrafi być przebiegła i bezwzględna. Widząc, że Rachel spochmurniała, dodał:



- Kiedy sir Percy Monk doniósł jej, że mam nową piękna pomywaczkę, Maria rozpuściła plotkę, iż Annie Smith. Trafiła pod mój dach w roli konkubiny. Sir Percy był zły, że Annie uciekła przed brutalnymi zalotami jego syna i schroniła się u mnie. Ten zboczeniec myśli, że za pieniądze może spełnić każdą zachciankę. Próbował ode mnie odkupić Annie. Przypuszczam, że kiedy Maria dowiedziała się, iż zdecydowanie odmówiłem, zaczęła się obawiać, że ta czternastoletnia dziewczyna zajmie jej miejsce. Między innymi z tego właśnie powodu zdecydowałem się zakończyć naszą znajomość. Myślę, że pociesza ją teraz Benjamin Harley al- bo sir Percy, i wcale mnie to nie martwi. Ona nic dla mnie nie znaczy, zupełnie nic.

Rachel wyczuła ton niechęci w jego głosie, gdy mówił o podłych intrygach signory. Popatrzyła na Connora i zapytała cicho:

- Ta Włoszka była ode mnie dużo bardziej perfidna, prawda?

Roześmiał się i pochylił, by rozwiać jej obawy pocałunkiem

- Nie jesteś perfidna, kochanie, jesteś po prostu uroczą intrygantką.



## Rozdział szesnasty

- Przywiozłam ci coś z Londynu, papo.

Edgar Meredith popatrzył na leżący na stole dokument. Odłożył pióro, zamknął księgę rachunkową, nad którą ślęczał, i położył upstrzoną plamami wątrobianymi dłoń na szczupłych białych palcach Rachel, które wciąż dotykały aktu własności Windrush.

- Wiedziałem, że tak będzie, Rachel - powiedział cicho, patrząc na dokumenty. - Byłem przekonany, że przywieziesz je z powrotem, tak jak ty byłaś pewna, że je oddałem. Jesteśmy do siebie zbyt podobni, także pod względem skłonności do różnych spisków i planów. Wiele ryzykowałem, ale nigdy nie wątpiłem w to, że uda ci się wszystko naprawić. Dobra z ciebie dziewczyna, Rachel, zasługujesz na lepszy los. Chciałbym widzieć cię naprawdę szczęśliwą. - Z westchnieniem ujął smukłą dłoń córki w swe ręce o nabrzmiałych żyłach i uniósł do warg. - Witaj w domu, moja droga. Stęskniłem się za tobą. - Roześmiał się i potrząsnął głową. - Często się sprzeczamy i wtedy myślę, że dobrze byłoby, gdybyśmy nie mieszkali razem, ale bardzo mi cię brakuje, kiedy wyjeżdżasz.

- Ja również za tobą tęskniłam, papo. Za tobą, mamą, June i Sylvie. - Rachel pogładziła ojca po policzku i pochyliła się, by go ucałować.

Edgar popatrzył jej w twarz.

- Przyznasz teraz, że miałem rację, twierdząc, iż Connor Flintę to dobry człowiek?

- Tak, papo,

- Jesteście przyjaciółmi?

- Tak, papo.

- W takim razie warto było cierpieć, martwić się o to, jak sobie radzisz, żeby usłyszeć te słowa. Widzisz, moja droga, rzadko spotyka się mężczyzn tego kalibru. Nie można bezrosko odtrącać takich dobrych przyjaciół. - Pokiwał głową. Rachel zorientowała się, że zbiera się na odwagę, by zadać dalsze pytania.

- Czy Connor... to znaczy... czy zaręczyliście się ponownie? - zapytał beznamiętnym tonem, nie mając na to zbyt wielkich nadziei.

- Nie, papo. Connor powiedział, że już nigdy się nie zaręczy. Był pod tym względem nieprzejednany.

- Tak... no cóż, to zrozumiałe... Wielka szkoda, że taki wartościowy człowiek będzie żył samotnie. - Edgar westchnął, nie kryjąc rozczarowania. Uniósł dokument i zaczął w zamyśleniu obracać go w palcach. - W takim razie muszę się pogodzić z tym, że jesteście przyjaciółmi, i nie będę oczekiwał niczego więcej. Chciałem tylko, moja droga, żebyś przestała go nienawidzić i byś nie myślała, że jest podły i samolubny.

- Miałem nadzieję, że się spotkacie i porozmawiacie w cztery oczy o waszych sprawach, które już dawno należało omówić i wyjaśnić. Nie jestem taki sprytny, jak bym chciał, ale wiem, że takie sprawy wloką się potem za człowiekiem latami.

Rachel uśmiechnęła się. Otworzyła usta, chcąc mu coś powiedzieć, lecz ojciec dodał uroczystym tonem:

- Lord Devane zwrócił nam dom, twoje dziedzictwo. Nie musiał być tak wielkoduszny. Nawet najszlachetniejsi dżentelmeni długo by się zastanawiali, czy zrzec się tak cennego majątku, nie otrzymując nic w zamian. Jeszcze raz jesteście mu bardzo wdzięczni i zobowiązani.

- To Connor jest tobie wdzięczny, papo, i chce ci to powiedzieć. Chciał czegoś w zamian: twojej córki. Oddał akt własności swojej żonie. Dał dokumenty przyszłej żonie w podarunku ślubnym. - Rachel położyła lewą dłoń na rulonie. Wspaniały szafir na jej palcu mienił się niebieskim ogniem, niemal przesłaniając znajdującą się pod nim złotą małżeńską obrączkę.

- Przywiozłam ci też twojego pierwszego zięcia, którego zawsze traktowałeś jak syna.

Edgar obrócił się na krześle, spostrzegając dobrze znanego wysokiego mężczyznę o imponującej posturze, który z pewnej odległości przyglądał się tej wzruszającej scenie. Przywitawszy Connora, Edgar wydał okrzyk zdumienia i radości.

- Wzięliście ślub? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak, wczoraj. W kościele Świętego Tomasza w Londynie. Pani Pemberton na pewno pochwaliłaby tę decyzję. Na szczęście jej tam nie było. Byli tylko Noreen Shaughnes-sy i Samuel Smith jako nasi świadkowie. Cudowny dzień - powiedziała łamiącym się ze wzruszenia głosem Rachel, patrząc z czułością na męża. - Cały dzień... i cała noc... były wspaniałe.

Nie zważając na łzy radości, które pociekły mu po nosie, Edgar Meredith podszedł do Connora i uścisnął go serdecznie, a dopiero potem po męsku poklepał po ramieniu. Wyprostowany podszedł do drzwi.

- Muszę natychmiast znaleźć twoją matkę - powiedział do Rachel. Już w drzwiach odwrócił się, podszedł do córki i mocno ją przytulił.

Spojrzenia dwóch par niebieskich oczu spotkały się nad drobnym, drżącym ramieniem Edgara. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Connor powiedział cicho:

- Myślę, że jest zadowolony.

- Myślę, że masz rację - potwierdziła żona.

- Musimy pomyśleć o naszym miesiącu miodowym, Rachel. Zasłużyliśmy na niego. Będziemy podróżować. Zabiorę cię, gdzie tylko zechcesz.

- Po ślubie June chciałabym odwiedzić Irlandię i twój majątek. Mam nadzieję, że jedna z moich sióstr też zechce tam pojechać i że jej się tam spodoba.

Widząc zaniepokojone spojrzenie Connora, dodała szybko:

- Wolverton Manor znajduje się daleko od Londynu, Yorku i plotkarskich języków. Można tam rozpocząć nowe życie, jeśli zachodzi taka potrzeba.

- W takim razie nie chcesz, żeby to Windrush stał się schronieniem dla Isabel i jej syna?

Rachel podeszła do męża i z uśmiechem popatrzyła mu w oczy, a potem zarzuciła mu ramiona na szyję, pogładziła po karku i włosach.

- Nie mogę tak długo czekać, żeby być blisko niej. Odwiedzam York raz w roku w obawie, że częstsze wizyty mogłyby wzbudzić podejrzenia. Pewnie upłynie jeszcze z dziesięć lat, zanim Sylvie wyjdzie za mąż, i Isabel będzie mogła wrócić do domu. Jestem teraz bardzo szczęśliwa. Proszę, pozwól, żebym mogła podzielić się z moją biedną siostrą swym szczęściem. Tak wiele jej zawdzięczam.

Wiedziała, że Connor z pewnością starannie rozważy jej propozycję.

- Obiecujesz zabrać mnie tam, gdzie tylko mi się zamarzy? - zapytała, chcąc go rozweselić.

Pochylił się i pocałował ją w usta.

- Wystarczy, że wymienisz nazwę miejsca.

Rachel przytuliła się do niego, wspominając rozkoszne chwile spędzone minionej nocy w męzowskim łóżu przy Berkeley Square. Miała wrażenie, że od tego czasu upłynęły już całe wieki...

- „Pod Królem” w Staunton Village. - Wymieniła nazwę przytulnej gospody. - Możemy tam pojechać już teraz - szepnęła mu do ucha. Popatrzył na nią, rozbawiony. Wtuliła zarumienioną twarz w zagłębienie jego ramienia. - Moglibyśmy tam coś zjeść, oszczędzając mamie kłopotu przygotowania posiłku dla niezapowiedzianych gości.

- Dobrze, zjemy tam obiad i będziemy ucztować całe popołudnie. Obiecuję ci wielki bankiet, dostaniesz wszystko, czego dusza zapagnie - żartował. Ujął dłoń Rachel i niecierpliwie pociągnął ją ku drzwiom. - Chodźmy.